

Dzieci Rwandy

Wielkiemu Misjonarzowi naszych czasów, Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II, oraz wszystkim, którzy nie pozostają obojętni na tragiczny los rwandyjskich dzieci, spiesząc im z pomocą materialną i duchową, książkę tę poświęcam.

Autor

Ks. Roman Rusinek SAC

Dzieci Rwandy

APOSTOLICUM

Ząbki 2004

Projekt okładki

Ks. Zdzisław Wdziekoński SAC

Redaktor techniczny Bogumiła Szczupakowska

Korekta

Alicja Bławdziewicz

Skład i łamanie Barbara Grom

Wydano staraniem Sekretariatu ds. Misji Polskiej Prowincji Chrystusa Króla Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego Wydanie II, uzupełnione

© Copyright by Sekretariat ds. Misji Polskiej Prowincji Chrystusa Króla SAC

Za zezwoleniem władzy duchownej ISBN 83-7031-391-4

APOSTOLICUM

Wydawnictwo Księży Pallotynów

Prowincji Chrystusa Króla

ul. Wilcza 8, 05-091 Ząbki

tel. (0-22) 771-52-00, 11; fax (0-22) 771-52-07

księgarnia internetowa: [info@apostolicum.pl](mailto:info@apostolicum.pl)

SEKRETARIAT STANU

SEKCJA PIERWSZA • SPRAWY OGÓLNE

Watykan, 13 lutego 2002 r.

Czcigodny Księżu,

W imieniu Jego Świątobliwości Jana Pawła II dziękuję za list z dnia 14 stycznia br., informujący o pomocy misyjnej, roztoczonej przez Pallotyński Sekretariat Misyjny nad dziećmi Rwandy i Konga Demokratycznego.

Ojciec Święty, dla którego sprawy misji są przedmiotem szczególnej troski, z zadowoleniem przyjął wspomnianą informację. Na początku nowego tysiąclecia potrzebne jest pełne rozmachu odnowienie zapału misyjnego, wyrastającego z ducha nowej ewangelizacji.

Działalność podejmowana na rzecz misji jest przy tym nie tylko szlachetną pomocą Kościołów „bogaty” dla Kościołów „ubogich”, lecz również łaską dla każdego Kościoła, warunkiem odnowy, podstawowym prawem życia.

Jego Świątobliwość w modlitwie zawiera Bożemu Miłosierdziu wszystkich ludzi dobrej woli, którzy otwartym i hojnym sercem roztoczyli w Polsce opiekę duchową i materialną nad osieroconymi dziećmi wspomnianych krajów misyjnych. Uprasza również potrzebne łaski dla misjonarzy i bezpośrednich opiekunów dzieci. Wszystkim też na ręce Księdza Sekretarza i Pallotyńskiego Sekretariatu Misyjnego przesyła z serca Apostolskie Błogosławieństwo.

Z Chrystusowym pozdrowieniem

Czcigodny

Ks. Stanisław Kuraciński SAC

Sekretarz ds. Misji

Pallotyński Sekretariat Misyjny  
ul. Skaryszewska 12  
03-802 Warszawa 4  
POLONIA

/ / Mons/Pedro López Quintana (\_\_\_?/

Asesor

tó-.

f.. CA.

& SURSUM CORDA -OL

Watykan, 4 października 2003 r.

Drogi Księżu,

Ojciec Święty bardzo dziękuje za dedykowaną Mu książkę "Dzieci Rwandy", przekazana przez Ks.dr Tadeusza Wojdę. Serdecznie błogosławi Księdzu na tę misyjną pracę.

Proszę przyjąć również moje wyrazy wdzięczności za egzemplarz dla mnie z Autorską dedykacją.

Życząc Bożego błogosławieństwa dla misyjnej pracy na rzecz ubogich i opuszczonych, serdecznie pozdrawiam: Szczęść Boże!

Abp Stanisław Dziwisz

Przewielebny Ks. Roman Rusinek SAC ul.Wilcza 8-12 05-091 Ząbki

POLONIA

GIKONDO

...powoli otwierałem oczy. Z zewnątrz dobiegał nieśmiały śpiew ptaków. Spojrzałem na zegarek, była godzina 5.30. Za oknem budził się nowy dzień. Stopniowo nasilał się ptasi koncert, którego natężenie i różnorodność głosów wciskały się mimo woli w uszy, spędzając resztki snu z moich oczu. Nagle uświadomiłem sobie, że jestem w sercu Afryki w Rwandzie. Rozpoczywałem mój pierwszy dzień przygody misyjnej. W głowie zaczęły kłębić się pierwsze pytania, niepewności i obawy. „Boże, prowadź” - westchnąłem. Zapragnąłem jak najszybciej znaleźć się w naszej pallotyńskiej kaplicy na Gikondo, aby tam na kolanach, przed Najświętszym Sakramentem, powierzyć moje życie, moją przyszłość tu w Rwandzie, Bogu Ojcu.

Poczułem się jak maleńka łupinka na rozszalałym oceanie. Po kilkunastu minutach, pierwszy raz w brzasku porannego słońca, ujrzałem panoramę Kigali - stolicy Rwandy. Miasto to ma około 350 tys. mieszkańców. Położone jest na wysokości 1300 metrów. Tak jak cała Rwanda, która nazywana jest krajem Tysiąca Wzgórz, tak i zabudowania miejskie stolicy przylgnęły do zboczy kilku sąsiadujących ze sobą wzgórz. Powoli ogarniałem je wzrokiem. Wyłaniały się powoli i majestatycznie z mleczno-pu-chowej mgły zalegającej u ich podnóży. Ich zbocza pokryte były dziesiątkami niewielkich domów koloru brunatnoszarego, pokrytych blachą, niejednokrotnie łączących się w jedną całość, wyznaczającą kręte linie dróg. W gąszczu tych małych zabudowań dostrzegłem także i większe, przypominające jakieś sklepy, warsztaty czy budynki użyteczności publicznej.

7

Panorama Gikondo - dzielnicy Kigali, tak bliskiej polskim pal-lotynom - przypominała mi ogromną pajęczynę falującą na wietrze. Czegoś mi jednak tu brakowało. Uświadomiłem sobie, że nie ma wież kościołów zwieńczonych krzyżami, do których widoku tak bardzo przywykłem w Polsce. Wyteżonym wzrokiem przemierzałem okolice w nadziei dostrzeżenia jakiejś świątyni. Na próżno. Nagle, tuż za moimi plecami, rozległ się jakiś bliski i znajomy uszom dźwięk - bicie dzwonów. Odwróciłem się. W odległości kilkuset metrów dostrzegłem okazałą bryłę kościoła, do którego wchodzili ludzie. Zauważyłem, że część witraży była powybijana. Również i na poszyciu dachu widniały ślady znacznych uszkodzeń - pozostałość tragicznych wydarzeń z kwietnia 1994 roku. Był to kościół parafialny Księży Pallotynów pod

wewzwaniam świętego Wincentego Pallottiego - założyciela Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego.

Ruszyłem w kierunku kaplicy domowej Księży Pallotynów, gdzie trzy razy dziennie spotyka się na modlitwie cała wspólnota księży i braci, żyjących i pracujących na Gikondo. Z oddali dobiegał odgłos silników dużego samolotu. Obejrzałem się. Zobaczyłem ogromny samolot transportowy, podchodzący do lądowania na przeciwległym wzgórzu. Tam właśnie usytuowane było lotnisko międzynarodowe, na którym wylądowałem poprzedniego wieczoru. Samolot zbliżający się do płyty lotniska przypominał łabędzia siadającego miękko na lustrze jeziora. Wyglądało to majestatycznie. Czas płynął. Ruszyłem w kierunku kaplicy.

Po przebyciu kilkudziesięciu kroków znalazłem się na wprost zniszczonej kaplicy, w której to w kwietniu 1994 roku spalono żywcem około 20 osób. Stałem w jej progu. Poczułem swąd spalenizny. Solidne metalowe drzwi nosiły na sobie liczne ślady przemocy stosowanej przez tych, którzy próbowali je sforsować, by dostać się do środka. Okolice zamka, podziurawione pociskami, były powyginane i poprzecinane na skutek uderzeń jakimś ciężkim metalowym narzędziem. Wszedłem do środka. Czuję

jak serce bije mi szybciej i mocniej. Po kilku krokach stanąłem jak wryty na środku kaplicy. Oniemiałem ze zdumienia na widok tego, co zobaczyłem. Na ścianach, na wysokości do 2 metrów, widniały ślady spalenizny, znaczone czarnym kolorem; spalona i popękana podłoga; podziurawiona i pofałdowana na skutek wysokiej temperatury blacha, stanowiąca jednocześnie sufit i dach kaplicy. Jednak najbardziej przynębiające wrażenie wywierał widok roztrzaskanego i wypalonego tabernakulum oraz kamiennego ołtarza, również zniszczonego, na którym stały częściowo stopione paramenty liturgiczne. Wśród nich wyróżniała się powyginana monstrancja, z tkwiącym w niej odłamkiem granatu. Na tej samej ścianie, w której umiejscowione było tabernakulum, widniał napis w języku francuskim - DIEU EST AMOUR - Bóg jest Miłością.

Kilkakrotnie wyszeptalem drżącym głosem: „Bóg jest Miłością”. Była to dla mnie fundamentalna prawda, którą kierowałem się w moim kapłańskim życiu i o której często przypominałem wiernym. Stojąc i wpatrując się w ów napis i to co mnie otaczało, stawiałem sobie pytanie: Dlaczego w tym świętym miejscu doszło do tak wielkiej tragedii? Co człowiek uczynił z miłością, którą obdarzył go Bóg, niszcząc Jego przybytek i odbierając życie braciom, i to w tak potworny sposób? Z zaciśniętym gardłem, myślałem o Rwandyjczykach z plemienia Tutsi, którzy szukali ocalenia przed Najświętszym Sakramentem, zamykając się w tej kaplicy, a znaleźli śmierć, zadaną im z rąk rodaków z plemienia Hutu. Co przeżywali w ostatnich sekundach swojego życia, kiedy ich ciała, wraz z całą kaplicą, zamieniły się w jedną wielką pochodnię, sięgającą swoimi płomieniami wysoko nieba? Czy zachowali swoją wiarę do końca? „Boże, daj im wieczny spoczynek w Tobie i przyjmij ich do Twego Królestwa” - westchnąłem, wychodząc na zewnątrz.

Był to jeden z wielu tysięcy epizodów powtarzających się w czasie bratobójczej wojny domowej między plemionami Tutsi

i Hutu, zamieszkującymi tereny Rwandy. W roku 1994, po zestrzeleniu samolotu, na pokładzie którego znajdował się ówczesny prezydent Rwandy Juvenal Habyarimana, było to 6 kwietnia w okolicach Kigali, doszło do krwawej wojny domowej, w wyniku której w miesiącach: kwiecień, maj, czerwiec zginęło około 800 tys. Rwandyjczyków, głównie z plemiona Tutsi. W następnych miesiącach i latach, włącznie do roku 1996 zginęło następnych 600 tys. osób, tym razem w większości z plemienia Hutu. Była to tragedia, która wstrząsnęła całym światem. Bratobójcza wojna domowa Rwandyjczyków została zaliczona do najkrwawszych w dwudziestym wieku. Cała opinia publiczna ówczesnego świata wstrząśnięta została informacjami napływającymi z tego maleńkiego, środkowoafrykańskiego państwa, jakim jest Rwan-da. To, co można było zobaczyć czy usłyszeć w mass mediach, było tylko maleńkim wycinkiem tragedii, która rozgrywała się w tamtym czasie na ziemi rwandyjskiej.

Przez cały rok pobytu w Brukseli, gdzie uczyłem się języka francuskiego, z wielką uwagą i niepokojem zarazem, śledziłem przebieg tragicznych zdarzeń w tym kraju, w którym w najbliższych miesiącach miałem podjąć pracę misyjną. Obrazy, które docierały do nas za pomocą telewizji belgijskiej były wstrząsające: ulice Kigali, stolicy Rwandy, usłane tysiącami trupów, ociekające krwią; grupki rozszalałych i żądnych krwi ludzi, uzbrojonych w pałki, maczety, motyki i zaostrzone kije bambusowe, biegały z pośpiechem w poszukiwaniu coraz to nowych ofiar z plemienia Tutsi, grabiąc, niszcząc i paląc to, co napotykali na swojej drodze.

Nie oszczędzano nikogo, mordując w okrutny sposób kobiety, dzieci, starców, a także i przedstawicieli duchowieństwa rwan-dyjskiego. Bratobójcza wojna pochłonięła życie około 120 kapłanów, kilkudziesięciu sióstr zakonnych oraz czterech biskupów rwandyjskich. Wielu z nich można nazwać anonimowymi świętymi, bo jak wynikało z relacji naocznych świadków, którzy cu-

10

dem ocaleli, w wielu przypadkach mogli zachować swoje życie, opuszczając ludzi chroniących się w kościołach czy na terenie zabudowań parafialnych, a jednak pozostawali ze swoimi wiernymi do końca, podtrzymując ich na duchu modlitwą i przygotowując ich na śmierć, udzielając abszolucji. Dlatego też tak wielu kapłanów podzieliło tragiczny los swoich rodaków, ponosząc śmierć męczeńską.

Patrzając na to wszystko, co działo się w tamtych dniach w Rwandzie, można by pomyśleć, że wszystkie diabły opuściły piekło i zgromadziły się w tym maleńkim afrykańskim kraju, doprowadzając do jakiegoś zbiorowego opętania. Bo jak inaczej można skomentować te okrutne masakry, które pochłonięły ponad milion istnień ludzkich, a kolejne setki tysięcy musiały uciekać do ościennych krajów, przede wszystkim do Zairu (obecnie Kongo), aby ratować i ocalić swoje życie. Wymordowane i opustoszałe całe wioski. Ogromne zniszczenia materialne; zniszczone kościoły, szkoły, drogi. Ograbione ośrodki zdrowia, sklepy, placówki misyjne i budynki parafialne. Miliony Rwandyjczyków okaleczonych psychicznie, noszących w sobie straszliwe obrazy mordowania ich bliskich, niszczenia dobytku, znęcania się psychicznego czy fizycznego, żyjących w nieustannym strachu o swoją przyszłość.

Jednak najbardziej bolesne konsekwencje bratobójczych walk plemiennych pomiędzy Tutsi a Hutu ponoszą, i przez długie lata będą ponosiły, dzieci - rwandyjskie sieroty. Jest ich około czterystu tysięcy. Pozbawione ciepła rodzinnego po utracie rodziców, a niejednokrotnie i całych rodzin, zmuszone do walki o przetrwanie przez podejmowanie ciężkiej pracy na roli, często wykorzystywane na różne sposoby i nie mające żadnej nadziei na lepszą przyszłość. Wiele z tych sierot, bez otrzymania pomocy, skazanych jest na śmierć. To one, obok problemu pojednania, stanowiły największe wyzwanie, zarówno dla władz świeckich, jak i kościelnych. To wyzwanie miało być również i moim wyzwaniem.

11

Poczułem się lepiej, gdy znalazłem się w naszej domowej kaplicy, w której każdego dnia o godzinie 6.45 gromadzi się wspólnota pallotyńska księży i braci oraz sióstr pallotynek na modlitwach i Eucharystii sprawowanej w języku francuskim. Ukłąłem i wpatrując się w tabernakulum, oddałem cześć i uwielbienie Jezusowi Chrystusowi, który obdarzył mnie życiem, łaską kapłaństwa i który przywiódł mnie tutaj, na ziemię rwandyjską, abym głosił Dobrą Nowinę o zbawieniu.

Kaplica powoli wypełniała się współbraćmi i siostrami, a ja myślałem tylko o jednym, aby jak najlepiej przygotować się do mojej pierwszej Mszy świętej w tym jakże umęczonym i doświadczonym tragedią kraju. Obok mnie klękali moi współbracia. Wśród nich zacząłem odczuwać jakiś dziwny przyptyw odwagi, nadziei i dumy zarazem, że Bóg pozwala mi wejść w dziedzictwo ich dwudziestotrzyletniej pracy i służby dla Kościoła i narodu rwandyjskiego.

Rozpoczęły się modlitwy wspólnotowe, a po nich Msza święta, jakże bogata i obfita w przeżycia duchowe płynące ze spotkania z Chrystusem i ze wspólnotą pallotyńska, od której miałem otrzymać tak wiele dobra i pomocy w pierwszych miesiącach pobytu w Rwandzie. Praca na misjach związana jest z nieoczekiwanymi wydarzeniami i niespodziankami, które niesie ze sobą codzienne życie. To one nadają mu niebywałego i niepowtarzalnego kolorytu, ciepła radości lub chłodu nieszczęścia, tragedii.

Po śniadaniu podszedł do mnie ks. Antoni Myjak, który sprawował funkcję proboszcza w naszej parafii św. Wincentego Pal-lottiego na Gikondo. Zapytał mnie, czy nie zechciałbym towarzyszyć mu w podróży do Ruhengeri, największego miasta w północnej Rwandzie, gdzie w miejskim szpitalu przebywał nasz współbrat ks. Ryszard Domański, który uległ groźnemu wypadkowi samochodowemu. Wypadek ten wydarzył się poprzedniego dnia po południu. Było to w czasie, kiedy ja podziwiałem z okna samolotu lecącego do Kigali majestat

największej pusty-

12

ni świata - Sahary. Bez wahania wyraziłem zgodę, gdyż była to doskonała okazja do skonfrontowania tego, co wyczytałem i usłyszałem na temat piękna Rwandy, z rzeczywistością tu na miejscu. Europejczycy, szczególnie Francuzi, Belgowie czy Niemcy, określają Rwandę Szwajcarią afrykańską, krajem Tysiąca Wzgórz i wreszcie rwandyjskim Edenem. To ostatnie porównanie bardzo mocno podkreślają sami Rwandyjczycy, mówiąc, że Bóg każdego dnia przechadza się po Rwandzie, ze względu na jej piękno porównywalne do ogrodu rajskiego.

Zapowiadał się piękny i upalny dzień i chociaż była zaledwie 8.30 słońce królowało już wysoko na niebie, obdarowując wszystkich swoim ciepłem i wiązkami promieni wciskającymi się w najbardziej niedostępne zakamarki. Wsiadłem do samochodu, gdzie za kierownicą czekał już na mnie ks. Antoni Myjak. Po krótkiej modlitwie i przygotowaniu dokumentów ruszyliśmy w drogę. Po pokonaniu kilkusetmetrowego odcinka drogi, pełnej kolein i wybojów, wjechaliśmy na drogę asfaltową, prowadzącą do centrum Kigali. Teraz już z bliska przyglądałem się miejskim zabudowaniom. Za nami pozostały maleńkie sklepy, wybudowane w prymitywny sposób i przylegające do drogi. Można w nich było kupić wszystko to, co niezbędne jest do życia przeciętnemu mieszkańcowi Kigali, a więc: sól kuchenną, cukier, chleb, świece, baterie do tranzystorów radiowych, oliwę i mąkę, z których wypiekano ciasto przypominające wyglądem i smakiem... polskie pączki. Były tu także stoiska, na których sprzedawano płody ziemi, a najczęściej ziemniaki i inne warzywa, takie jak: kapusta, marchew, kalafior, pietruszka czy cebula. Tam też można było kupić owoce cytrusowe, a przede wszystkim różne odmiany bananów. To wszystko można było dostrzec, poruszając się drogami dzielnicy Gikondo.

W miarę zbliżania się do centrum miasta, zabudowania nabierały charakteru europejskiego.

Po prawej stronie asfaltowej jezdni rozciągał się kompleks dużych magazynów. Za nimi warsztaty naprawcze samochodów. Dalej salon sprzedaży i serwis na-

prawczy samochodowych firm Toyota, Suzuki i Mitsubishi. Minęliśmy fabrykę farb i lakierów oraz nową i dobrze prezentującą się stację paliw. Mijamy kolejne budynki.

Znaleźliśmy się na wysokości kompleksu zabudowań należących do pierwszych ewangelizatorów tego kraju - zgromadzenia noszącego nazwę Ojców Białych, a obecnie Misjonarzy Afryki. Tam właśnie za kilka tygodni miałem rozpocząć pięciomiesięczny kurs języka kinya-rwanda. Pokonując długi podjazd, dotarliśmy do ruchliwego ronda, kierując się na drogę w kierunku Butare i Ruhengeri.

Po obu stronach jezdni poruszali się chłopcy, którzy mieli skrzyneczki podwieszane na szyi i uprawiali tak zwany handel przenośny, natarczywie zachęcając do kupna chusteczek higienicznych, papierosów, gum do żucia i innych drobiazgów. Na kilku skrzyżowaniach, które minęliśmy, stały grupki dzieci w podartych ubraniach, brudne i prawdopodobnie

głodne, wyciągające w kierunku zatrzymujących się samochodów swoje dłonie w błagalnym geście o pomoc. Ulice pełne były ludzi i wojska.

Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie droga wylotowa z Kigali rozchodziła się w dwóch kierunkach: Butare i Ruhengeri. W oddali dostrzegłem grupę żołnierzy i kilku mundurowych z żandarmerii wojskowej. Zatrzymaliśmy się, stojąc w kolejce kilku samochodów, z których wysiadali ludzie z dokumentami w rękę. Był to pierwszy punkt kontrolny, potocznie nazywany barierą, na którym szczegółowo sprawdzano dokumenty tożsamości i przeszukiwano samochody. Miało to zapobiec infiltracji tak zwanych abaczengezi, ludzi oskarżanych o udział w ludobójstwie w 1994 roku, a obecnie ukrywających się w lasach na północy Rwandy, oraz nielegalnemu przemytowi broni. Nadeszła nasza kolej. Po opuszczeniu szyb w oknach naszego samochodu, podeszli do nas dwaj żołnierze. Ksiądz Antoni pozdrowił ich w języku kinya--rwanda, uprzedzając ich pytanie o naszą tożsamość i cel podróży. Po kilku zdaniach wyjaśnień ze strony ks. Myjaka, otrzymaliśmy pozwolenie na kontynuację dalszej podróży.

14

Pod kątem prostym skręciliśmy w prawo, wjeżdżając na drogę prowadzącą do Ruhengeri i dalej do Gisenyi, gdzie znajdowało się przejście graniczne z Kongo. Tuż za zakrętem napotkaliśmy grupę uzbrojonych w broń maszynową i granatniki żołnierzy, nachalnie nas zatrzymujących. Byli to żołnierze regularnej armii rwandyjskiej, szukający okazji, by dostać się na północ, gdzie nadal dochodziło do bratobójczych walk. Nie mieliśmy obowiązku zabrania ich, więc przejechaliśmy obok, ku ich wielkiemu niezadowoleniu. Kilku podniosło ręce wygrażając nam. Muszę przyznać, że strach mnie obleciał, ale kątem oka obserwowałem księdza Antoniego i widząc jego spokój i opanowanie, przestałem się bać. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, ukazujące jednocześnie jakże trudną i skomplikowaną sytuację polityczną. Zarówno Rwandyjczycy jak i obcokrajowcy żyli nadal w ciągłym zagrożeniu życia.

Rozpoczynaliśmy stromy podjazd w górę drogą pełną niebezpiecznych zakrętów. Silnik naszej toyoty pracował na wysokich obrotach, a samochód prowadzony pewną ręką, piął się coraz wyżej, pokonując kolejne zakręty. Lewe pobocze drogi wyznaczała pionowa ściana skalna, od której odbijające się pod różnym kątem promienie słoneczne formowały niezwykle kompozycję, przypominającą kolorową sieć rybacką. Odwróciłem głowę i spojrzałem na prawo. Tuż za rosnącymi obok drogi drzewami eukaliptusowymi, rozpościerał się wspaniały widok dolin i wzgórz, przepłatających się nawzajem. Kraj Tysiąca Wzgórz, tak nazywano Rwandę. Teraz zrozumiałem dlaczego.

Od kilkunastu kilometrów poruszaliśmy się drogą prowadzącą szczytami gór, więc korzystając z pięknej słonecznej pogody, zachwyciałem się cudowną panoramą ujmującą swoją niepowtarzalnością. Na zboczach wzgórz, które swoimi podstawami łączyły się w jedno pasmo, zobaczyłem dziesiątki domków rwan-dyjskich. Na tle poszczególnych wzgórz wyglądały one jak kropki na kapeluszu muchomora. Poszczególne domostwa były odda-

15

lone od siebie o kilkaset metrów. Przestrzeń między nimi wypełniona była plantacjami bananowymi i małymi poletkami, na których najczęściej uprawiano ziemniaki, fasolę, sorgo i kukurydzę.

W tym kraju, nie posiadającym żadnych bogactw mineralnych, największym skarbem jest ziemia, której jednak nie dla wszystkich starcza. W znacznej mierze jest ona bardzo urodzajna, ale uprawa jej wymaga wielkiego wysiłku fizycznego, gdyż wszystkie prace wykonuje się ręcznie, używając motyki lub ma-czety. Mimo znacznej odległości, widziałem wielu ludzi pracujących właśnie na swoich polach. Ta niesłychana kompozycja błękitnego nieba, soczystozielonych plantacji bananowych i ciemnobrunatnej szachownicy pól, na której ludzie wyglądali jak mrówki, magicznie przyciągała mój wzrok.

Musiałem przerwać to delectowanie się pięknem otoczenia, gdyż ks. Antoni poinformował mnie, że zbliżamy się do kolejnego punktu kontrolnego. Poczułem lekki dreszczyk. Powoli zatrzymaliśmy się przed jakimś plastikowym pojemnikiem, umieszczonym na środku jezdni, który pełnił funkcję szlabanu. Po obu stronach drogi kilkunastu żołnierzy przechadzało się przed budynkiem - wartownią, bacznie nam się przyglądając. Jeden z nich podszedł do siedzącego za kierownicą ks. Myjaka. Po krótkiej wymianie zdań w języku kinya-rwanda, żołnierz kopnięciem buta w plastikowy pojemnik utorował nam drogę, dając sygnał do odjazdu. Ruszyliśmy dalej.

Zapytałem ks. Antoniego, dlaczego nie sprawdzono naszych dokumentów. Odpowiedział, że wielokrotnie białych traktują ulgowo, jednak bardzo często proszą o zabranie uzbrojonych żołnierzy, oczekujących na każdą nadarzącą się okazję umożliwiającą szybkie dotarcie do Ruhengeri, gdzie znajdowały się duże koszary wojskowe. Otrzymałem od mojego współbrata cenną przestrożę na przyszłość, by nie zabierać nigdy uzbrojonych wojskowych, gdyż ich obecność może sprowokować atak ze strony abaczengezi, wrogo nastawionych do rządzących Rwandą i ich

16

armii. Podziękowałem za dobrą radę, zachowując ją głęboko w sercu.

Mijały kolejne minuty naszej podróży. Teraz po lewej stronie drogi moją uwagę przykuła wijąca się jak ogromnej wielkości pyton rzeka Nyabarongo. Swoim korytem rozdzielała na dwie części rozległą dolinę, rozciągającą się kilkaset metrów poniżej nas. Kolor wody, która leniwie spływała korytem rzeki, wyróżniał się zdecydowanie od zieleni, która wypełniała dno doliny. Zółto-brunatna wstęga wody stanowiła niezwykle jej upiększenie - niby kokarda wpięta w bujne włosy dziewczynki. Wjechaliśmy na kolejny odcinek drogi, pełen ostrych i niebezpiecznych zakrętów, wspinając się nieustannie na większe wysokości. Odnosiłem wrażenie, jak gdyby droga, którą się poruszaliśmy, wiodła wprost do nieba. Zostawialiśmy za sobą kolejne kilometry.

Dojeżdżaliśmy teraz do miejsca, gdzie tuż obok drogi znajdował się maleńki cmentarz, na którym złożono doczesne szczątki Chińczyków, którzy zginęli przy budowie tej drogi, po której się poruszaliśmy. Spoczywali w okazałych betonowych sarkofagach, dobrze widocznych z okien przejeżdżających samochodów. Popadłem w chwilę zadumy, myśląc o trudzie i wysiłku, jaki musieli włożyć budowniczowie tej niebezpiecznej, a zarazem jakże malowniczej drogi, którą można by porównać do dróg w Alpach szwajcarskich.

- Zbliżamy się do miejsca wypadku - oznajmił ks. Myjak. Jeszcze tylko jeden zakręt i wjechaliśmy na prostą. - To tam - wskazał dłonią na rozbity samochód, przy którym kręciło się kilku ludzi. Zatrzymaliśmy się na poboczu, parkując samochód tak, by nie stanowić zagrożenia dla innych. Podeszliśmy do rozbitej toyoty ks. Domańskiego. Samochód miał poważnie uszkodzony przód, powybijane szyby i duże wgniecenia blachy karoserii. Stał w odległości około dziesięciu metrów od drogi. „Ależ ogromna musiała być siła uderzenia, skoro odrzuciło go aż tutaj” - pomyślałem.

Ks. Antoni rozmawiał z dwoma miejscowymi chłopami, którzy od wczoraj pilnowali samochodu. Wokół pojazdu się kilka

17

kobiet i gromadka rozkrzyczanych dzieciaków. - Muzungu, pa-dri - wrzaskliwie powtarzały, skacząc i wymachując rękami. Gromadka błyskawicznie powiększała się o kolejne dzieci, które pojawiały się jak grzyby po deszczu. Były bardzo zaniedbane i brudne. Kilkoro z nich zbliżyło się do mnie. - Muraho, amkuru - powtarzały, wyciągając rączki w geście pozdrowienia. Poczułem się jak inwalida, nie znając ich języka. Intuicyjnie wyczuwałem, że mnie pozdrawiają, ale nie wiedziałem jak mam im odpowiedzieć. Uśmiechając się, wyciągnąłem dłoń na powitanie. Po chwili cała gromadka ścisnęła ją, pociągając i szczypiąc jak zgłodniałe gęsi.

Nie opodal dostrzegłem dziewczynkę, która trzymała na ręku nagie, płaczące dziecko. Podeszedłem do niej. Ubrana była w podartą i brudną sukienkę. Miała smutną twarz. Badawczo spojrzała na mnie. Teraz dopiero zauważyłem, że w zaropiałych oczach i kącikach ust trzymanego przez nią dziecka, zerowało wiele much. Wzdęty brzuszek i widoczne drgawki, wskazywały na jego chorobę. Uczucie żalu wypełniło mi serce. Przypomniałem sobie, że mam kilka cukierków. Sięgnąłem do kieszeni, wyciągając wszystkie. Pierwsze dwa podałem dziewczynce z maleństwem na ręku. Natychmiast pojawiły się pozostałe dzieci. W ułamku sekundy wszystkie cukierki zniknęły w ich dłoniach. Na nic już nie czekając, błyskawicznie rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Wyglądało to tak, jak gdyby jastrząb uderzył w gromadkę kurcząt. Po chwili dobiegał już tylko słabnący ich śpiew - „murakoze, murakoze cyane”. Tak zakończyło się moje pierwsze spotkanie z dziećmi rwandyjskimi. Spojrzałem w kierunku rozbitego samochodu. Ks. Antoni skinięciem dłoni dał znak, że pora ruszać w dalszą drogę. - Wszystko załatwione. Jedziemy do szpitala - powiedział. Pozostało nam do pokonania około dwudziestu kilometrów. Mijaliśmy kilka dymiących i ziejących ogniem piramid. Wokół nich krzątało się sporo ludzi, na wpółrozebranych.

- Co oni robią? - zapytałem.

- To tradycyjna metoda wypalania cegły - odpowiedział ks. Myjak. - Spójrz, tam przed nami składowane są gotowe do sprzedaży cegły. Z niej to buduje się szkoły, kościoły, ośrodki zdrowia oraz domy zamożniejszych Rwandyjczyków. Cała reszta, szczególnie mieszkańcy wiosek, budują domy z glinianych kostek wysuszanych na słońcu.

W oddali na horyzoncie zobaczyłem potężną bryłę, swoim wierzchołkiem sięgającą nieba.

- To najwyższy wulkan na terytorium Rwandy - powiedział ks. Antoni, uśmiechając się lekko na widok mojego zdziwienia. - Nazywa się Muhabura i ma około 4300 metrów wysokości. W osłupieniu wodziłem wzrokiem po ogromnym cielsku wulkanu. Majestatycznie królował on nad okolicznymi górami i wzniesieniami. Ciemnopopielaty kolor zastygłej masy wulkanicznej rysował się na tle błękitnego nieba. Ostro opadające nagie zbocza, poorane wyżłobieniami, emanowały tajemniczą potęgą i grozą zarazem. Nad lekko ściętym wierzchołkiem leniwie unosiła się mleczna chmurka, sprawiając wrażenie dymu wydostającego się z ogromnego komina. „Jakże jesteś potężny, Boże nasz i Stwórco tak wspaniałych dzieł natury” - rozważałem w głębi serca.

- Zbliżamy się do granic miasta - usłyszałem nagle. Spojrzałem na drogę wypełnioną masą ludzi podążających w obydwu kierunkach. W przeważającej mierze były to kobiety niosące na plecach małe dzieci. Na głowach dźwigały kiście bananów, a w dłoniach jakieś zawiniątka. Wyglądały jak objuczone wielbłądy. Wśród nich biegały dzieci: brudne i w podartych ubraniach. Niektóre z nich obgryzały kolby kukurydzy, inne wysysały kawałki trzciny cukrowej. Wyglądały na bardzo głodne.

Zatrzymaliśmy się na ostatnim punkcie kontrolnym znajdującym się przy wjeździe do Ruhengeri. Tym razem poszło gładko, więc po kilku minutach skręciliśmy w bramę szpitala. Po zapar-

19

kowaniu samochodu ks. Antoni udał się do informacji, by dowiedzieć się, gdzie umieszczono ks. Ryszarda Domańskiego. Ja pozostałem na zewnątrz. Z okien sal szpitalnych dobiegały odgłosy pojękujących pacjentów oraz wydobywał się nieprzyjemny zapach. - Idziemy - zawołał pojawiający się na horyzoncie ks. My-jak. Stanęliśmy w progu małej sali, gdzie na dziwnym łóżku leżał ks. Ryszard. Obok niego krzątała się siostra Maria Piątek ze Zgromadzenia Sióstr od Aniołów. - Pax Christi - zabrzmiało dźwięcznie pallotyńskie pozdrowienie. Delikatny uśmiech pojawił się na twarzy poszkodowanego. Po uścisku dłoni ks. Domański zrelacjonował przebieg wypadku. Jak się okazało, z powodu przepełnienia w szpitalu położono go w sali, gdzie odbierano porody. Teraz zrozumiałem, dlaczego leży na tak dziwnym łóżku. Był mocno potłuczony. Połamana noga, obłożona gipsem od palców aż



po biodro, podwieszona była na specjalnej konstrukcji. W sali panował zaduch. Nic dziwnego, gdyż zbliżało się południe i słońce rozgrzewało ściany i dach budynku. Nagle owładnęło mnie uczucie słabości. Przed oczami zrobiło się ciemno. Siostra Maria, widząc, że dzieje się ze mną coś niedobrego, pospieszyła mi z pomocą. Ocknąłem się na zewnątrz. Szybko doszedłem do siebie. Nowy klimat, zaduch szpitalnego pomieszczenia i ogromna dawka nowych wrażeń, spowodowały tę chwilową niedyspozycję.

Opuściliśmy Ruhengeri około godziny czternastej. W drodze powrotnej ks. Antoni opowiadał ciekawe historie ze swojej pracy na misjach. Zbliżając się do Kigali, w głębi serca dziękowałem Bogu za to, że odkrył przede mną maleńki rąbek piękna Rwandy, piękna Afryki.

Kolejne dni na Gikondo upływały mi na bliższym poznawaniu poszczególnych zabudowań należących do naszej pallotyńskiej misji. W ich skład wchodziły: pomieszczenia zarządu Delegatury Świętej Rodziny, Ośrodek Formacji Rodziny, drukarnia i Wydawnictwo „Pallotti-Press” oraz budynek dla gości, w którym znajdowała się kaplica domowa.

20

Placówka ta ma swoją długą historię. Jej początki sięgają końca 1973 roku, kiedy to podjęto pierwsze decyzje w sprawie budowy Pallotyńskiego Centrum na Gikondo. W jego skład miały wejść: kościół, katechumenat, dom kultury i Centrum Socjalno--Medyczne (CSM). Organizatorem budowy i działalności CSM został ksiądz Henryk Hoser. W trakcie budowy ośrodka, 9 maja 1977 roku, została powołana do istnienia przez abpa Andrego Perraudina parafia na Gikondo. Pierwszym proboszczem został delegat, ksiądz Henryk Kazaniecki, który zamieszkał czasowo razem z księdzem Hoserem w Centrum Socjalno-Medycznym. Dnia 21 września 1977 roku CSM rozpoczęło swoją oficjalną działalność. W tym samym dniu założono także księgi parafialne, a dzieci rozpoczęły katechezę w pomieszczeniach tegoż ośrodka. Na rok następny zaplanowano otwarcie Ośrodka Racjonalnego Żywienia i Ośrodka Formacji Rodziny.

Pracę w ośrodku podjęły siostry pallotynki, które we wrześniu 1977 roku przybyły z Polski. Fakt ten był początkiem współpracy męskiej i żeńskiej gałęzi wspólnoty pallotyńskiej w dziele niesienia pomocy socjalno-charytatywnej miejscowej ludności. W tym samym roku na sąsiedniej działce ukończono budowę pierwszego Centralnego Domu Delegatury.

Drugim proboszczem parafii na Gikondo w roku 1978 został ksiądz Antoni Myjak. Po nim, w październiku 1979 r. parafię objął ksiądz Zbigniew Pawłowski, który kierował nią do roku 1993. Dzięki niemu powstało wiele cennych inicjatyw duszpasterskich i apostolskich.

Przy końcu 1977 roku ukończono budowę kaplicy domowej oraz nowego budynku administracyjnego dla zarządu delegatury. W październiku zaś 1980 roku podjęto decyzję rozbudowy domu administracyjnego i przeznaczenia go dla nowicjatu.

W tym samym czasie budowano także kościół parafialny, którego konsekracji dokonał dnia 25 lutego 1981 roku nowy abp Wincenty Nsengiyumva. Była to pierwsza świątynia w Rwandzie pod

21

wezwaniami św. Wincentego Pallottiego, założyciela Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (SAC), czyli Księża Pallotynów.

Obok pracy duszpasterskiej, charytatywnej i formacyjnej Delegatura Świętej Rodziny, wychodząc naprzeciw potrzebom Kościoła lokalnego, włączyła się w apostolstwo słowa drukowanego. 12 lipca 1976 roku, podczas spotkania poświęconego środkom społecznego przekazu obecni na zebraniu przedstawiciele Kościoła, na czele z arcybiskupem Perraudinem, skierowali prośbę pod adresem księdza Delegata, aby Księża Pallotyni zajęli się produkcją książek i czasopism (czyli uruchomili wydawnictwo i drukarnię), jako niesłychanie ważnego i coraz bardziej potrzebnego środka ewangelizacyjnego w Rwandzie. Po apelu arcybiskupa i po

wielu dyskusjach wśród polskich misjonarzy dojrzywała myśl o potrzebie budowy drukarni i organizacji wydawnictwa. Była to jednak długa i pełna bolesnych doświadczeń droga. Pierwsze starania w tej sprawie podejmowali kolejni przełożeni delegatury i polskiej prowincji, a także sekretarze misyjni, jak ksiądz Stanisław Kuraciński i ksiądz Tadeusz Tomasiński. Największe nadzieje wiązano z osobą dyrektora drukarni „Pallotti-num” w Poznaniu, księdzem Piotrem Granatowiczem, który przybył do Rwandy 10 listopada 1978 roku, by omówić sprawę organizacji wydawnictwa i pallotyńskiej drukarni. Zaplanowane na 18 listopada 1978 roku spotkanie z biskupami Rwandy, podczas którego ksiądz dyrektor miał referować projekt budowy drukarni, nie odbyło się. W przeddzień tego spotkania ksiądz Granatowicz zginął w wypadku samochodowym. Siłą rzeczy realizację projektu trzeba było odłożyć.

Misjonarze nasi nie zaniechali jednak działalności wydawniczej. Staraniem delegatury w kwietniu 1978 roku ukazała się pierwsza pallotyńska książeczka w języku kinya-rwanda pt. „Umubyeyi wohojeje imbabare Mutagatifu Visenti Pallotti” (Ojciec pocieszający strapionych - św. Wincenty Pallotti). Po niej nasi księża z parafii Gikongoro wydali małą książeczkę dla

dzie-

22  
ci z okazji Roku Dziecka (1979). W tym samym roku wyszło z drukarni w Kabgayi tłumaczenie na język kinya-rwanda Dekretu o apostołstwie świeckich soboru watykańskiego II, zaś pallotyńska drukarnia w Osny, we Francji, przygotowała 40 tys. egzemplarzy Nowego Testamentu w języku kinya-rwanda.

W roku 1980 delegatura otrzymała oficjalną aprobatę Episkopatu Rwandy i polskiej prowincji na powołanie Wydawnictwa „Pallotti-Press”. Rozpoczęło ono swoją działalność wydaniem trzech pozycji: „Nagaha Nyagasani nditabye” (Oto jestem Panie), „Ubutumwa bwa Rozali” (Orędzie różańca), „Mutagatifu wigihe Cyacu - Padri Maxymiliyani Kolbe” (Święty naszych czasów - Ojciec Maksymilian Kolbe). Największym jednak przedsięwzięciem było wydanie we współpracy z drukarnią „Pal-lottinum” w Poznaniu pozycji „Igitabo cy'umukristu” (Książka chrześcijanina) w nakładzie 140 tys. Pierwsze egzemplarze dotarły do Rwandy w lutym 1981 roku.

W sierpniu tego roku przybyli do Rwandy pierwsi bracia: Jan Grabowski i Stanisław Bieś, którzy w niedalekiej przyszłości mieli podjąć pracę w drukarni. Wreszcie 3 września 1981 roku rozpoczęto budowę pierwszego pawilonu, czyli hali maszyn, a trochę później - drugiego. Budowę nadzorował przyszły dyrektor techniczny drukarni. Budowa obydwu pawilonów została zakończona w 1983 roku.

9 kwietnia 1984 roku została zawarta umowa między Episkopatem Rwandy a Delegaturą SAC dotycząca drukarni „Pallotti-Press”. W myśl tej konwencji pallotyńska drukarnia miała służyć ewangelizacji. Podstawowym jej zadaniem winno być drukowanie prasy katolickiej, a w szczególności dwóch czasopism: „Ki-nyamateka” - miesięcznika dla dorosłych i „Hobe” - dla dzieci. Oficjalne otwarcie drukarni i wydawnictwa nastąpiło 9 września 1984 roku. Stopniowo organizowała się edytorska i graficzna działalność. Zatrudniano i szkolono nowych pracowników. Przez kilka lat pracował w drukarni przybyły z Polski Andrzej Pietrzykowski.

23

Rok 1985 to czas bardzo bolesnych doświadczeń i strat. 11 sierpnia umiera w szpitalu w Butare, w wieku 25 lat, br. Stanisław Bieś, który był odpowiedzialny w drukarni za montaż i laboratorium. 17 listopada ginie w wypadku drogowym ksiądz Witold Sikora, dyrektor techniczny drukarni. Wraz z nim zginęła s. Barbara Wiatkowska ze Zgromadzenia Sióstr Służek, pracujących w Rwandzie. Razem z ks. Granatowiczem była to już trzecia śmierć ludzi związanych z drukarnią. Później swoich sił w pracy drukarskiej próbowali bracia: Jan Grabowski i Zbigniew Zujko oraz księża: Andrzej Maciejewski i Adam Pacuła.

Rozwój i funkcjonowanie drukarni to w głównej mierze zasługa dyrektora ks. Stanisława Filipka i br. Marka Mercika. W czasie opisanych wypadków w drukarni pracowano nad katechizmem oraz własną pozycją wydawnictwa: „Ikirezi cya Zaire” (Skarb Zairu). Była to książka obrazująca życie i męczeńską śmierć s. Anuwariety, którą dnia 15 sierpnia 1985 roku papież Jan Paweł II ogłosił błogosławioną. Staraniem wydawnictwa „Pallotti-Press” w 1989 roku ukazało się tłumaczenie na język rwandyjski zbioru dokumentów Kościoła pt. „Komeza abawan-dimwe bawe mu kwemera” (Umacniaj swych braci w wierze). Pierwszy egzemplarz z tej serii został wręczony Ojcu Świętemu podczas jego pielgrzymki do Rwandy w 1990 roku. Później w pallotyńskiej drukarni wydawano wszystkie oficjalne dokumenty Kościoła, księgi liturgiczne i inne. Należy podkreślić, że od rozpoczęcia swojej działalności zarówno drukarnia, jak i wydawnictwo pallotyńskie cieszą się dobrą opinią w Rwandzie.

Z dniem 22 listopada 1993 roku przy wydawnictwie „Pallotti-Press” zaczęło działać Centrum Poligraficzne im. św. Wincentego Pallottiego, w którym 12 uczniów rozpoczęło dwuletni cykl przygotowawczy do pracy poligraficznej. Od nowego roku szkolnego 1993/94 na prośbę konferencji Episkopatu Rwandy wydawnictwo przejęło redakcję czasopisma dla dzieci „Hobe”. Jego redaktorem został ksiądz Tadeusz Małachwiejczyk.

24

Gikondo to również miejsce, z którego dzięki zaangażowaniu i inicjatywie księdza Henryka Hosera bierze początek Akcja Rodzinna. Miało to miejsce w 1977 roku, kiedy objął on kierownictwo w Centrum Socjalno-Medycznym. Aktualny kształt duszpasterstwa rodzin w Rwandzie jest wynikiem jego wieloletnich poszukiwań, we współdziałaniu z grupami zaangażowanymi w to dzieło, a zwłaszcza sekretarki Rwandyjskiej Akcji Rodzinnej, Therese Nyirabukeye. Początek działalności na rzecz rodziny przypada na koniec lat siedemdziesiątych.

W dniach od 10 lutego do 3 marca 1980 roku ksiądz Henryk Hoser wraz z delegacją rwandyjską brał udział w Kongresie Naturalnego Planowania Rodziny w Melbourne w Australii, zorganizowanym wIO. rocznicę ogłoszenia papieskiej encykliki „Hu-manae vitae”. Od tej chwili rozpoczyna się trudny proces uświadamiania i wdrażania w życie w rodzinach rwandyjskich jej zasad. Ksiądz Hoser jest autorem wielu sesji i spotkań propagujących naturalne sposoby planowania rodziny.

Od 1993 roku Rwandyjską Akcja Rodzinna staje się członkiem Federation Internationale d'Action Familiale (FIDAF). W rok później ksiądz Henryk rozpoczął w Centrum Socjalno-Medycznym regularną formację instruktorek Akcji Rodzinnej.

13 marca 1984 roku ks. Hoser referował na konferencji Episkopatu Rwandy założenia projektu Rwandyjskiej Akcji Rodzinnej. Projekt został zaaprobowany przez obecnych na konferencji biskupów. Od tej chwili Akcja Rodzinna stała się jedną z form duszpasterskiej działalności całego Kościoła rwandyjskiego na rzecz rodziny.

Formacja małżeństw i rodzin, w którą tak bardzo zaangażował się ksiądz Hoser wraz z Akcją Rodziną, stawia sobie za cel niesienie kompetentnej pomocy rodzinom przez wychowanie do odpowiedzialnego rodzicielstwa, mając na uwadze cały kontekst kulturowy, ekonomiczny i socjalny, w jakim żyją rodziny. Działacze Akcji Rodzinnej pragną rozwinąć i dowartościować wychowanie

25

do życia w małżeństwie i rodzinie w ogólności. Szczególny jednak akcent kładą na wychowanie do odpowiedzialnego rodzicielstwa i kierowania płodnością na drodze naturalnych metod.

W myśl projektu, w pierwszych latach swojej działalności zorganizowano Krajowy Sekretariat, który miał swoją siedzibę w domu zarządu delegatury na Gikondo. Jednocześnie zaprojektowano powołanie kilku ośrodków regionalnych oraz około 120 ośrodków lokalnych. W krótkim czasie Akcja Rodzinna rozwinęła swoją działalność w kilkunastu ośrodkach

regionalnych oraz w 82 ośrodkach lokalnych, które organizują formację duszpasterstwa rodzin. Uformowane pary małżeńskie przekazują innym zdobytą i praktykowaną wiedzę w zakresie planowania rodziny.

Tylko w roku 1992 formacją w tej dziedzinie objętych było 29890 osób, przygotowano do tej pracy 1777 par, 870 z tych małżonków zdobyło tytuł tzw. par samodzielnych i autonomicznych. Sekretariat Akcji Rodzinnej zorganizował także kilka sesji formacyjnych w Burundi i Zairze. Należy dodać, że tysiące małżeństw pracujących w Akcji Rodzinnej i objętych duszpasterstwem rodzin to nasi współpracownicy i potencjalni członkowie Zjednoczenia Apostolstwa Katolickiego, formowani w duchu naszego Założyciela. Tak więc zabudowania naszej misji pallotyńskiej na Gikondo, w której do roku 1987 znajdowała się siedziba delegatury, a po podniesieniu delegatury do rangi regii w lutym 1987 roku stały się siedzibą Rady Regii na czele z superiorem, miały wielkie znaczenie dla wszystkich pallotynów pracujących w Rwandzie i Zairze. To tutaj podejmowano najważniejsze decyzje i działania pallotyńskie decydujące o naszej przyszłości i podejmowanych zadaniach apostolskich na rzecz rozwoju misji i Kościoła rwandyjskiego. Dodatkowym atutem było dobre położenie: przedmieście Ki-gali, gdzie przyjeżdżali misjonarze na studium języka kinya--rwanda i po zakupy; nasz dom stawał się przystanią i punktem oparcia dla wielu, nie tylko naszych misjonarzy. Nie bez znaczeń-

26

nia była też bliska odległość od jedyne go lotniska w kraju. Przełożeni domu zawsze starali się mu nadać charakter domu otwartego dla wszystkich kapłanów i członków zgromadzeń zakonnych. Dzięki temu zawsze możemy liczyć na pomoc i współpracę w wielu dziedzinach z różnymi osobami, i to nie tylko duchownymi.

Nasza obecność na Gikondo z całym kompleksem zabudowań delegatury, drukarni i wydawnictwa „Pallotti-Press” oraz parafii św. Wincentego Pallottiego wraz z całym zapleczem pomieszczeń parafialnych, to nie jedyne osiągnięcie, którym mogą pochwalić się pierwsi pallotyni, którzy przybyli do Rwandy 8 czerwca 1973 roku. W okresie 20 lat ich obecności na ziemi rwandyjskiej wybudowano wiele kościołów, kaplic, katechumenatów, domów animacji i przychodni zdrowia. Na szczególną uwagę zasługują trzy kościoły wraz z całym zespołem niezbędnych na misjach pomieszczeń, jak plebanie, katechumenaty, magazyny, ośrodki zdrowia i inne pomieszczenia. Pierwszym jest kościół w Gikongoro, w której to parafii mieści się aktualnie biskupstwo. Drugi - to Ru-hango, oraz wspomniany już kościół na Gikondo.

Trzeba też jasno powiedzieć, że wszystkie te projekty i akcje duszpasterskie mogły być realizowane dzięki zaangażowaniu całej polskiej Prowincji Chrystusa Króla, która wspierała misję w Rwandzie nie tylko personalnie, ale i materialnie przez Sekretariat Misyjny i jego sekretarza, księdza Stanisława Kuracińskiego. Jego to aktywności i ogromnemu zaangażowaniu zawdzięcza się, między innymi, regularną organizację i ekspedycję wyposażenia naszych parafii w dewocjalia, paramenty liturgiczne, leki itp. Wielkość tej pomocy, dla ilustracji tylko za okres niespełna dwuletni od 1 stycznia 1977 do 31 listopada 1979 roku, przedstawia sprawozdanie Sekretariatu ds. Misji. Drogą lotniczą wysłano do Rwandy 41346 kilogramów paczek z lekami, z odzieżą, środkami czystości, żywnością i dewocjonaliami. Drogą morską przesłano w skrzyniach przedmioty o łącznym ciężarze 54500 kg. Ponadto

27

przekazano do dyspozycji Delegatury znaczne fundusze, które umożliwiły realizację planów inwestycyjnych, zmierzających do utrwalenia naszej obecności na rwandyjskiej ziemi, a także na zakup niezbędnych w tutejszej działalności misyjnej samochodów, agregatów prądotwórczych, maszyn drukarskich i innych.

Pierwsze dni mojego pobytu wśród współbraci na Gikondo upływały w miłej i braterskiej atmosferze. Starałem się wykorzystać każdą okazję, aby bliżej poznać poszczególnych księży i braci tutaj pracujących. Każdy z nich był dla mnie kopalnią praktycznej wiedzy dotyczącej pracy misyjnej, połączonej z osobistym doświadczeniem. Byłem pełen podziwu dla ich zaangażowania i poświęcenia, jakie wkładali w konkretne dzieła duszpasterskie, wydawnicze i charytatywne prowadzone tutaj na Gikondo. Ks. Stanisław Filipek - przełożony Regii Świętej Rodziny - pełniący również funkcję dyrektora drukarni i wydawnictwa „Pallotti-Press”, ks. Antoni Myjak - proboszcz tutejszej parafii pod wezwaniem św. Wincentego Pallottiego, ks. Jerzy Chwiej - administrator regii, ks. Tadeusz Małachwiejczyk - rektor tutejszej wspólnoty, ks. Ignacy Cieślak - budowniczy i konserwator kościołów wraz z całym zapleczem oraz bracia Marek Mercik i Jan Grabowski - zajmujący odpowiedzialne funkcje w wydawnictwie, to pierwsi współbracia, którzy przy różnych okazjach, dzieląc się swoimi doświadczeniami, pomagali mi bardzo w przygotowaniu się do podjęcia pracy misyjnej w tym kraju.

W pogłębianiu więzi braterskiej bardzo pomagały mi nasze spotkania na modlitwie. Codzienna Eucharystia, modlitwy pally-tyńskie i adoracja Najświętszego Sakramentu przeżywane we wspólnocie były dla mnie źródłem mocy wypływającej ze spotkania z Bogiem, ale i ogromnym ubogaceniem wszystkimi tymi wartościami i motywami nadprzyrodzonymi, którymi kierowała się nasza wspólnota na Gikondo. Każdego dnia doświadczałem wiele życzliwości i pomocy ze strony współbraci. Kiedy należało załatwić wiele formalności

28

związanych z otrzymaniem rwandyjskiej wizy pobytowej, karty pobytu czy wymiany polskiego prawa jazdy na rwandyjskie, z fachową pomocą pospieszył mi ks. rektor Tadeusz Małachwiejczyk oraz administrator regii ks. Jerzy Chwiej. Było jeszcze wiele innych spraw, jak chociażby związanych z zapisem na kurs języka kinya-rwanda w CELA w Kigali (Centre d'Etudes des Langues Africaines), o co zatroszczy się ks. Stanisław Filipek - przełożony Regii Świętej Rodziny. Byłem wdzięczny Bogu, że w tych pierwszych dniach pobytu na ziemi afrykańskiej okazywał mi wiele miłości, poprzez liczne gesty wyrozumiałości i pomocy płynącej ze strony całej wspólnoty. W wielu przypadkach, kiedy musiałem liczyć chociażby na drobną ich pomoc, zdawali oni egzamin z miłości braterskiej na ocenę bardzo dobrą. Byłem dumny z moich współbraci, patrząc na to wszystko, co zdołali zrobić dla Kościoła rwandyjskiego, tutaj w Kigali, w przeciągu zaledwie 23 lat. Na szczególne uznanie zasługuje ich odwaga i poświęcenie, którego wyrazem był powrót do tego umęczonego, zniszczonego i ociekającego krwią kraju zaledwie kilka miesięcy po zakończeniu straszliwych masakr w 1994 roku. Po powrocie musieli podjąć ogromny trud naprawienia tego, co zostało zniszczone tutaj, na naszej misji na Gikondo, w czasie trwania bratobójczych walk w miesiącach od kwietnia do sierpnia 1994 roku.

Straty były ogromne. Począwszy od wydawnictwa i drukarni „Pallotti-Press”, która straciła cały park maszynowy, komputery i inne cenne urządzenia na skutek kradzieży. Czego nie zdołano wynieść, bo było zbyt dobrze przymocowane lub zbyt ciężkie, jak na przykład agregat prądowłórczy, zniszczono na miejscu, uderzając jakimś ciężkim przedmiotem. To, co pozostało w hali produkcyjnej i w innych obok, to ogromne zwały makulatury zalegające szczelnie podłogę na wysokość kolan. Spalona doszczętnie kaplica domowa, nie nadająca się do remontu. Uszkodzone pociskami karabinowymi i moździerzowymi poszycie dachu naszego kościoła parafialnego, powybijane witraże oraz splądrowane całe za-  
piecze pomieszczeń katechumenatu i kompleksu zabudowań parafialnych. Również wszystkie biura Akcji Rodzinnej, archiwum regii oraz pokoje misjonarzy zostały okradzione i częściowo zniszczone. Przepadły wszystkie samochody należące do misji pallotyńskiej.

Generalnie straty materialne poniesione w wyniku wojny domowej, tutaj na Gikondo, były ogromne.

Praktycznie rzecz biorąc, moi współbracia pallotyni, którzy powrócili po kilkumiesięcznej nieobecności, musieli rozpoczynać pracę misyjną od zera. Nieugięta postawa i chęć przywrócenia naszej misji na Gikondo do stanu sprzed 6 kwietnia 1994 roku przynosiła konkretne owoce. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu ks. Stanisława Filipka - superiora Regii Świętej Rodziny, wraz z pozostałymi współbraćmi tworzącymi tutejszą wspólnotę, prace nad przygotowaniem poszczególnych budynków misyjnych do normalnego funkcjonowania przebiegały sprawnie i szybko.

Największe trudności sprawiało przywrócenie działalności wydawniczej „Pallotti-Press”, gdyż wiązało się to z ogromnymi nakładami finansowymi. W tym miejscu należy pochylić czoła przed ks. Stanisławem Kuracińskim, Sekretarzem do spraw Misji, który we współpracy z Zarządem Prowincji Chrystusa Króla dokładał wszelkich starań, aby zaradzić wszystkim najpilniejszym potrzebom materialnym w Rwandzie. Dobijając się do drzwi największych organizacji charytatywnych w Polsce i poza jej granicami, szukał środków materialnych mających skutecznie pomóc misjonarzom, którzy odważyli się na powrót do Rwandy, aby mogli oni jak najszybciej podjąć służbę duszpasterską i charytatywną wśród tych, którzy potrzebowali natychmiastowej pomocy. Potrzeby były ogromne, ale dzięki sprawnej akcji wielu organizacji humanitarnych, a przede wszystkim ofiarności polskiego społeczeństwa, można było wyjść naprzeciw najbardziej nagłym potrzebom misjonarzy i ludności Rwandy. Po czterech tygodniach mojego pobytu na Gikondo nadszedł oczekiwany dzień rozpoczęcia nauki języka kinya-rwanda

30

w Centre d'Etudes des Langues Africaines w Kigali. Organizatorami kursu od wielu lat byli Ojcowie Biali. Miał on trwać około pięciu miesięcy. Nie było to zbyt wiele czasu, biorąc pod uwagę stopień trudności. Językiem urzędowym w Rwandzie jest język francuski, ale tylko niewielki procent ludności posługuje się nim biegle, natomiast kinya-rwanda jest jedynym dialektem, w którym porozumiewają się wszyscy Rwandyjczycy.

Na pierwszym spotkaniu poznałem pozostałych ośmiu uczestników kursu, którzy podobnie jak ja, chcąc podjąć jakąkolwiek pracę w tym kraju, byli zmuszeni do nauczenia się języka kinya-rwanda. W naszej grupie mieliśmy tylko jednego Afrykańczyka. Był nim muzyk pochodzący z Zairu. Pozostali uczestnicy to siostry zakonne z różnych zgromadzeń, które przybyły tutaj z krajów Europy Zachodniej, oraz ja z ks. Andrzejem Jakackim - palloty-nem - z którym przyleciałem do Rwandy. Wykłady miały odbywać się od poniedziałku do piątku w godzinach od 8.30 do 12.30. Naszym wykładowcą był młody nauczyciel - Rwandyjczyk. Zaraz na początku wykładowca oznajmił w języku francuskim, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby jak najlepiej i jak najwięcej nauczyć nas języka kinya-rwanda. Przestrzegł nas przed zniechęceniem, które może pojawić się na skutek napotkanych trudności już w pierwszych dniach nauki. Zachęcał bardzo do solidnego wykonywania zadanych ćwiczeń i prywatnego studium. - Dobrze opanowanie języka kinya-rwanda w znacznym stopniu będzie zależało również od was samych - stwierdził krótko. Polecał nam zakupienie obszernego podręcznika, zawierającego całą gramatykę, ćwiczenia i słownik z tłumaczeniem na język francuski. Był do nabycia na miejscu u Ojców Białych. - Życzę wam wytrwałości i sukcesu w poznawaniu kinya-rwanda - powiedział na zakończenie krótkiego wprowadzenia.

To były jego ostatnie słowa wypowiedziane w języku francuskim podczas pierwszego dnia kursu. Potem z ust nauczyciela padały już tylko słowa w języku kinya-rwanda, które musieliśmy

31

powtarzać po kilka, a nawet kilkanaście razy. Co chwilę na tablicy pojawiała się krótkie zdanie, które najpierw wspólnie próbowaliśmy przeczytać, powtarzając za nauczycielem, a następnie należało je zapisać w zeszycie. I tak w kółko na przemian. Spoglądałem od czasu do czasu na siedzącego obok mnie ks. Andrzeja i odnosiłem wrażenie, że podobnie jak ja przeżywa on swoistego rodzaju horror.

W pewnym momencie któraś z siostr nie wytrzymała i wstając, błagalnym tonem zapytała: - Czy mógłby pan to wszystko przetłumaczyć na język francuski? - i wskazała na tablicę. Zapadła głęboka cisza. Nauczyciel spojrział na nas i uśmiechając się życzliwie, wzruszył ramionami, po czym obrócił się w stronę tablicy, zapisując na niej kolejne słówka. Zmieszana zaistniała sytuacja siostra, usiadła ponownie. Teraz pozostało nam tylko oczekiwanie na przerwę.

O godzinie 10.20 wykładowca ogłosił dwudziestominutową przerwę. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Po wyjściu z sali zebraliśmy się wokół naszego nauczyciela. Ten, spodziewając się fali pytań, i być może protestów z naszej strony, sam przejął inicjatywę.

- Proszę nie myśleć, że was nie rozumiem i że nie wiem, co czujecie po pierwszych dwóch godzinach wykładu. Tak właśnie wygląda nowa metoda nauczania języka kinya-rwanda, czyli tłumaczenie kinya-rwanda przez kinya-rwanda. Jest to metoda niezwykle uciążliwa, zwłaszcza w początkowej fazie nauczania, ale zarazem niezwykle skuteczna. Mogłem się już o tym przekonać kilkakrotnie, ucząc takim sposobem wielu Europejczyków. Tłumaczenie wszystkich słów i zdań, które zapisaliście w notatnikach, znajdziecie w podręczniku, który wam poleciłem - powiedział. - Przepraszam, ale musicie przez to przejść - dodał.

Zrozumiałem wówczas, że to nie zła wola, ale wręcz przeciwnie, chęć szybkiego nauczania nas tego skomplikowanego języka, skłoniła go do przyjęcia takiej właśnie metody. Po przerwie wykłady przebiegały już w spokojniejszej atmosferze. Wyjaśnie-

32

Tradycyjny sposób noszenia młodszego rodzeństwa

Ja też potrafię pozować...

Dzieci na tle plantacji bananowej

Ogród w Masaka

Alojza, opiekunka dzieci z sierocińca w Masaka

Chłopiec w oczekiwaniu na odbiór żywności (parafia Ruhango)

Dzieci na skraju drogi do Ruhengeri

Dzieci w ośrodku zdrowia siostr pallotynek w Ruhango

nie złożone przez wykładowcę większości z nas pozwoliło na zaakceptowanie przyjętej metody i formy wykładów.

W drodze powrotnej na Gikondo wywiązała się ostra dyskusja pomiędzy ks. Andrzejem a dwiema siostrami, które na czas kursu zamieszkały w naszej misji. Dyskusja dotyczyła przyjętej metody nauczania, która wydawała się zbyt trudna. Zdania na ten temat były podzielone. W gruncie rzeczy nie chodziło o stopień trudności zastosowanej metody, ale o jej skuteczność. Jednak na dokonanie jakiegokolwiek oceny trzeba będzie trochę poczekać.

- Nie ma co się martwić na zapas - rzuciłem przez ramię. -Nie my pierwsi i nie ostatni musimy poradzić sobie z tym problemem. Przecież ta trudność była wkalkulowana w nasze powołanie misyjne - dodałem. - Jeżeli Bóg nas tutaj doprowadził, to trzeba ufać, że pomoże nam w opanowaniu tego języka. Czy to nie prawda? - zapytałem, uśmiechając się do pozostałych.

Tego popołudnia wiele zastanawiałem się nad tym, co zrobić by jak najlepiej przyswoić sobie język kinya-rwanda. W głowie rozbrzmiewały słowa naszego nauczyciela, zachęcającego do solidnego studium i wykonywania zadanych ćwiczeń. „Czy to wystarczy?” - stawiałem sobie pytanie.

Spojrzałem na zegarek, który krótkim sygnałem wskazał mi pełną godzinę. Była piętnasta. Sięgnąłem do kieszeni po różaniec. Następnie spoglądając w kierunku spalonej kaplicy, polecałem Miłosierdziu Bożemu wszystkich pomordowanych Rwan-dyjczyków, którzy zginęli w bratobójczej wojnie. W ich intencji i o uproszenie pokoju rozpocząłem odmawiać koronkę do Miłosierdzia Bożego. W chwilę po jej zakończeniu zobaczyłem naszego kucharza, który wymachując ścierką krzychał coś w języku kinya-rwanda na gromadkę chłopców uciekających w popło chu przez dziurę w płocie oddzielającym naszą misję od tereni parafialnego. Dzieciaki trzymały w swoich dłoniach coś, co przy pomyśle jakieś owoce. Podeszedłem do kucharza, aby zapytać co się stało. Ten, zobaczywszy mnie, krzychał z daleka:

3:

- Zobacz padri, ci mali złodzieje znowu przyszli kraść nasze amapery!

- A co to takiego? - zapytałem, uśmiechając się przyjaźnie, aby rozładować atmosferę.

- No, jak to, padri nie wie, że to owoce, które rosły na tamtym drzewie? - wskazał zamaszystym ruchem ręki.

- A może oni byli głodni? - zapytałem odruchowo. Kucharz zmieszał się nagle i opuściwszy nieco głowę, burknął

coś pod nosem i odwróciwszy się na pięcie, pomaszzerował w kierunku kuchni.

W chwilę potem usłyszałem głosy dzieci dobiegające z miejsca położonego po drugiej stronie ogrodzenia. Jak się mogłem domyślać, był to moment podziału owoców zdobytych na naszej misji.

Nagle uświadomiłem sobie, że przecież właśnie dzieci mogą mi bardzo pomóc w moim zmaganiu się z językiem kinya-rwanda! Postanowiłem sobie, że w najbliższych dniach spróbuję nawiązać z nimi kontakt. Wracając do siebie niespodziewanie przyszła mi do głowy kolejna myśl, aby poprosić o pomoc w nauce naszego współbrata pallotylna ks. Janviera Gasore.

- Dziękuję ci, Boże, za Twoje natchnienia - wyszeptałem pełen wdzięczności. Byłem właśnie na wysokości kaplicy domowej. Wszedłem do środka, by pokłonić się Panu. Wewnątrz nie było nikogo. Ukląknęłam i wpatrując się w tabernakulum, oddałem cześć obecnemu tam w Najświętszym Sakramencie Chrystusowi. Klęcząc w milczeniu i nie odrywając wzroku od tabernakulum, wielbiłem Go przy delikatnym akompaniamencie świerszczy i latających owadów, których odgłosy wślizgiwały się do kaplicy przez uchylone okna. Poczułem, jak dziwna błogość zaczęła wypełniać moje serce, powoli ogarniając całe ciało. Przez moment nie wiedziałem, czy to świerszcze, czy to coś we mnie grało, śpiewając Stwórcy pieśń uwielbienia i chwały. - Kocham cię, Boże mój i wszystko moje - kilkakrotnie wyszeptałem. Pochyliłem głowę i trwałem w milczeniu.

34

Tymczasem kilka promieni słonecznych, odbitych prawdopodobnie od lekko falującego na skutek wysokiej temperatury liścia bananowego, wdarło się do wnętrza kaplicy, rozświetlając w kilku miejscach betonową posadzkę na wprost tabernakulum. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś przyozdobił to miejsce świeżymi pąkami kremowych róż.



Nagle nad moją głową rozległ się huk spowodowany uderzeniem jakby czegoś ciężkiego o dach kaplicy. Przestraszyłem się, myśląc, że ktoś rzucił kamieniem, ale w tym momencie powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk gawrona. Jeszcze raz spojrzałem na tabernakulum, dziękując Panu za to spotkanie z Nim, po czym wyszedłem na zewnątrz, kierując się do swojego pokoju.

Wieczorem po kolacji podszedłem do księdza Janviera Gasore i zapytałem, czy nie pomógłby mi w nauce tutejszego języka. Chętnie ofiarował się spełniać rolę korepetytora, a nawet oddał mi swój skrócony mszał w języku kinya-rwanda. Lektury tekstów mszalnych miały rozpocząć się nazajutrz, bo teraz czekało mnie jeszcze spotkanie z ks. rektorem.

Pierwszy tydzień nauki nowego języka upłynął niezwykle szybko. Najwięcej czasu poświęcałem na codzienną Eucharystią, modlitwę brewiarzową i inne ćwiczenia duchowne oraz oczywiście na naukę. Właściwie każdą wolną chwilę poświęcałem kinya-rwanda. Przed południem wykłady w CELA, po południu odrabianie zadanych ćwiczeń i studium, a wieczorem korepetycje u księdza Gasore.

Muszę przyznać, że z każdym dniem coraz więcej uczestników kursu językowego zaczęło pozytywnie się wyrażać na temat metody nauczania, jaką przyjął nasz wykładowca - Izajasz. Same lekcje w miarę upływu czasu stawały się bardziej interesujące. Wykład rozpoczynał się od prezentacji pracy domowej. Najczęściej były to proste ćwiczenia gramatyczne polegające na uzupełnieniu zdań odpowiednimi słowami, które należało wybrać z grupy kilku proponowanych przez podręcznik. Następnie każdy z uczestników musiał opowiedzieć w kilku najprostszych zda-

35

niach, jak spędził poprzednie popołudnie. To ćwiczenie należało do najtrudniejszych i dla niektórych takim pozostało do ostatniego dnia trwania kursu. Trzon wykładu stanowił materiał gramatyczny i ćwiczenia fonetyczne. Na kilkanaście minut przed zakończeniem wykładów Izajasz rozdawał nam różne obrazki, których treść mieliśmy opowiedzieć w języku kinya-rwanda. To ćwiczenie należało do najbardziej zabawnych i nierzadko przeradzało się w swoisty kabaret, kiedy na przykład ktoś z nas trzymając w ręku obrazek przedstawiający krowę, mówił, że widzi na nim psa. Podobnych śmieszności było bardzo wiele.

Pocieszaliśmy się jednak wszyscy stwierdzeniem Izajasza, że robimy znaczne postępy w znajomości języka.

Była sobota. Dzień wolny od zajęć w CELA. Po porannej Eucharystii i śniadaniu, korzystając z orzeźwiającego powietrza, wybrałem się na spacer połączony z modlitwą różańcową.

Obrałem kierunek na ścieżkę prowadzącą wzdłuż płotu okalającego teren naszej pallotyńskiej misji. Po chwili znalazłem się na wąskiej dróżce biegnącej wzdłuż działki uprawnej, na której rosły drzewa bananowe, papaje, awokado i inne. W ich konarach har-cowało wiele ptaków.

Wykonując akrobatyczne tańce pełne piruetów, radośnie śpiewały potrząsając skrzydełkami.

Wśród nich najczęściej było brązowych papug z charakterystycznymi czubkami na głowie.

Były też i inne, barwnie upierzone, które swoimi jaskrawymi kolorami wspaniale

prezentowały się na tle zielonych liści bananowców. Zatrzymałem się na moment, aby co

niektórym lepiej się przyjrzeć. Teraz dopiero zauważyłem jak kilka papug, zakrzywionymi

dziobami, wsysało kryształowe krople rosy, spływające po szerokiej powierzchni liści

bananowca. Nie opodal, gromadka innych ptaków uganiała się za kolorowym motylem,

usiłując go złapać. „Szkoda, że nie wziąłem aparatu fotograficznego” - pomyślałem.

Ruszyłem dalej. Szperając po kieszeniach w poszukiwaniu różańca, zbliżyłem się do dużego kwitnącego krzewu. Kwiaty ko-

36

loru czerwonego swoim wyglądem przypominały mi polskie lilie. Rozłożyste kielichy przyciągały setki maleńkich muszek i innych owadów, które krążąc wokół wydawały charakterystyczny pomruk. Zauważyłem maleńkiego kolibra o lśniącoshafiro-wym

ubarwieniu, który dziobem nieco dłuższym od swojego ciała, przypominającym igłę do strzykawki, raczył się nektarem wysysanym z dna kwiatu. Robił to sprawnie i szybko, mimo że czasami cały zanurzał się w kwiatowym kielichu.

- Jakże wielki i potężny jesteś, Panie mój i Boże, stwarzając to wszystko w tak cudownej harmonii - westchnąłem. - Jeżeli nie zapomniałeś o tych maleńkich owadach i ptakach, na które patrzę, o ileż bardziej musisz troszczyć się o każdego człowieka, który jest Twoim najdoskonalszym stworzeniem.

Po tej refleksji rozpocząłem modlitwę różańcową, starając się skupić już tylko na niej.

Po zakończeniu modlitwy, wróciłem do mieszkania. Kiedy usiadłem za biurkiem, by powtórzyć przerobiony materiał z kinya-rwanda, uświadomiłem sobie, że dzisiaj nadarza się dobra okazja, aby pójść do dzieci i razem z nimi poćwiczyć język. Błyskawicznie podjąłem decyzję: „Pójdę do nich po południu” - postanowiłem.

Po obiedzie postarałem się o klucz do furtki prowadzącej na teren parafii. Przypomniałem też sobie, że mam jeszcze trochę słodyczy przywiezionych z Polski. Wsunąłem do kieszeni czekoladę i gumy do żucia, zabrałem zeszyt z długopisem i ruszyłem na spotkanie z dziećmi. Tuż po opuszczeniu mieszkania usłyszałem głośne krzyki dobiegające prawdopodobnie z boiska znajdującego się na terenie należącym do naszej pallotyńskiej parafii, gdzie najczęściej gromadziły się dzieci. Boisko to było usytuowane tuż za ogrodzeniem oddzielającym zabudowania misji od zabudowań należących do parafii. Po kilku minutach przekroczyłem próg furtki i skierowałem się w kierunku boiska, gdzie w potężnym tumanie kurzu biegała spora gromadka rozkrzyczanych

37

chłopców. Stanąłem na skarpie, tuż obok boiska. Przez chwilę bacznie ich obserwowałem. Mimo lejącego się z nieba żaru, biegali żwawo za czymś co przypominało piłkę. Żaden z grających nie miał obuwia. Biegając po glinianej nawierzchni boiska, wzniesiali tumany kurzu. Ubrani byli w podarte, stare koszulki, w których więcej było dziur, niż materiału, i krótkie spodnie pożółkłe od słońca i starości.

Po chwili zostałem zauważony przez jednego z chłopców, który krzyknął: - Reba, umuzungu! (zobaczcie, biały!) - wskazując na mnie palcem. Pozostali zastygli na moment w bezruchu. W chwilę potem ruszyli w moim kierunku, powtarzając: - Mura-ho, muraho muzungu (dzień dobry, dzień dobry biały).

- Muraho - odpowiedziałem wyciągając dłoń na powitanie.

Teraz mogłem przyjrzeć im się z bliska. Wszyscy, ciężko dysząc, próbowali ocierać ogromne krople potu spływające po ich wychudłych policzkach. Pozdrawiając, uśmiechali się do mnie, a ja - spoglądając im w oczy - dostrzegłem w nich smutek i niepewność. Najmłodszy z chłopców mógł mieć około 6 lat, a najstarszy nie więcej jak 14. Wszyscy byli bardzo brudni i zaniedbani.

- Urakora iki hano? (co tutaj robisz?) - zapytał któryś.

- Ndi umupadri (jestem księdzem) - odpowiedziałem.

- Padri, padri wacu! (ksiądz, nasz ksiądz!) - powtarzali w radosnym uniesieniu.

- Ese uzi kinya-rwanda? (czy znasz język kinya-rwanda?) - zapytał ktoś inny.

- Si cyane, ariko ndagerageza (nie bardzo, ale próbuję poznać).

- Witkwa nde? Utuye he? (jak masz na imię? Gdzie mieszkasz?) - posypały się kolejne pytania.

- Nitkwa Romani, ntuye hano hafi, kwa abapadri Pallotini (mam na imię Roman, mieszkam tutaj blisko, u Księży Palloty-nów) - odpowiedziałem.

38

Nagle zrobiło mi się bardzo gorąco. Na moment świat zakołysał się wokół mnie. To rozżarzone słońce, które smagało nas swoimi promieniami, przyprawiło mnie o chwilę słabości. Przecież staliśmy na otwartej przestrzeni, a temperatura o tej porze dnia i przy tak

słonecznej pogodzie znacznie przekracza granicę trzydziestu stopni. Chłopcy stawiali kolejne pytania, ale ja nie zwracając na nich uwagi, myślałem już tylko o jednym - by znaleźć kawałek cienia. W pośpiechu rozglądając się wokół, zauważyłem kilka rozłożystych drzew cyprysowych rosnących tuż przy ogrodzeniu oddzielającym teren parafii od naszej misji.

„Tam jest wystarczająco dużo cienia dla nas wszystkich” - pomyślałem.

- Tugende hariya (chodźmy tam) - zwróciłem się do chłopców, wskazując im na zacienione miejsce.

- Tugende, padri Romani (idziemy, księżo Romanie) -jednomyślnie odpowiedzieli wszyscy. Wystarczyła mała chwila, a po stojących przy mnie chłopcach pozostał tylko tuman kurzu. W biegu ich jasne stopy wyglądały jak białe motyle lecące nad łąką. Nagle ktoś złapał mnie za dłoń. Obok stał najmniejszy z chłopców i kurczowo ściskając mi dłoń powiedział: - Tugende, padri (chodźmy, księżo).

Siedzieliśmy już wszyscy razem w cieniu rozłożystego cyprysu. Bardzo chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat zgromadzonych wokół mnie dzieci. Znając moje znikome możliwości językowe, bałem się otworzyć ust. „A może ktoś z nich zna język francuski” - pomyślałem.

- Ninde uzi igifaransa? (kto zna francuski?) - zapytałem nieśmiało, obawiając się, czy zrozumieją pytanie.

- Uyu, uyu padri Romani! (on, on księżo Romanie!) - krzyczeli wszyscy, wskazując na najstarszego z nich. Chłopak zmieszał się nieco.

Jak masz na imię? - zwróciłem się do niego w języku francuskim.

39

- Marc (Marek) - odpowiedział niepewnie.

- Marc, masz piękne chrześcijańskie imię.

- Tak, padri, otrzymałem je na chrzcie świętym.

- Posłuchaj, Marc. Mam do ciebie prośbę. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych tutaj chłopców: gdzie mieszkają, czym zajmują się ich rodzice i czy chodzą do szkoły. Czy mógłbyś zapytać ich o to w języku kinya-rwanda, a następnie przetłumaczyć ich odpowiedzi na język francuski?

- Spróbuję, padri, ale nie wiem, czy zechcą mówić o sobie... - wyszeptał Marc, spoglądając na mnie pośpiesznie. Wydawało mi się, że wiele już wiedział o nich.

Po chwili Marek zwrócił się do gromadki zasiadającej wokół nas bardzo szybko wypowiadając kilka zdań w formie pytań. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Kątem oka obserwowałem reakcje chłopców. Kolejno jeden po drugim opuszczali głowy. Jeden z nich ukrył swoją twarz w brudnych dłoniach. Poczułem, jak najmłodszy, siedzący tuż obok mnie, zadrżał. W chwilę potem znowu pochwycił moją dłoń i trzymając ją bardzo mocno, przysunął się bliżej mnie. „Co się dzieje?” - stawiałem sobie pytanie.

Nareszcie któryś z chłopców przerwał milczenie, ciężkim głosem wypowiadając kilka zdań. W chwilę potem dołączyli się inni. Popłynął potok słów pełnych smutku i goryczy.

Widziałem, że Marek wsłuchiwał się uważnie w każdą ich wypowiedź. Z niecierpliwością oczekiwałem, kiedy rozpocznie tłumaczenie wszystkiego, co usłyszał, gdy tymczasem kilka dużych mrówek spacerowało beztrudno po moich adidasach.

- Padri - zwrócił się do mnie drżącym głosem Marek. - Oni wszyscy są sierotami. Rodziców zamordowano im w czasie walk w 1994 roku. Jego mama i ojciec - wskazał na jednego z chłopców - chyba żyją, tak mówi ciotka, ale uciekli do Zairu. Od roku nie dają znaku życia. Żaden chłopiec nie chodzi do szkoły. Nie mają domów; albo mieszkają w nich obcy ludzie. Chłopcy śpią pod schodami tego kościoła - ruchem ręki wskazał na nasz ko-

40

ściół parafialny. - Reszta śpi na bazarze. Przykrywają się starymi kartonami. To wszystko, padri... Nastąpiła głęboka cisza.

- A twoi rodzice Marku?

- Oboje nie żyją. Ojciec poszedł do wojska. W lipcu 1994 roku otrzymaliśmy wiadomość, że zginął na północy Rwandy, w okolicach Ruhengeri. Kilka miesięcy później, zachorowała i zmarła mama.

- Czy masz kogoś bliskiego?

- Tak. Mieszkam z moją babcią i trojgiem młodszego rodzeństwa. Mam dom, ale muszę ciężko pracować, by zarobić na jedzenie dla wszystkich. Babcia choruje już od dłuższego czasu, a poza tym jest stara.

- Jak zdobywasz pieniądze na wyżywienie aż pięciu osób?

- Cztery dni w tygodniu pracuję przy wypalaniu cegły i węgla drzewnego, w okolicach Kabuga.

- Czy to daleko stąd?

- Około trzech godzin forsownego marszu.

- W jedną stronę? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Tak, w jedną stronę.

- Chodzisz do pracy piechotą?

- Tak. Czasami uda mi się zatrzymać jakiś pojazd, ale to zdarza się bardzo rzadko.

- Jesteś bardzo dzielny, Marku - powiedziałem, klepiąc go po ramieniu.

- A ci tutaj chłopcy - co oni jedzą?

- O ile mi wiadomo, każdego ranka udają się na pobliskie targowisko. Tam czasami niektórym udaje się zarobić kilka franków, na przykład: przy załadunku worków z węglem drzewnym, ziemniakami lub warzywami. Młodszy po prostu zebrzą. Tam również można najłatwiej znaleźć wyrzucony na ziemię nadgniły banan lub inny owoc. Jednak bywają i takie dni, że i na targowisku nie udaje im się zdobyć jakiegokolwiek pożywienia. Wówczas,

41

by przeżyć, muszą kraść. Od czasu do czasu ich łupem padają niektóre owoce na terenie misji, tutaj obok - wskazał na nasz pal-lotyński ogród. - Przedostają się tam przez dziury w płocie.

Marek zamilkł. Wokół zapanowała kompletna cisza. Tylko brzęk komara latającego nad naszymi głowami próbował ją zakłócić.

Kolejny raz spojrzałem na wychudzone i ubrudzone twarze dzieci. Ogarnęło mnie uczucie żalu aż do bólu. Coś ścisnęło mnie za gardło. Poczułem pieczenie pod zamkniętymi powiekami. W chwilę potem kilka ciepłych kropli spłynęło mi po policzkach. Ukryłem twarz, wkładając głowę między kolana.

- Padri - ktoś trącił mnie lekko. Uniosłem powoli głowę. - Takich jak my w Kigali są tysiące - wyszeptał Marek.

- Mój Boże... - westchnąłem.

Od chwili, kiedy rozpoczęliśmy naszą rozmowę, upłynęło sporo czasu. Poczułem, jak podkurczone nogi zdrętwiały mi zupełnie.

- Tugende kwiruka (chodźmy pobiegać) - powiedziałem, usiłując jednocześnie wstać. Okazało się, że moje nogi są jak z waty. Wstałem więc i próbując postawić pierwszy krok, nieomal nie upadłem. Natychmiast z pomocą pospieszyli mi dwaj chłopcy, podtrzymując mnie za łokcie. Cała reszta widząc moją niemoc, poczęła radośnie rechotać. „Dzięki ci, Boże, za ten uśmiech na ich twarzach” - westchnąłem.

Zaabsorbowany przebiegiem tego spotkania i wszystkim tym, co usłyszałem na temat tu obecnych chłopców, zupełnie zapomniałem o czekoladzie i gumach do żucia, które przyniosłem ze sobą. Wsunąłem dłoń do kieszeni i wyciągnąłem zmiękła na skutek wysokiej temperatury czekoladę.

- Nimuze hano (zblizcie się tutaj) - powiedziałem rozpakowując czekoladę. Wszyscy bacznie obserwowali ciemną tabliczkę, dzieloną na równe kawałki.

- Padri, iki niki? (ojcze, co to jest?) - zapytał najmłodszy.

42

- To jest czekolada - uprzedzając mnie, szybko odpowiedział Marek.

- Kumurongo (ustawcie się szeregu) - powiedziałem, zwracając się do chłopców, po czym przywołałem Marka.

- Marc, rozdaj im to. Mam nadzieję, że wystarczy dla wszystkich.

- Dobrze, padri.

W chwilę później pierwsze kostki czekolady błyskawicznie zniknęły w ustach uradowanych chłopców.

- Irawyoshye, irawyoshye (jakie to smaczne) - powtarzali wszyscy.

Niektórzy dokładnie oblizywali brudne palce, do których przyłgnęły resztki roztopionej czekolady.

- Murakoze, murakoze cyane, padri wacu (dziękujemy, dziękujemy bardzo, nasz ojcze) - powtarzali.

„Być może dla większości z nich była to pierwsza kostka czekolady jaką zjedli w ich życiu” - pomyślałem.

- Padri, wystarczyło dla wszystkich - powiedział Marek oddając mi opakowanie po czekoladzie.

- A ty? - zapytałem odruchowo, widząc, że pozostały jeszcze dwie kostki.

- Chcę je odstąpić najmłodszemu - odpowiedział.

- Zrób, jak uważasz.

Marek podszedł do chłopca i wręczył mu resztki czekolady. Maluch uśmiechnął się do niego i sprawnym ruchem włożył smakołyk do buzi. Byłem zdumiony postawą Marka. Potrafił zrezygnować z kawałka czekolady na rzecz najmłodszego chłopca. Myślę, że wiele go to kosztowało. Marek, po zrobieniu kilkunastu kroków, zatrzymał się na chwilę. Obserwowałem go kątem oka. Korzystając z okazji, że był odwrócony plecami do wszystkich, rozwinął złotko po czekoladzie i kilkoma szybkimi pociągnięciami języka zlizął resztki. „Mój Boże!” - westchnąłem, wracając myślami do Polski, gdzie po świętach Bożego Narodzenia

43

czy Wielkanocy w miejskich śmietnikach można było znaleźć wiele wyrzuconych smakołyków, a agencje informacyjne mówiły o licznych przypadkach ludzi hospitalizowanych na skutek przejedzenia. Jeszcze raz spojrzałem na powracającego Marka. Moje oczy zrobiły się wilgotne.

„Czas na naukę” - pomyślałem i zacząłem wymachiwać zeszytem.

- Ubu ndashaka kwiga kinya-rwanda (teraz chciałbym pouczyć się kinya-rwanda) - zakomunikowałem chłopcom.

- Nibyo, padri (dobrze, ojcze) - odpowiedzieli jednomyślnie. W chwilę potem zapisywałem w zeszycie pierwsze słówka,

dyktowane przez moich małych nauczycieli. Wskazywali oni na różne rzeczy, podając jednocześnie ich nazwę, np. drzewo, słońce, kamień.

Po kilkudziesięciu minutach zapełniłem dwie pierwsze strony zeszytu nowymi wyrazami.

„Wystarczy na dzisiaj - pomyślałem. Do kolejnego spotkania trzeba będzie tego wszystkiego nauczyć się na pamięć”. Poczuję zmęczenie. Pora wracać.

Przywołałem Marka i wręczyłem mu paczkę gum do żucia.

- Rozdaj to chłopcom i podziękuj za pomoc w nauce kinya--rwanda. Tobie dziękuję szczególnie - powiedziałem, podając mu dłoń na pożegnanie.

Tego wieczoru nie mogłem długo zasnąć. Leżąc wygodnie w łóżku myślałem o poznanych dziś chłopcach, którym po raz kolejny przyjdzie spędzić noc pod schodami kościoła czy w zakamarkach bazaru.

„Takich, jak my, są tysiące” - jak bumerang powracało w mej pamięci bolesne stwierdzenie Marka. Tysiące głodnych, zapomnianych, cierpiących, okrutnie doświadczonych przez los sierot rwandyjskich. Ileż z nich nie może zasnąć z powodu braku własnego domu z kawałkiem miejsca do spania. Ileż z nich leżąc na gołej ziemi, przykrywając się kawałkiem kartonu lub szmaty, aby nieco uchronić się przed nocnym chłodem, wpatruje się teraz

44

w gwieździste niebo, myśląc o zamordowanych rodzicach i zniszczonym domu rodzinnym? Ileż z nich teraz może płacze i marzy o kawałku chleba i o kimś bliskim, kto mógłby je przygarnąć pod swój dach? Ileż z nich umrze tej nocy? Na myśl o tym zimny dreszcz przebiegł po moim ciele.

Nagle nocną ciszę rozdarł huk kilku pojedynczych wystrzałów z broni maszynowej, oddanych gdzieś w oddali. Po chwili napięcia nastąpiła głęboka cisza.

Poczułem dotkliwe pieczenie na całej twarzy. Był to efekt dzisiejszego kilkugodzinnego przebywania na słońcu. „Przecież to Afryka” - pomyślałem i przekręcając się na bok, starałem się już

o niczym nie myśleć, by jak najszybciej zasnąć.

Przez kilka następnych dni wiele myślałem o spotkanych dzieciach i o ich tragicznej sytuacji. Miałem świadomość, że są oni maleńką częścią prawie półmilionowej rzeszy sierot, które cierpią, walcząc o przetrwanie na różne dostępne im sposoby. Spotykając się z moimi współbraćmi, wypytywałem ich o zakres pracy charytatywnej w naszych parafiach, a szczególnie tej dotyczącej pomocy dzieciom. Z ich relacji pomoc sierotom była traktowana jako priorytet.

Na tym polu wielką rolę odgrywała nasza współpraca z siostrami pallotynkami, które poza jedną naszą parafią w Kinoni, we wszystkich pozostałych parafiach prowadziły ośrodki zdrowia

i ośrodki dożywiania dla sierot i najbiedniejszej ludności. Ale jak powtarzali moi współbracia, była to kropla w morzu potrzeb.

Z ich relacji zrozumiałem powagę sytuacji. Tylko dobrze skoordynowana współpraca mogła przynieść znaczące owoce w postaci uratowania życia wielu cierpiącym dzieciom. Tak bardzo chciałem mieć w tym dziele swój udział od początku mojej przygody misyjnej w tym jakże umęczonym i boleśnie doświadczonym kraju.

Mijały kolejne tygodnie. Robiłem wszystko, by każdego dnia spędzić chociaż trochę czasu z dziećmi, ucząc się przy okazji ich

45

języka. Zapisywałem w moim zeszycie kolejne słówka, poznając nowe twarze dzieci, które w poszukiwaniu pomocy pojawiały się na terenie naszej parafii na Gikondo. Moje zapasy słodczy przywiezione z Polski szybko się skończyły. Któregoś dnia usiadłem i napisałem listy do kilku zamożniejszych rodzin w Polsce, opisując im tragiczny los sierot w nadziei otrzymania jakiejś pomocy dla nich. Pozostało mi cierpliwie czekać na jakąkolwiek reakcję z ich strony.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Moi współbracia mieli pełne ręce pracy. Najwięcej czasu poświęcali na przedświąteczną spowiedź wiernych z pallotyńskiej parafii w Masaka, oddalonej 17 kilometrów od Kigali. Jest to największa nasza parafia w Rwandzie, licząca około 45000 wiernych. W jej skład wchodziło siedem kościołów filialnych, do których należało dotrzeć, by wyspowiadać miejscowe wspólnoty chrześcijan liczące po kilka tysięcy osób. By dotrzeć do najdalszego z nich w Kangam-ba, trzeba było pokonać odległość trzydziestu kilometrów w jedną stronę, jadąc najczęściej na drugim biegu ze względu na fatalną, pełną dziur i wybojów, nieutwardzoną drogę. Przez dwa tygodnie poprzedzające święta Bożego Narodzenia moi współbracia wyjeżdżali na spowiedź do Masaka lub sprawowali posługę sakramentalną tutaj na Gikondo.

Od czasu masakr ludności cywilnej budynki mieszkalne księży zostały zajęte przez wojsko, które zamieniło je na koszary. Parafia funkcjonowała w miarę normalnie dzięki kilku świeckim, tzw. abayobozi - szefom - odpowiedzialnym za administrację, współpracę z katechistami i koordynowanie pracy z księdzem proboszczem Antonim Myjakiem mieszkającym na Gikondo.

Wszyscy uczestnicy kursu nauki języka kinya-rwanda w CELA zostali poinformowani o dziesięciodniowej przerwie świątecznej. Tak, jak większość, ucieszyłem się z tych, można powiedzieć, ferii świątecznych, tym bardziej, że w domu czekało wiele pracy,

46

w której trzeba będzie pomóc współbraciom i siostram pallotyn-kom, na które spadał cały ciężar przygotowania wieczery wigilijnej. Dla mnie miały to być pierwsze święta spędzone na ziemi afrykańskiej. Pogoda od kilku dni znacznie się pogorszyła. Na przemian świeciło słońce i padał ulewny deszcz. - Nie ma co się dziwić, pora deszczowa - powtarzali starsi współbracia. „Jakież to będą święta?” - zastanawiałem się, spoglądając na niebo, gdzie na przemian pojawiała się słońce i ociężałe chmury, grożące w każdej chwili wylaniem potoków deszczu.

- Szczęść Boże! - zabrzmiało niespodziewanie czyjeś pozdrowienie.

Wyrwany z zadumy, obejrzałem się za siebie.

- Szczęść Boże, Janku! - odpowiedziałem, witając się z bratem Janem Grabowskim.

- Widzę, że z tęsknotą spoglądasz w niebo. No, jeszcze będziesz musiał sporo popracować, by tam się dostać - zażartował brat Janek, klepiąc mnie po ramieniu.

- Wiesz, Romek, wracam od siostr pallotynek. Przechodząc obok boiska spotkałem gromadkę dzieci. Pytały o ciebie.

- A tak, to moi mali nauczyciele języka kinya-rwanda. Wybieram się do nich po południu. Jeżeli nie będzie padało - dodałem spoglądając na ociężałe chmury. - Janek, te dzieciaki spędzają sen z moich oczu. Często stawiam sobie pytanie: dlaczego tak wiele dzieci w tym kraju musi okrutnie cierpieć? Tak bardzo chciałbym im pomóc. Chociaż garstce z nich, chociaż jednemu. Przecież za kilka dni święta Bożego Narodzenia. Cóż to będą za święta dla nich - bez rodziny, domu, czegoś do zjedzenia... - głos utknął mi w gardle.

- Romek, mam pewien pomysł - odezwał się Janek przerywając zapadłą na moment ciszę. - Chodźmy do mnie.

Po chwili znaleźliśmy się w budynku administracji drukarni „Pal-lotti-Pressé”, w którym to również mieszkali współbracia pracujący tutaj. Wchodząc na piętro, spotkaliśmy brata Marka Mercika.

47

- Wejdz do mnie - powiedział brat Janek, wskazując na drzwi swojego pokoju. - Zamienię tylko słówko z bratem Markiem i zaraz przychodzę.

Wszedłem do środka. Jeszcze dobrze nie usiadłem, a już w drzwiach pojawił się brat Janek.

- Mam coś dla tych sierot z boiska - zwrócił się do mnie szperając w szafie. - Zobacz. To są nowe koszulki bawełniane o różnych rozmiarach. Zabierz je i przy okazji pobierania korepetycji u twoich małych nauczycieli, możesz im je wręczyć jako prezent świąteczny. To jeszcze nie wszystko. Zaraz powinien pojawić się tutaj brat Marek. On też ma kilka rzeczy z odzieży dla dzieci. To na pewno im się przyda.

Skrzypnęły drzwi, w których pojawił się br. Marek z wypchaną reklamówką w dłoni.

- Kilka swetrów, bluza sportowa i dwie pary krótkich spodni - radośnie zakomunikował, wręczając mi jednocześnie reklamówkę.

- Dziękuję wam bardzo. Bóg zapłać - powiedziałem, myśląc już o radoszej niespodziance, jaką przeżyją dzieci.

- No, lecimy do pracy - odezwał się brat Marek, spoglądając na Janka. - Powodzenia - rozległ się ich głos za moimi plecami.

- Dziękuję - rzuciłem na pożegnanie, opuszczając budynek drukarni.

Około południa słońce radośnie wyjrzało zza chmur. Z każdą upływającą minutą odsłaniały się nowe połacie błękitnego nieba. Cieszyłem się z tego powodu, bo słoneczna pogoda umożliwiała mi pójście na spotkanie z dziećmi.

Po obiedzie przejrzałem i spakowałem otrzymane od braci koszulki, swetry i spodnie. W międzyczasie przysłała mi do głowy myśl, by korzystając z dobrej pogody przed rozdaniem koszulek wymyć porządnie przynajmniej niektóre dzieci i dopiero wtedy założyć im nowe, czyste rzeczy. Nie było chwili do stracenia. Do dużego plastikowego wiadra wlałem sporą ilość polskiego szamponu i poszedłem napełnić je ciepłą wodą w jednej z czterech ka-

48  
bin z natryskami. Obawiałem się, że może nie być wody. Odkręciłem kurek, z którego leniwie popłynęła wąska strużka letniej wody. Odetchnąłem z ulgą. „Mam szczęście!” - pomyślałem, gdyż często po odkręceniu kranu można było usłyszeć tylko charakterystyczne syczenie powietrza.

Wiadro powoli napełniało się, a wokół rozchodził się przyjemny zapach szamponu.

Zanurzyłem palec w wodzie. Była wystarczająco ciepła. (Do podgrzewania wody służyły ogromne baterie słoneczne, zamontowane na zewnątrz budynku. Tak więc

0 ciepłym prysznicu można było marzyć tylko wówczas, kiedy przynajmniej przez kilka godzin świeciło słońce. W porze suchej, kiedy było dużo słońca, brakowało wody. Natomiast w porze deszczowej, kiedy wody było pod dostatkiem, brakowało najczęściej słońca, by ją nagrzać. To są uroki życia misyjnego).

Z wiadrem w jednej i z reklamówką w drugiej dłoni ruszyłem w kierunku boiska znajdującego się po drugiej stronie ogrodzenia. Kilka razy musiałem się zatrzymać, gdyż uchwyt wiadra boleśnie wrzynał mi się w palec prawej dłoni. Droga wydawała się dłuższa niż zwykle, ale gdy po przekroczeniu furtki zobaczyłem biegnące w moim kierunku dzieci, zupełnie zapomniałem o ciężarze wielkiego wiadra z wodą. W chwilę później stałem już pośrodku gromadki chłopców, wymieniając przyjazne uściski dłoni i pozdrawiając się serdecznie.

Było ich około dziesięciu. Rozpoznałem wśród nich kilku stałych bywalców, którzy radośnie witali mnie, mówiąc: „Padri Roma-ni! Padri wacu, muraho” (ojciec Roman! Nasz ojciec, dzień dobry). Pozostali to mali chłopcy, których widziałem po raz pierwszy. W oddali pozostała dziewczynka z maleńkim dzieckiem na plecach.

Wszyscy zaczęli spoglądać na leżącą obok mnie wypchaną reklamówkę i wiadro z wodą. Uprzedzając ich pytania, w kilku zdaniach w języku kinya-rwanda powiedziałem im, że mam dla nich trochę rzeczy. - Jest to odzież i każdy może otrzymać coś dla siebie. Ale jest jeden warunek. Najpierw trzeba będzie zdjąć

49

z siebie stare ubranie, a następnie porządnie się umyć - powiedziałem, wskazując na przyniesione wiadro z wodą. Okrzyk radości, który się rozległ, był dla mnie potwierdzeniem, iż dobrze mnie zrozumieli.

Ostro świecące słońce tym razem było moim sprzymierzeńcem. Poprosiłem zgromadzonych chłopców, by ustawili się według wzrostu: od najmniejszego do największego. Najmniejszym chciałem osobiście pomóc w umyciu się.

Podszedłem do wiadra i leżącej obok niego reklamówki, z której wyjąłem duży ręcznik. W tym czasie dzieci błyskawicznie ustawiły się gęsiego. Spojrzałem na pierwszego chłopca, który niezdarnie próbował zdjąć z siebie podartą, starą bluzkę. Złapałem za rękaw i podciągając go do góry, pomogłem mu przy jej zdjęciu. Poczulem zapach stęchlizny i lepkość w dłoniach. Chłopiec mógł mieć nie więcej jak pięć lat.

- Komera (odwagi) - powiedziałem, częściowo zanurzając jego głowę w ciepłej i pachnącej wodzie. Malec przy zetknięciu z wodą parsknął niby koń, co wywołało burzę śmiechu wśród



pozostałych. Przewieszając ręcznik przez ramię, rozpocząłem polewać jego głowę i szyję, nabierając wodę obiema dłońmi. Dzieciak pochylony głęboko nad wiadrem czynił to samo, rozmazując grubą warstwę brudu pokrywającą jego głowę, szyję i plecy. Polewałem go nieustannie wodą, nabierając ją dłońmi i bacząc, by jak najmniej rozlewało się jej poza wiadro. Po chwili dzieciak pokrył się pianą od pasa aż po czubek głowy. Wyglądał teraz jak żywy bałwan, ulepiony przez polskie dzieci zimową porą. Pozostali chłopcy chichotali radośnie, wskazując palcami na myjącego się malca. Pozostało tylko splukać pianę i podać mu ręcznik do wytarcia. „Przydałoby się trochę czystej wody bez szamponu” - pomyślałem. W tym właśnie momencie jeden z chłopców stojących w kolejce zawołał:

- Padri, urashaka amazi? (ojcze, czy chcesz wody?) - pokazując kilkilitrowy plastikowy pojemnik.

50

Twierdząco skinąłem głową. W chwilę potem wylałem na głowę malca, która pokryta była puchową otuliną z piany, trochę czystej wody. Musiała być zimna, bo chłopiec podskoczył jak ukłuty szpilką. Powoli zniknęły resztki piany, a malec głęboko wciągał nosem roznoszący się przyjemny zapach szamponu.

- Birahagije (wystarczy) - powiedziałem.

Malec gwałtownym ruchem otrząsnął się kilka razy, niby gęś po wyjściu z wody, opryskując wszystkich dokoła. Nakryłem go ręcznikiem i poczynając od twarzy i głowy rozpocząłem wycierać umytą połowę ciała. Nagle w mojej wyobraźni pojawiła się scena z Wieczernika z Jezusem umywającym nogi Apostołom, i Jego słowa: „Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wyście powinni sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem...”. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy w moim życiu mogłem dosłownie wypełnić te słowa.

Kończąc wycieranie malca, zarzuciłem ręcznik na ramiona i sięgnąłem do reklamówki.

Wyjąłem z niej przyjemny w dotyku sweter koloru zielonego. Podeszedłem do umytego dziecka, by sprawdzić, czy będzie odpowiedniej wielkości. Teraz dopiero zauważyłem jak zmienił się jego wygląd. Krótkie mocno skręcone włosy lśniły w słońcu jak sople lodu. Świeżo umytą buzię rozjaśniały iskrzące -jak dwa szafiry - piękne duże oczy. Malec przykładając rękę do nosa, głęboko wciągał powietrze, delektując się przyjemnym zapachem świeżości. Przez głowę nałożyłem mu sweter. Pasował jak ulał. Wokół rozległy się gromkie brawa. Chłopiec wyglądał wspaniale.

- No, to następni - powiedziałem, przywołując tym razem dwóch kolejnych chłopców.

Z każdą minutą mycie przebiegało coraz sprawniej. Kolejka oczekujących szybko zmniejszała się. Już tylko trzech najstarszych mających około 12 lat chłopaków myło się przy akompa-

51  
niamencie radosnych dyskusji, śmiechu i wśród oglądania otrzymanych koszulek i swetrów.

- Padri, tkwarangije (ojcze, skończyliśmy) - odezwał się któryś z ostatniej trójki, podając mi ręcznik. Wręczyłem im trzy zapakowane jeszcze w folię białe bawełniane koszulki. Przyjęli je z błyskiem w oczach i szczerząc w uśmiechu białe zęby, mówili:

- murakoze, padri (dziękujemy, ojcze). Pozostali powtórzyli za nimi jednym chórem: - murakoze cyane, padri wacu (dziękujemy bardzo, nasz ojcze). „To nie mnie należy się podziękowanie

- pomyślałem - ale moim współbraciom Jankowi i Markowi”.

Mogłem spokojnie spojrzeć na jakże inaczej wyglądającą niż przed godziną gromadkę uradowanych chłopców. Teraz też dopiero zauważyłem stojącą nie opodal nas dziewczynkę z dzieckiem na plecach, zazdrośnie spoglądającą na odświeżonych rówieśników. Zrobiło mi się jej żal. Sięgnąłem do kieszeni, w której miałem kilka monet. Podeszedłem i wręczyłem jej kilkadziesiąt franków rwandyjskich. - Kup sobie coś do zjedzenia - powiedziałem...

Na niebie w oddali zaczęły się pojawiać pierwsze ciemne chmury. Zerwał się silny wiatr. Zanosiło się na deszcz. Musiałem jeszcze opróżnić wiadro i zabrać reklamówkę z mokrym ręcznikiem. Wróciłem do chłopców i żegnając się, złożyłem im życzenia świąteczne. Złapałem wiadro i przechylając je, wylałem brudną wodę koloru ciemnobrazowego. Na dnie pozostała gruba warstwa błotnistej osady przypominającej roztopioną czekoladę. Pozbyłem się tej pamiątki po umytych dzieciach kilkoma uderzeniami odwróconego wiadra o ziemię. „Trzeba je będzie porządnie wyszorować” -pomyślałem. Spojrzałem na kawałek ręcznika wystającego z reklamówki, który po tym jednorazowym użyciu będę musiał przeznaczyć na szmatę do podłogi. Ale jakie to miało znaczenie w porównaniu z radością, jaką przeżywały teraz te biedne dzieci.

Niebo szybko pokrywało się grubą warstwą chmur. Z oddali dobiegały ciężkie pomruki towarzyszące wyładowaniom atmosferycznym.

52

Był to ostatni moment, by powrócić do domu przed rozpoczęciem ulewy. Walcząc z silnym wiatrem, wracałem do naszej misji. Moje serce wypełniła nieoczekiwana radość i pokój. Kiedy znalazłem się na wysokości domowej kaplicy, zatrzymałem się i pozostawiając wiadro z ręcznikiem wewnątrz, wszedłem do środka, by podziękować Panu za to dzisiejsze spotkanie z dziećmi. W momencie przekroczenia progu kaplicy na zewnątrz rozszalała się ogromna ulewa połączona z piorunami. Po pozdrowieniu Pana obecnego w Najświętszym Sakramencie, pierwszą rzeczą, o której pomyślałem było to, czy chłopcy z boiska zdołali na czas się ukryć przed burzą.

Kaplicę wypełniał huk uderzeń ogromnych i gęsto padających kropeł. Z dachu spływała lawina wody, która nie mieszcząc się w specjalnych kanałach odprowadzających, opryskiwała najniższe partie okien.

W tej deszczowej scenerii, pełen wzruszenia, wpatrywałem się w tabernakulum. Odnosiłem wrażenie, jak gdyby całe niebo płakało, uzalając się nad tysiącami rwandyjskich sierot opuszczonych i ogromnie doświadczanych cierpieniem. „Panie -westchnąłem - Ty wiesz najlepiej, jak niewiele potrzeba, by przywrócić im odrobinę radości i nadziei. Ty sam tak bardzo kochałeś dzieci i często stawiałeś je za wzór bezgranicznej i ufnej miłości swoim uczniom, mówiąc: «Jeżeli nie staniecie się jako te dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego.... Pozwólcie przychodzić dzieciom do Mnie...». Panie, mój Boże -westchnąłem - udziel mi łaski, bym w każdym najbiedniejszym dziecku, umiał dojrzeć Ciebie, cierpiącego i oczekującego na pomoc. Pozwól mi być dla nich ojcem i matką. Maleńkim promykiem nadziei i radości. Dodaj sił i odwagi w niesieniu im pomocy.

«Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili»" - zabrzmiało w moim sercu...

53

Nadszedł dzień wigilii Bożego Narodzenia 1995 roku. Od rana trwały ostatnie gorączkowe przygotowania do wieczery wigilijnej i święta Narodzin Zbawiciela. Z kuchni dobiegały ożywione głosy naszych kucharzy i siostr pallotynek, z którymi wspólnie mieliśmy zasiąść do stołu wigilijnego. W powietrzu unosił się przyjemny zapach smażonych ryb i charakterystyczny trzask oleju. Pomagałem księdzu rektorowi Tadeuszowi Małachwiejczykowski przy dekorowaniu sali spotkań, refektarza i naszej domowej kaplicy, gdzie należało jeszcze dokończyć żłóbek. Drzewka cyprysowe, które zastępowały polskie jodełki czy świerki, zostały już umieszczone w miejscach, gdzie najczęściej spotyka się cała wspólnota. Poprzedniego dnia ksiądz Tadeusz, pracując do późnych godzin nocnych, przyozdobił je kolorowymi bombkami, światełkami i innymi ozdobami zakupionymi u Arabów lub przygotowanymi przez siostry pallotynki.

Koło południa wszystko było związane na ostatni guzik. Pozostało już tylko czekać na zapadnięcie zmroku. O godzinie 18.30, kiedy dzień błyskawicznie ustępował miejsca nocy,

bo tak dzieje się to na równiku, rozbłyśły kolorowymi światłami przystrojone drzewka cyprysowe. Nasz refektarz na Gikondo powoli wypełniał się współbraćmi, siostrami pallotynkami i kilkusobową grupą gości. Byli to księża i siostry zakonne z innych zgromadzeń. W sumie stanowiliśmy sporą wspólnotę liczącą ponad 20 osób. Na kilku stołach nakrytych białymi obrusami i przyozdobionych stroikami zapłonęły świece. Wokół zapanowała niepowtarzalna atmosfera. Któraś z sióstr zaintonowała w języku francuskim kolędę „Cicha noc”. Wszyscy włączyli się w śpiew. Rozejrzałem się wokół. Byli wśród nas nie tylko Polacy, ale i Rwandyjki i Rwan-dyjczycy, siostry Hiszpanki i Włoszki oraz Niemcy. „Tylko Ty, przychodzący Panie, masz moc w tak cudowny sposób łączyć ludzi z różnych kultur, narodów i języków” - pomyślałem.

Po zakończeniu śpiewu kolędy, głos zabrał przełożony Regii Świętej Rodziny, ksiądz Stanisław Filipek. W słowach pełnych 54

ciepła i radosnej nadziei, złożył wszystkim zebranych przy wigilijnym stole najlepsze życzenia świąteczne. Potem rozpoczęło się łamanie opłatkiem połączone z życzeniami. Z głośnika magnetofonu popłynęły znajome melodie kolęd śpiewanych w języku francuskim. Wśród najczęściej padających słów były życzenia pokoju dla Rwandy, by móc bezpiecznie kontynuować podjęte prace duszpasterskie, charytatywne i wydawnicze w tym umęczonym kraju. Następnie zasiedliśmy do stołu, by w rodzinnej atmosferze spożyć kolację wigilijną. Składały się na nią dania przyrządzone z ziemniaków, fasoli, ryżu, kilku rodzajów ryb oraz sałatek warzywnych i owocowych. Na zakończenie wszyscy zaśpiewaliśmy kilkanaście kolęd w języku polskim, francuskim i kinya-rwanda.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła 21.30. Postanowiłem jeszcze trochę pospacerować przed pójściem do pokoju. Na zewnątrz panowała zupełna cisza. Było ciepło, a na sklepieniu nieba migotało wiele gwiazd. Jakżesz to była inna wigilia od tych dotychczasowych, spędzonych w Polsce. W myślach powróciłem do mojego dzieciństwa. Pamiętam zapach wigilijnych potraw, zapach siana składanego na środku stołu jako symbolu żłóbka betlejemskiego. Pamiętam z jaką niecierpliwością wyglądaliśmy pojawienia się na niebie pierwszej gwiazdy, by zasiać do wieczery wigilijnej. Pamiętam stawiane przez mamę jedno puste krzesło dla ewentualnego przybysza czy bezdomnego. Pamiętam życzenia rodziców wypowiedane z wielką powagą i namaszczeniem. Pięknie śpiewane staropolskie kolędy. Pierwszych kolędników i sąsiadów przychodzących z białym opłatkiem, by się nim połamać i złożyć życzenia. I wreszcie bieluteńki śnieg otulający puchową poduszką konary i gałęzie drzew i charakterystycznie skrzypiący pod butami w drodze na pasterkę.

Z oddali dobiegło przejmujące wycie psa, przywracając mnie do rzeczywistości. „Boże, przychodzisz do ludzi w tę świętą noc. Przychodzisz szczególnie do najbiedniejszych, opuszczonych,

55

głodnych i cierpiących. Przychodzisz więc do tego umęczonego kraju, bo tak wielu tu takich właśnie biedaków. Jutro miliony serc rwandyjskich staną się żłóbkami dla Ciebie, kiedy w Komunii świętej przyjmą Cię z radością. Panie, bądź im pomocą, radością i nadzieją wśród morza cierpienia i beznadziejności” - westchnąłem, myśląc o poznanych sierotach.

Była godzina szósta rano. W promieniach porannego słońca i przy akompaniamencie uderzeń dzwonów z naszego kościoła parafialnego na Gikondo opuszczaliśmy naszą misję udając się wraz z księdzem regionałem Stanisławem Filipkiem do parafii Masaka, by tam odprawić uroczystą Mszę w święto Bożego Narodzenia. Miał to być dla mnie historyczny dzień w czasie mojego pobytu w Rwandzie z dwóch powodów. Po raz pierwszy miałem publicznie odprawić Mszę świętą w języku kinya-rwanda oraz, po drugie, zobaczyć, jak wygląda cała oprawa liturgiczna w tej nowej dla mnie kulturze afrykańskiej.

Po przejechaniu kilkunastu kilometrów asfaltową drogą prowadzącą w kierunku Tanzanii, skręciliśmy w prawo na drogę prowadzącą wprost do naszej pallotyńskiej parafii pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła.

Kościół, wraz z całym kompleksem zabudowań misyjnych, usytuowany był na szczycie jednego z najwyższych wzniesień znajdujących się w bezpośredniej bliskości stolicy Rwandy - Ki-gali. Był to jednocześnie dla wojska bardzo ważny punkt strategiczny, gdyż to tutaj przebiegał korytarz lotniczy i wszystkie samoloty, zarówno te kontynentalne, jak i z Europy, podchodząc do lądowania, przelatywały na bardzo niskim pułapie, można powiedzieć - kilkadziesiąt metrów nad dachami naszych zabudowań. To prawdopodobnie ze zbocza tej góry dnia 6 kwietnia 1994 roku wystrzelono dwie rakiety w kierunku rządowego samolotu, na pokładzie którego znajdował się ówczesny prezydent Rwandy Juvenal Habyarimana, który zginął wraz z całą załogą i kilkoma

56

innymi ważnymi osobistościami ze świata polityki (między innymi generałem głównodowodzącym armią rwandyjską oraz prezydentem Burundi, Cyprianem Ntaryamirą). To wydarzenie dało początek gwałtownym zamieszkom na tle etnicznym i przerodziło się w jedną z najkrwawszych w dwudziestym wieku wojen domowych, która pochłonęła blisko 2 miliony istnień ludzkich -Tutsi i Hutu.

Wspinaliśmy się powoli w górę drogą pełną dziur i kolein. Spojrzałem ku szczytowi góry, od którego dzielił nas dystans około trzech kilometrów. Żółtobrunatna gliniasta nawierzchnia drogi sprawiała wrażenie ogromnego węża wijącego się wśród zieleni małych plantacji bananów, kawy i fasoli. Co kilkaset metrów mijaliśmy grupki żołnierzy rwandyjskich uzbrojonych w ciężką broń maszynową.

Po kilku minutach dojechaliśmy do miejsca, gdzie kontynuowanie dalszej drogi uniemożliwiała gruba lina przeciągnięta w poprzek drogi, przymocowana z jednej strony do grubego drzewa eukaliptusowego, a z drugiej do pąka wbitego tuż przy wejściu do czegoś, co można by nazwać wojskową wartownią. Na skraju drogi stało trzech żołnierzy i grupka cywilów trzymających w dłoniach jakieś dokumenty.

Ksiądz regional podjechał powoli i zatrzymał się przed zagradzającą nam drogę liną. Jeden z żołnierzy podszedł do nas i zapytał:

- Mugiye he? (dokąd jedziecie?)

- Tugiye gusoma misa (jedziemy odprawić Mszę św.) - pewnym głosem odpowiedział ksiądz Stanisław.

Żołnierz wodząc wzrokiem po nas i samochodzie, powolnym ruchem odwiązał linę i opuszczając ją na ziemię, dał znak do odjazdu.

Tuż za barierą po prawej stronie drogi zauważyłem duży kompleks zabudowań.

- To ośrodek zdrowia i budynki mieszkalne sióstr pallotynek - oznajmił ksiądz Filipek.

57

Był to jeden z największych i zarazem najlepiej prowadzonych ośrodków zdrowia w okolicy. W znacznej mierze była to zasługa polskich pallotynek, które przy dobrej współpracy z siostrami rwandyjskimi pięknie służyły chorym, dbając również o estetyczny wygląd budynku i dobre wyposażenie w niezbędne leki.

Wspinaliśmy się coraz wyżej, mijając sznur ludzi podążający w kierunku naszej parafii.

Większość z nich, szczególnie starsze kobiety, szło na bosaka, podpierając się kijami zamiast lasek. Po obu stronach drogi rozciągały się niewielkie poletka uprawne z fasolą i słodkimi ziemniakami oraz niewielkie plantacje kawy i bananów. Zauważyłem także kilka zupełnie zniszczonych i opustoszałych domów. Ich mieszkańcy czy właściciele prawdopodobnie zostali zamordowani w czasie masakr.

W miarę zbliżania się do szczytu góry mijaliśmy coraz większe grupy chrześcijan, którzy pozdrawiali nas serdecznie wymachując dłońmi. Ostatni skręt pod kątem 90 stopni i

znaleźliśmy się na wprost kościoła. Ksiądz regional po lekkim slalomie między ogromnymi drzewami rosnącymi na placu przykościelnym zaparkował samochód przed biurem parafialnym. Po przywitaniu się z miejscowymi gospodarzami zarządzającymi i opiekującymi się kościołem, biurem i po części czuwającymi nad normalnym funkcjonowaniem całej parafii, udaliśmy się do zakrystii mieszczącej się po prawej stronie wejścia do świątyni. Weszliśmy do środka. Kościół był już wypełniony po brzegi. Ukłękliśmy na krawędzi ostatniej w rzędzie ławki, by pozdrowić Pana. Ponad głowami wiernych dostrzegłem kamienny ołtarz nakryty białym obrusem, na którym stał już mszał i tuba z mikrofonem. Na ścianie za ołtarzem po lewej stronie umiejscowione było duże tabernakulum, którego pozłacane drzwiczki lśniły na tle zieleni kwiatów przyozdabiających ołtarz. Jeszcze bardziej na lewo, w bliskiej odległości od schodów prezbiterium, stała dużej wielkości szopa betlejemka. Z miejsca, w którym klęczałem, mogłem dostrzec zaledwie jej dach pokryty kijami bambusowymi i wysu-

58

szoną długą trawą. Do jej strzechy przymocowana była srebrno-biała gwiazda betlejemka. Na rogach i po bokach szopy ustawione były cyprysy oraz drzewko bananowe, które w Rwandzie jest symbolem życia. Podobne rośliny ustawione były z boku ołtarza i ambonki. Całe prezbiterium tonęło w zieleni kwiatów, cyprysów i ciętych bananowców.

Widząc powstającego z klęczek księdza Stanisława, ruszyłem za nim do zakrystii, z której wydobywały się kłęby pachnącego dymu kadzidła. Zbliżała się godzina siódma. Krótkie, ale serdeczne powitania z ministrantami i lektorami, którzy szczerze wypełniali całe pomieszczenie. Część z nich ustawiła się już przed zakrystią, formując szyk do procesjonalnego wyjścia do ołtarza.

Kiedy kończyliśmy zakładanie szat liturgicznych, jeden z kilku chórów parafialnych, które miały uświetnić dzisiejszą uroczystość Bożego Narodzenia, pięknie rozpoczął śpiew kolędy „Bóg się rodzi” w języku kinya-rwanda. Serce drgnęło we mnie na dźwięk znajomej i jakże bliskiej mi melodii polskiej kolędy, tak często śpiewanej w rodzinnej, parafialnej czy seminaryjnej wspólnotce w okresie Bożego Narodzenia.

Po modlitwie i skłonie krzyżowi ruszyliśmy przez środek kościoła w kierunku ołtarza, od którego dzielił nas dystans około 20 metrów. Wokół zapanowała niepowtarzalna atmosfera. Nagle powietrze rozdarł dźwięk rytmicznych uderzeń bębnów i innych instrumentów, a przed ołtarzem pojawiła się grupa kilkunastu tańczących (dziewczynek). Wszyscy wierni włączyli się w radosny śpiew kolędy, której słowa oznajmiały światu radosną nowinę o Narodzeniu Dziecięcia - Syna Bożego. Wydawało mi się, że nie tylko powietrze, ale i mury kościoła drżały pod naporem tańca i śpiewu setek wiernych.

Powoli i zbliżaliśmy się do ołtarza, zamykając procesję składającą się z: około dwudziestu ministrantów, którzy oprócz krzyża z kandelatbrami nieśli również kadzidło, Biblię, księgi liturgiczne oraz wodę święconą. Przedzieraliśmy się przez falującą rzeszę lu-

59

dzi, którzy w radosnym uniesieniu przytupywali i klaskali w dłonie w rytm uderzeń bębnów. Znalazłem się tuż obok kilku tańczących dziewczynek, wchodzących w skład większej grupy okalającej całe prezbiterium. Były ubrane w jednolite białe stroje przypominające alby przepasane niebieskim paskiem z materiału. Podobne paski miały przymocowane do nadgarstków oraz jeden szerszy okalał szczerze głowę. Tańczyły na bosaka, ale nad kostkami i w okolicy łydek miały przymocowane jak gdyby małe dzwoneczki, które przy każdym ruchu stopą wydawały niebywały dźwięk przypominający syczenie węża. Wysoko uniesione dłonie z powiewającymi wstążkami, płynne i pełne niewinnego wdzięku taneczne ruchy w rytm bębnów i sykania węzów przy każdym stąpieniu po kamiennej posadzce kościoła zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Wyglądało to tak, jak gdyby prawdziwe anioły zstąpiły z

nieba i otaczając ołtarz w radosnym uniesieniu oczekiwały przyjścia Boga, które miało się dokonać w czasie tej Eucharystii w momencie konsekracji.

Po ucałowaniu i okadzeniu ołtarza z napięciem oczekiwałem na rozpoczęcie Mszy świętej, której miał przewodniczyć ksiądz regio-nał. Spojrzałem na wypełnioną po brzegi świątynię. Tańczące dziewczynki, młodzi mężczyźni grający na ogromnych bębnach, ministranci i lektorzy, chóry parafialne wyróżniające się charakterystycznymi dla każdego jednolitymi kolorowymi strojami, falująca raz w lewo a raz w prawo rzesza wiernych i ich potężny śpiew, mieszający się z pachnącym dymem kadzidła, świec oraz kwiatów i cyprysów, wprowadziło mnie w stan, który nie sposób wyrazić słowami.

To wszystko na co patrzyłem, czego słuchałem i co wchłaniałem w moje nozdrza, świadczyło o niezwyklej randze wydarzenia, jakim jest Boże Narodzenie, które miało się dokonać tu na ołtarzu, a następnie w sercach tutaj zebranych wiernych, kiedy to w Komunii świętej przyjmą Go do swoich serc, zamieniając je w żłóbek betlejemski.

60

Kiedy wybrzmiały ostatnie słowa śpiewanej kolędy a wokół zapanowała cisza, ksiądz Stanisław donośnym głosem zaintonował: -Ku Izina Iy'Imana Data na Mwana, na Roho Mutagatifu" (w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego) - a kościół zadrżał, gdy wierni potężnym głosem odpowiedzieli - Amen. Tak rozpoczęła się pierwsza dla mnie Msza święta, przeżywana z ludem rwandyjskim na ich ojczystej ziemi. Trwała około dwóch godzin. Jeżeli chodzi o atmosferę i zaangażowanie wiernych, niepowtarzalna i niebywała. To była jedna wielka manifestacja ich miłości do przychodzącego do nich Boga. Wyrażali to na swój, jakże żywiołowy, afrykański sposób: tańcząc, klaszcząc i śpiewając. Cała oprawa liturgiczna z pięknie służącymi przy ołtarzu ministrantami, niezwykle procesja z darami, nosząca liczne znamiona egzotycznej dla mnie miejscowej kultury, pięknie śpiewające na kilka głosów chóry oraz cudownie tańczące na dziękczynienie dziewczynki, stwarzały niepowtarzalną atmosferę radości spotkania i przyjęcia przychodzącego Zbawiciela.

Tuż przed zakończeniem Eucharystii mogłem przekonać się o ich wdzięczności za dar naszej obecności i wspólnej modlitwy w czasie sprawowanej Mszy świętej. Nie było końca podziękowaniom i życzeniom wypowiedzianym przez przedstawicieli poszczególnych grup parafialnych, składanych na ręce księdza re-gionała Stanisława Filipka. Towarzyszyła im każdorazowo lawina oklasków na stojąco wszystkich wiernych.

Z podziwem spoglądałem na setki par oczu, które dosłownie iskrzyły radością, promieniując na ich czarne twarze, a lśniąco białe zęby obnażone szczerym uśmiechem, jak gdyby przymnażały wokół światła. Po raz pierwszy od momentu przybycia do Rwandy miałem okazję przekonać się, jak wielkim darem jest dla nich kapłan i jak bardzo go potrzebują. Pomyślałem sobie, co by było, gdyby dzisiaj zabrakło im księdza misjonarza. Nie byłoby dla zebranych tutaj prawdziwego Bożego Narodzenia - bez spowiedzi adwentowej i dzisiejszej, jakże podniosłej, liturgii Mszy świętej.

61

Jakżesz byłem wdzięczny moim współbraciom pallotyńskim, którzy odważyli się powrócić do swoich owiec zdziesiątkowanych, zagubionych i cierpiących na skutek masakr z 1994 roku. To dzięki nim we wszystkich naszych pallotyńskich parafiach, tak jak tutaj w Masaka, tysiące Rwandyjczyków może przyjść do swoich świątyni i tak jak niegdyś przed wiekami pasterze w Betlejem, odnaleźć i przyjąć Dziecię Jezus. Przecież wystarczy spojrzeć na ich twarz, by zauważyć tryskającą z nich radość, mimo tylu cierpień, problemów i biedy, z którą borykają się na co dzień. To tylko Boże Dziecię, które przyjęli do swoich serc, mogło dokonać tak wielkiej i cudownej przemiany stanu ich ducha, przynosząc nadzieję, miłość i radość wśród morza otaczającego ich zła i nienawiści.

Kiedy po uroczystym błogosławieństwie wracaliśmy do zakrystii, czułem, jak pot obficie spływał mi po plecach. Ostre słońce rozgrzewało już dach i mury świątyni z zewnątrz, a od

wewnątrz czynili to licznie zebrani w niej wierni. Teraz, kiedy napięcie powstałe na skutek doznanych przeżyć zaczęło opadać, odczułem panujący w głębi kościoła zaduch, połączony z ostrym zapachem ludzkiego potu. „Jakież to inne Boże Narodzenie” - pomyślałem, przywodząc na pamięć zmroźony puszysty śnieg.

Po zakończeniu świątecznej przerwy powróciliśmy do normalnych zajęć, kontynuując naukę języka kinya-rwanda w CELA. Nie zaniedbywałem również spotkań z moimi małymi przyjaciółmi z przyparafialnego boiska, pomagając im na różne sposoby, a przy okazji pobierając korepetycje.

Któregoś dnia obudziłem się z potwornym bólem głowy. Z wielkim trudem udało mi się zwlec z łóżka i dotrzeć do kaplicy na poranne modlitwy i Mszę świętą. Ból głowy stawał się coraz dotkliwszy, a przez moje ciało przechodziły na przemian fale ciepła i zimna. Czułem, że moje nogi robią się jak z waty. Myśla-

62

łem tylko o tym, by wytrwać do końca Eucharystii. Ostatnie minuty przy ołtarzu wydawały mi się wiecznością. Z ulgą odetchnąłem, kiedy znaleźliśmy się w zakrystii. Musiałem wyglądać nie za ciekawie, gdyż nie zdążyłem zdjąć jeszcze alby, a obok mnie pojawiła się jedna z sióstr pallotynek.

- Księżo, czy dobrze się czujesz?

- Źle to mało powiedziane. Okropnie boli mnie głowa, a nogi mam jak z gumy.

- To zapewne malaria. Trzeba będzie zrobić wymaz krwi. Zaprowadzę księdza do pokoju.

- Nie, nie trzeba. Pójdę sam. Dziękuję, siostrze.

- Proszę się położyć i czekać. Zaraz któraś z nas przyjdzie do księdza pobrać krew.

- Dobrze, dziękuję.

Niektórzy ze współbraci przysłuchując się naszej rozmowie żartowali, mówiąc:

- Nie martw się. Pierwsza malaria to prawdziwy chrzest bojowy dla młodego misjonarza.

Po kilku minutach leżałem już w swoim łóżku. Było mi bardzo zimno. Siostra, która przyszła, by pobrać krew na badanie, poprosiła bym podał jej dłoń, bo trzeba będzie nakłuć palec.

Uczyliłem to z trudem, gdyż cały drżałem z zimna.

- Ma ksiądz wysoką temperaturę - powiedziała dotykając mojego czoła. - Trzeba się dobrze nakryć. Wynik badania będzie za jakąś godzinę. Czy pogryzły ostatnio księdza komary?

- Wiele razy - odpowiedziałem, szcękając z zimna zębami.

- No, tak... - usłyszałem z ust siostry otulającej mnie szczelnie kocem.

W kilka minut później pojawił się ksiądz Tadeusz Mała-chwiejczyk, przynosząc kilka grubych, ciepłych koców.

- Romek, nie przejmuj się. Bez księdza nie umrzesz - powiedział, uśmiechając się przyjaźnie i okrywając mnie przyniesionymi kocami.

63

- Dziękuję za troskę - odpowiedziałem z trudem, wtulając się w ciepłe koce.

- Czy przynieść ci coś do jedzenia?

- Prosiłbym tylko o szklanek gorącej herbaty.

- Księżo, księżo - usłyszałem czyjś głos, jak gdyby dobiegający z zaświatów, jednocześnie ktoś potrząsał mnie za ramię. Z trudem otworzyłem ciężkie powieki. Jak przez mgłę rozpoznałem twarz siostry pochylającej się nad moim łóżkiem.

- Przepraszam, że zbudziłam księdza, ale trzeba zażyć lekarstwo. Wynik badania jest pozytywny. To malaria.

W tym momencie w drzwiach pojawił się ksiądz Tadeusz. W jednej dłoni trzymał szklanek z kolejną herbatą, a w drugiej butelkę z wodą.

- Widzę, że woda też się przyda do popicia tego świństwka - zażartował, spoglądając na torebkę z lekami przyniesioną przez pielęgniarkę. - Proszę, gorąca herbata. Gdybyś czegoś potrzebował, to daj znać - powiedział, wychodząc z pokoju.

- Księżę, proszę to wypić - powiedziała siostra Orencja, podając mi cztery duże tabletki. - Jutro rano zażyje ksiądz kolejne cztery, a pojutrze dwie. Powinno pomóc.

- Co to za lekarstwo?

- To jest klorokina. Najczęściej stosowana przez nas przy tej chorobie. Zazwyczaj bywa skuteczna - dodała.

„Oby tak było” - pomyślałem, wrzucając tabletki do szklanki z odrobiną wody.

- Zostawiam księdzu termometr. Po wypiciu leków proszę zmierzyć temperaturę. W razie gorączki niech ksiądz zażyje te tabletki. Trzy razy dziennie po jednej - powiedziała, kładąc drugą saszetkę na biurku.

- Dobrze, siostrze. Dziękuję bardzo za wszystko.

- O... drobiazg. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Zostałem sam. Małą łyżeczką dokładnie wymieszałem wrzucone do szklanki tabletki, które rozpuszczając się bez trudu, za-

64  
mieniły się w mleczną gęstą substancję. Przechyliłem szklankę i wypilem jej zawartość. Cóż to był za okropny smak! Szybko sięgnąłem po herbatę, by przełknąć resztki leku i zmienić smak w ustach. Błyskawicznie opróżniłem całą szklankę herbaty. Niewiele to jednak pomogło. Obrzydliwy smak nadal wypełniał gardło i przełyk. Poczułem skurcz żołądka. Myślałem, że zwymiotuję. Po chwili wszystko wróciło do normy. Odetchnąłem z ulgą. Siegnąłem po termometr i wkładając go pod pachę, wcisnąłem się pod stertę koców. Znowu zrobiło mi się bardzo zimno. Powieki robiły się coraz cięższe. Po kilku minutach z trudem wyjąłem termometr. Na po-działce odczytałem 39,2. Zażyłem tabletkę na zabicie temperatury i spoglądając na mały krucyfiks wiszący nad łóżkiem, westchnąłem i obróciłem się na bok.

Kiedy się obudziłem, nie wiedziałem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Byłem zupełnie mokry, tak jak gdyby ktoś wylał na mnie wiadro wody. Najpierw spojrzałem w okno, by upewnić się że to nie noc, a następnie na budzik. Była godzina jedenasta. Ból głowy rozsadał mi czaszkę. Chciałem wstać, by zmienić zupełnie mokrą bieliznę, lecz kiedy zaledwie usiadłem na łóżku, poczułem się jak na rozszalanej karuzeli. Padając na łóżko, szeroko rozwarłem ramiona, aby mocno uchwycić się dłońmi jego krawędzi. Wydawało mi się, że zaraz zostanę wyrzucony w powietrze jak z kata-pulty. Zamknąłem oczy, przewracając się na plecy. Karuzela ustała.

Kiedy myślałem, że jest już dobrze, przyszło najgorsze. Nagle serce zaczęło uderzać jak młotem, próbując rozsadzić mi klatkę piersiową, po czym nastąpiła przerwa w jego pracy. Zupełna cisza. Uczucie duszności i ciemność przed oczami.

Taki stan trwał kilka chwil. Myślałem, że to koniec. Ogarnął mnie strach. Nie chciałem umierać w samotności. Usiłowałem wstać z łóżka. Powoli usiadłem i spuszczać nogi, próbowałem zrobić pierwszy krok. Wokół wszystko zawirowało i ratując się przed upadkiem, w ostatniej chwili złapałem za kłamek

65

w drzwiach mojego pokoju. Otwierając je, osunąłem się na ziemię. Byłem tak słaby, że dalej mogłem poruszać się tylko na czworakach. Pełzając jak jaszczurka, z ledwością dotarłem do końca długiego korytarza, gdzie znajdowała się sala rekreacyjna. Obok znajdowały się drzwi prowadzące na zewnątrz budynku, skąd dobiegał znajomy głos księdza Stanisława Kantora. Wyczołgałem się na zewnątrz. Ostre słońce ukłuło boleśnie w źrenice tak, że pociemniało mi przed oczami. Po chwili dostrzegłem tuż obok mnie metalowy słup podtrzymujący zadaszenie nad schodami. Pochwyciłem go mocno obydwoma dłońmi i powolutku podniosłem się, stając na nogach. Cały drżałem. Ksiądz Stanisław rozmawiał z ogrodnikiem. Kiedy mnie zauważył, przerwał rozmowę i podszedł do mnie.

- Staszek, ratuj...! - powiedziałem, kurczowo trzymając się metalowego słupka.

- Co się stało? Czyżbyś chciał wyrwać z ziemi tę podporę? - zażartował ks. Kantor.



- Umieram. Jedna z sióstr, chyba mnie otruła. Miała dać mi leki przeciw malarii, ale widocznie się pomyliła, bo serce chce mi wyskoczyć z klatki piersiowej - wybełkotałem.  
- Cha! cha!! - rozległ się donośny śmiech księdza Stanisława. - Nie umrzesz tak szybko. To normalne przy malarii. Jedni wymiotują, drudzy nie zsiadają z sedesu, a jeszcze inni, jak ty, słabną i wydaje im się, że to koniec... Chodź, pójdziemy usiąść do sali - powiedział, łapiąc mnie mocno pod ramię. - Nie martw się, to minie. To normalne działanie bardzo silnego leku. Zaraz przygotuję ci szklanekę gorącego mleka - powiedział, sadzając mnie w drewnianym fotelu.

Po wypiciu mleka poczułem się lepiej.

- Wracaj do łóżka - powiedział ksiądz Staszek, pomagając mi się podnieść.

Kilka minut później leżałem w swoim łóżku, spoglądając na sufit, na którym mała przeźroczysta jaszczurka polowała na ko-

66

mara. Nie wiem jak długo to mogło trwać, ale w momencie, kiedy jaszczurka błyskawicznym ruchem języczka wchłonęła komara do swego wnętrza, spokojnie zasnąłem.

Po trzech dniach zmagania z wieloma dolegliwościami związanymi z malarią, poczułem się znacznie lepiej. Był to trudny czas doświadczenia krzyża choroby tropikalnej, swoistego rodzaju wejścia na Golgotę. Kiedy po kolejnym badaniu krwi nie znaleziono już żadnego śladu malarii, ucieszyłem się bardzo, że mam już ten „pierwszy raz” za sobą.

Malaria jest niesłychanie groźną chorobą. Jej zarazki przenoszą komary, które przez ukłucie wprowadzają je do ludzkiego organizmu. Na kontynencie afrykańskim ta choroba wymieniana jest na pierwszym miejscu pod względem największej umieralności. Co roku z jej powodu umiera kilka milionów Afrykańczyków. Wielu z tych ludzi mogłoby przeżyć, zażywając odpowiednie leki, których koszt nie przekracza dwóch dolarów. Niestety w wielu przypadkach ich nędza nie pozwala im na taki wydatek.

Po ukończeniu pięciomiesięcznego kursu języka kinya-rwan-da w CELA nadszedł oczekiwany dzień przydzielenia nas do pracy w naszych pallotyńskich parafiach. Przełożony Regii Świętej Rodziny, ksiądz Stanisław Filipek, po uprzedniej braterskiej rozmowie, swoim dekretem mianował mnie wikariuszem i ekonomem wspólnoty w Kinoni na północy Rwandy. Ksiądz Andrzej Jakacki został przydzielony do parafii w Masaka.

67

## KINONI

26 marca 1984 roku sekretarz ds. misji, ksiądz Stanisław Kura-ciński, w imieniu księdza prowincjała podpisał umowę z ordynariuszem diecezji Ruhengeri, księdzem biskupem Nikwigizem Phocasem, w myśl której pallotyni mieli podjąć pracę duszpasterską w parafii Kinoni z dniem 1 września 1984 roku. I rzeczywiście, w dniu 2 września tegoż roku, podczas Mszy św., której przewodniczył delegat ksiądz Henryk Hoser, nastąpiło oficjalne przejście parafii. Proboszczem został ksiądz Marian Sobczyk, a jego wikariuszem i ekonomem mianowano księdza Adama Pa-cułę. Parafia w chwili objęcia jej przez naszych misjonarzy liczyła 31 tysięcy katolików. Przynależały do niej trzy ośrodki filialne: Gahunga, Butę te i Gitare.

W ostatnich latach przed jej przejściem parafia była bardzo zaniedbana, zarówno materialnie, jak i duchowo. W krótkim czasie nasi misjonarze zapewnili nie tylko dobrą obsługę duszpasterską, ale także doprowadzili do porządku zabudowania parafialne. Owocem ich działalności duszpasterskiej są, między innymi, bardzo aktywne grupy Akcji Katolickiej. W uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego ośrodek filialny Gahunga został przekształcony w nową parafię, którą otrzymali polscy karmelici.

Parafia niezwykle boleśnie przeżywała trwające od 1 października 1990 roku zbrojne ataki Patriotycznego Frontu Rwandyjskie-go - byłych uchodźców rwandyjskich, dokonywane z Ugandy. Tysiące mieszkańców parafii, mieszkających blisko granicy z Ugandą, musiało

wielokrotnie opuszczać swe domostwa, tracąc całe mienie, a nieraz i życie. Ludzie ginęli z ran i głodu.

69

W tym czasie duszpasterze wraz członkami „Caritasu” parafialnego organizowali działalność charytatywną na rzecz uchodźców i przesiedleńców. Akcję pomocy biednym wspierał materialnie również zarząd regii. Niektóre parafie w Rwandzie organizowały zbiórki produktów rolnych na rzecz parafian w Kinoni.

Mimo przedłużającego się stanu wojennego, 2 lutego 1992 roku ordynariusz diecezji Ruhengeri, ksiądz bp Phocas, dokonał konsekracji kościoła w filii Musasa, wybudowanego staraniem proboszcza, księdza Mariana Sobczyka. Mimo przeróżnych trudności, a nawet niebezpieczeństwa śmierci, duszpasterze trwali na swoim stanowisku wśród powierzonego sobie ludu. Niestety, 8 lutego 1993 roku zostali pod karabinami wyrzuceni przez agresorów do Ugandy, skąd po dwutygodniowym pobycie w Mutore-re i Kampali przez Brukselę wrócili do Polski.

Rebelianci doszczętnie ograbili parafię. Zabrali samochody i całe wyposażenie. Przez długi okres, ze względu na niebezpieczeństwo, parafię obsługiwał, dojeżdżając z siedziby Sióstr od Aniołów w Nyakinama, ksiądz Zbigniew Pawłowski. Trudna sytuacja panująca w tym regionie uległa całkowitej destabilizacji w 1994 roku, kiedy to przez całą Rwandę przetoczyła się fala straszliwych rzezi ludności cywilnej, na skutek walk plemiennych między Tutsi i Hutu. Moja pierwsza parafia, w której miałem podjąć pracę duszpasterską, leżała w tzw. „czerwonym regionie”, nazywanym w ten sposób ze względu na najwyższy stopień zagrożenia.

Tak jak i w całej północnej Rwandzie, tak i tutaj, do 1997 roku nieustannie dochodziło do zbrojnych walk pomiędzy żołnierzami regularnej armii rwandyjskiej a tzw. abacengezi. Mieli to być ukrywający się w górach byli wojskowi z armii zamordowanego prezydenta Habyarimany oraz ci, którzy brali udział w masakrach ludności rwandyjskiej w 1994 roku, ukrywający się przed odpowiedzialnością karną.

Z końcem kwietnia 1996 roku dołączyłem do moich współbraci, którzy zamieszkując w siedzibie biskupiej w Ruhengeri,

70

obsługiwali dwie parafie: naszą w Kinoni oraz opuszczoną przez Ojców Białych parafię w Busogo. Byli to: ks. Tadeusz Bazan - proboszcz parafii w Kinoni oraz ks. Stanisław Orlikowski - pełniący funkcję wikariusza. Kilka miesięcy później dołączył do nas ks. Henryk Cabała. Tutaj również pracował nasz współbrat ksiądz Zbigniew Pawłowski, który sprawował odpowiedzialną funkcję administratora i wikariusza generalnego diecezji Ruhengeri.

Otrzymałem niewielki pokój, podobny zresztą do pozostałych, skromnie wyposażony w to, co niezbędne, a więc: w szafę, łóżko, biurko i krzesło. Najbardziej ucieszyła mnie wiadomość, że tutaj z kranu zawsze leci woda. Jej brak należy do wyjątków. Po rozpakowaniu walizki, w towarzystwie księdza Tadeusza Bazana wyruszyłem na zapoznanie się z poszczególnymi pomieszczeniami wchodzącymi w skład zabudowań należących do biskupstwa diecezji Ruhengeri.

Po kolacji i wspólnej rekreacji udałem się do swojego pokoju. Odczuwając trudy podróży z Kigali do Ruhengeri, poznawania domu i nowych twarzy pracujących tutaj księży, postanowiłem, nie zwlekając, położyć się spać. Mimo że byłem zmęczony, długo nie mogłem zasnąć. Co jakiś czas gdzieś z oddali dobiegały odgłosy pojedynczych i seryjnych wystrzałów z broni palnej. Nieopodal rozległ się pisk opon gwałtownie hamującego pojazdu, a następnie wrzawa męskich podniesionych głosów. Uchylając dyskretnie zasłonę okna, wyjrzałem na zewnątrz.

Na pobliskim skrzyżowaniu stał wojskowy samochód, a siedzący w nim umundurowani ludzie rozmawiali z kilkoma stojącymi obok żołnierzami. Ich żywiołowa dyskusja

przerywana głośnymi wybuchami śmiechu trwała kilkanaście minut. Kiedy wreszcie samochód odjechał, a pozostali żołnierze odeszli w kierunku koszar, zapanowała upragniona cisza. Cieszyłem się, że wreszcie będę mógł spokojnie zasnąć.

71

Nagle tuż nad moim uchem rozległ się charakterystyczny brzęk komara. Po chwili wtórowały mu inne, latające gdzieś wysoko pod sufitem. Przypomniałem sobie, że mam maszynkę z zabójczymi dla nich tabletkami. Zapalając lampkę, wstałem, by przygotować aparat z wkładem. Umieściłem go w gniazdku z prądem i wróciłem do łóżka. Jeszcze przez kilka minut do moich uszu docierał odgłos kilku latających komarów, spragnionych mojej krwi. Lecz kiedy cały pokój wypełnił charakterystyczny zapach owadobójczej tabletki, usłyszałem odgłos spadających komarów, które przez chwilę wykonywały na betonowej posadzce swój ostatni taniec śmierci.

Następnego dnia po porannej Mszy świętej i śniadaniu ksiądz Tadeusz, który miał do załatwienia kilka spraw w mieście, zaproponował mi przejażdżkę po Ruhengeri. Jest to miasto liczące około 20 tysięcy mieszkańców. Ma swój szpital, stadion sportowy, małe lotnisko przeznaczone dla awionetek, ogromne koszary wojskowe, więzienie, a nawet własną pocztę i bank. Miasto to posiada hotel „Muhabura”, w którym zatrzymywali się turyści z Europy, udający się do rezerwatu goryli wysokogórskich żyjących u podnóża wulkanów. Ruhengeri odgrywa ogromną rolę strategiczną, gdyż leży na głównej drodze łączącej południe i północ Rwandy. Poza tym tutaj właśnie przebiega główny szlak handlowy z Kongo i Ugandą. Dlatego to największe miasto na północy Rwandy jest również prężnym ośrodkiem handlowym. Na ogromnym targowisku położonym w centrum miasta można spotkać kupujących i sprzedających nie tylko z Rwandy, ale i z Konga czy Ugandy. Najczęściej handlowano płodami rolnymi: ziemniakami, fasolą, kapustą, kukurydzą, sorgo oraz wszelkiego rodzaju innymi warzywami i owocami. Jednak największym powodzeniem cieszyły się ziemniaki, które tutaj i w okolicy można było kupić najtaniej, średnio płacąc pół dolara za kilogram. Za te same ziemniaki w Kigali i dalej na południe trzeba zapłacić podwójną cenę. Dla-

72

tego poruszając się drogą z Kigali do Gisenyi można było spotkać wiele samochodów ciężarowych, maksymalnie obciążonych ogromnymi ilościami przewożonych ziemniaków. Północna Rwanda była nazywana „zagłębieniem ziemniaczanym”, ponieważ to tutaj najwięcej ich uprawiano. Żyzna ziemia pozwalała na zbieranie plonów dwa razy w ciągu roku. Niestety nie dla wszystkich jej starczało, a i sama jej uprawa kosztowała wiele trudu i ludzkiego wysiłku. Jedynym narzędziem stosowanym do jej uprawy była motyka. Stronne zbocza górskie oraz zastygła lava wulkaniczna wynurzająca się w wielu miejscach z pól uprawnych, stanowiły nie lada problem dla mieszkańców tego regionu, którzy utrzymywali się tylko z uprawy ziemi.

Wyłączając takie miasta jak Ruhengeri czy Gisenyi, region ten jest zamieszkiwany prawie w stu procentach przez Rwandyjczyków z plemienia Hutu.

W Ruhengeri znajdowała się najbardziej znana w Rwandzie Wyższa Szkoła Katechetyczna, której absolwenci pracowali we wszystkich diecezjach, przejmując na swoje barki ciężar odpowiedzialności za prowadzenie katechez w szkołach i parafiach. Bez pomocy świeckich katechetów trudno by było prowadzić jakąkolwiek działalność duszpasterską czy charytatywną.

Powoli przemierzaliśmy wąskie ulice miasta, kierując się w kierunku katedry. W porannej porze miasto wyglądało jak jeden wielki bazar. Masy ludzi wlewały się do niego wszystkimi drogami dojazdowymi, kierując się w stronę targowiska. W przeważającej mierze były to kobiety i starsze dzieci, niosące na głowach, plecach i w dłoniach piękne czerwone pomidory,

pećzki świeżo wyrwanej marchwi i kapustę, różne kolorowe owoce cytrusowe, koszyczki pełne kurzych jaj i wiele innych rzeczy.

Wśród nich dostrzegłem zaledwie kilku mężczyzn, prowadzących rowery obładowane do granic wytrzymałości ogromnymi workami z ziemniakami. Kilku starszych chłopców wiozło na czymś, co przypominało drewnianą hulajnogę, zielone kiście

73

bananów, przeznaczonych zapewne do produkcji piwa bananowego. Ludzie ci, nie mieszcząc się na chodnikach, wchodzili na jezdnie, utrudniając ruch przejeżdżającym samochodom. Zewsząd dobiegały głośne rozmowy i dyskusje kobiet, które idąc, próbowały ustalać ceny na to, co miały do sprzedania.

Na rogach ulic, podobnie jak w Kigali, kręciło się sporo dzieci: brudnych, zaniedbanych, w podartych ubraniach. Wyciągały dłonie w stronę przechodniów w nadziei otrzymania czegoś do jedzenia. Większość ludzi nie zwracała na nie uwagi, obojętnie podążając dalej.

To co mnie najbardziej zaniepokoiło, to obecność dużej liczby żołnierzy, których można było zauważyć dosłownie wszędzie. Poruszali się w małych grupkach. Większość z nich była uzbrojona w karabiny typu kałasznikow i broń krótką.

Kiedy skręciliśmy na drogę prowadzącą wprost do katedry, obok nas przejechały dwa duże wojskowe samochody wypełnione żołnierzami. Na twarzach wielu z nich malowało się ogromne zmęczenie. Można było przypuszczać, że wracali z jakiejś nocnej akcji. Samochody skierowały się do bramy wjazdowej na teren koszar, które znajdowały się kilkaset metrów od kościoła katedralnego.

Po nawiedzeniu świątyni ruszyliśmy dalej wąskimi ulicami miasta, a ksiądz Tadeusz wyjaśniał mi i pokazywał poszczególne budynki, gdzie znajdowały się instytucje, z którymi tutejsi misjonarze współpracują. Były to: poczta, „elektro-gaz”, szpital, biuro ds. zatrudnień i inne. Przy okazji dowiedziałem się wiele na temat obecnie panującej sytuacji w tym regionie. Można by ją streścić w dwóch słowach: trudna i niebezpieczna. Patrząc na tętniące życiem miasto można by wnioskować, że wszystko toczy się normalnym rytmem. Ale to były tylko pozory. Po zapadnięciu zmierzchu najlepiej było pozostać w domu, ale i tam też nie można było czuć się bezpiecznie.

W pierwszą niedzielę po moim przyjeździe do Ruhengeri miałem odprawić Mszę św. w kościele parafialnym w Kinoni. Kilka

74

godzin poświęciłem na przygotowanie mojej pierwszej homilii w języku kinya-rwanda. Była to ciężka praca.

W pogodny, ale bardzo chłodny poranek o godzinie 6.20 wraz z księdzem proboszczem Tadeuszem Bazanem wyjeżdżaliśmy do naszej parafii. Mieliśmy do pokonania około 15 kilometrów. Skręciliśmy na drogę prowadzącą do Ugandy. Po przejechaniu kilkuset metrów zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie znajdowały się koszary wojskowe. Ksiądz Tadeusz przyhamował lekko, widząc kilku żołnierzy wchodzących na drogę i usiłujących machaniem dłoni nas zatrzymać. Strach mnie obleciał.

- Tu nie ma bariery, więc nie mają prawa nas zatrzymywać. Szukają okazji, by się zabrać, ale to nie nasz obowiązek - uspokoił mnie ks. Tadeusz. - Wiesz, Romek, zanim zabierzesz żołnierzy na tzw. okazję, dobrze się zastanów. Trzeba być bardzo ostrożnym. Przyjmij to jako dobrą braterską radę.

Wyjeżdżaliśmy z miasta. Po obu stronach asfaltowej drogi mijaliśmy wielu ludzi, prawdopodobnie podążających do katedry na Mszę św.

- To prości, ale i zarazem bardzo wierzący ludzie - odezwał się ksiądz Tadeusz, przerywając krótko trwającą ciszę.

Kiedy po pokonaniu kilku wzniesień i ostrych zakrętów wjechaliśmy na prosty odcinek drogi, oniemiałem na widok tego, co zobaczyłem. Po lewej stronie wyłoniły się trzy potężne góry.

Pierwsza z nich - ogromna, ale jak gdyby niedokończona. Sprawiała wrażenie ściętej w pół. Wierzchołek drugiego szczytu skojarzył mi się z ogromnymi zębami dzikiego zwierzęcia. Trzecia bryła majestatycznie strzelała wysoko w górę, jak gdyby swoimi stromymi zboczami chciała dosięgnąć nieba. Syknąłem z zachwytu.

- Wspaniałe, prawda? - odezwał się ksiądz Tadeusz, spoglądając w ich kierunku.

- Fantastyczne. Cudowne.

- To są trzy najwyższe wulkany w tym regionie. Za nimi po drugiej stronie, rozpościera się już terytorium ogromnego Zairu.

75

Ten pierwszy szczyt nazywa się Bisoke, drugi to Sabyinyo, a trzeci, najwyższy, to Muhabura. U jego podnóża rozciąga się nasza parafia w Kinoni.

Z otwartymi ustami, całkowicie zauroczony ich niepowtarzalnym pięknem, spoglądałem na trzy ogromne masywy. Z każdą minutą wspinaliśmy się coraz wyżej.

- Romek, spójrz na prawo! - zawołał ksiądz Tadeusz.

Ponad wierzchołkami dziesiątek maleńkich plantacji bananowych, z których wyłaniały się blaszane i słomiane dachy rwandyjskich domów, dostrzegłem w oddali kilka połączonych ze sobą jezior. Srebrzystobiała tafla wody iskrzyła w promieniach odbijającego się w niej porannego słońca. Na tle otaczającej zieleni i wysokich wzgórz wyglądały imponująco. Nie zdążyłem nacieszyć się tym niepowtarzalnym widokiem, gdyż przysłoniło je kolejne wzniesienie, obok którego właśnie przejeżdżaliśmy. — Jakże piękna jesteś Rwando - wyszeptałem pod nosem.

Minęliśmy duży budynek, wokół którego kręciło się bardzo wielu żołnierzy i żandarmów.

- To są budynki Urzędu Gminnego w Nkumba - poinformował mnie ksiądz Bazan.

Na poboczach drogi, którą jechaliśmy, pojawiało się coraz więcej ludzi. Był to dla mnie znak, że powoli zbliżamy się do naszej parafii. Rzeczywiście, po dwóch ostrych podjazdach znaleźliśmy się na ostatniej prostej, a tam, na lekko opadającej w dół drodze w oddali dostrzegłem tablicę z napisem: Kinoni.

Jeszcze raz spojrzałem w lewo, gdzie w odległości około dwóch kilometrów rozpościerała się panorama podnóża wulkanu Muhabura. Był naprawdę potężny i budzący grozę. Poczułem się jak maleńka mrówka próbująca objąć wzrokiem całą powierzchnię ciała ogromnego słońca.

- No, to jesteśmy prawie na miejscu - odezwał się ksiądz Tadeusz, skręcając pod kątem prostym w prawo.

76

Wjechaliśmy na wyboistą drogę, której nawierzchnię stanowiła - zastygła przed tysiącami lat

- lawa wulkaniczna. Mimo że jechaliśmy na drugim biegu, musiałem mocno trzymać się za uchwyt nad drzwiami, by nie uderzyć głową o dach samochodu. Cały czas mijaliśmy wiernych, którzy podążali na niedzielną Mszę świętą i uśmiechając się, pozdrawiali nas serdecznie. Po przejechaniu około jednego kilometra, wjechaliśmy na duży plac, pomiędzy dwa kompleksy zabudowań i kościoła, wokół którego zgromadziło się wiele osób.

- To nasza misja, a tam jest nasz kościół parafialny - powiedział ksiądz proboszcz.

W tym momencie na schodach prowadzących do naszego domu pojawił się uśmiechnięty szczupły Rwandyjczyk.

- Muraho padri mukuru - wypowiedział, obejmując serdecznie księdza Bazana.

- Muraho Neza Kamil - odpowiedział proboszcz, odwzajemniając serdeczny uścisk. - To jest nasz nowy misjonarz, który będzie pracował w naszej parafii. Nazywa się Roman Rusinek i dzisiaj odprawi wam Mszę świętą. Zaopiekujcie się nim dobrze. Ja ruszam dalej do Gitarę. Po drugiej Mszy św. zajadę tutaj, aby cię zabrać - zwrócił się do mnie ks. Tadeusz, wsiadając do samochodu. - Powodzenia - dodał przez uchyloną szybę.

Z Kamilem, który pod nieobecność księży od wielu miesięcy doglądał parafii i zabudowań pallotyńskiej misji w Kinoni, ruszyliśmy w stronę kościoła. Ludzie stojący dotychczas na zewnątrz świątyni, zaczęli pośpiesznie wchodzić do środka.

Kościół prezentował się okazale. Wybudowany był z czerwonej cegły w kształcie przypominającym literę T. Do wewnątrz prowadziły trzy duże wejścia - główne od frontu i dwa boczne, oraz oddzielne wejście prowadzące do zakrystii. W bocznych ścianach świątyni znajdowało się wiele oszklonych podłużnych okien. Całej bryle kościoła zabrakło jedynie wieży zwieńczonej krzyżem. Weszliśmy do zakrystii, gdzie czekali już gotowi do

77

wyjścia ministranci. Po założeniu szat liturgicznych i wspólnej modlitwie z ministrantami, ruszyliśmy do ołtarza. Po pozdrowieniu wiernych głos zabrał Kamil, który w kilku ciepłych zdaniach przedstawił mnie zebrany jako nowego kapłana, który rozpoczyna swoją posługę misyjną w tej parafii. Zostałem przyjęty oklaskami, które w tym kraju należały do dobrych manier. (Oklaski rozlegały się nie tylko przy okazji różnych uroczystości świeckich, ale i również w miejscowej kulturze stanowiły, można powiedzieć, nieodłączny element liturgii, podczas której wierni często nagradzali brawami np. wygłoszone kazanie czy homilię).

Kiedy po przeczytaniu ewangelii nadszedł moment wygłoszenia mojej pierwszej homilii w języku kinya-rwanda, poczułem jak zaschło mi w gardle. Sięgnąłem po kartki z napisaną homilią i powoli zacząłem czytać, zdanie po zdaniu. Najpierw w świątyni zapanowała zupełna cisza, a następnie po przeczytaniu kilkunastu zdań ludzie zaczęli żywiołowo reagować na padające słowa. Co jakiś czas świątynia wypełniała się zgodnym pomrukiem: „jeee..., jego padri.., koko padri...” (taak, tak ojciec, naprawdę ojciec). Kiedy usłyszałem, że akceptują to, co do nich mówiłem, ucieszyłem się ogromnie, widząc, że mnie rozumieją. A mówiłem do nich między innymi o tym, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga bez względu na kolor skóry i język, jakim się posługujemy. Dalej, że tu na ziemi jesteśmy tylko pielgrzymami podążającymi do domu Ojca i że każdy z nas ma przygotowane w nim mieszkanie. Powiedziałem również moim parafianom, że oddaję moje kapłańskie serce, dłonie, usta, aby głosić Chrystusa i karmić ich Jego Ciałem i Krwią, bo On jest moim największym skarbem i tym skarbem pragnę obdarować każdego mieszkańca parafii Kinoni. Pośród tak wielu problemów, niepewności i cierpienia On jest naszą ostoją i nadzieją na lepsze życie, opromienione wieczną radością i pokojem w domu Ojca w Niebie.

Msza święta upłynęła w podniosłej atmosferze rozmodlenia, podobnie jak druga i trzecia.

Była to dla mnie swoistego rodzaju

78

zaprawa duszpasterska, ponieważ odprawiłem trzy Msze św. jedna po drugiej bez możliwości wyjścia z kościoła ze względu na brak czasu. Pomiędzy poszczególnymi Mszami pozostawało kilka minut, które z ledwością wystarczały na wymianę wiernych w świątyni i służby liturgicznej.

Kiedy opuszczając zakrystię spojrzałem na zegarek była dokładnie godzina trzynasta. Teraz dopiero, kiedy minęło napięcie, poczułem, jak przemoczona potem bielizna kleiła się do mojego ciała. No cóż, 6 godzin spędzonych przy ołtarzu w wypełnionym po brzegi kościele i lejącym się z nieba żarze zrobiło swoje.

Gdy przekraczałem próg zakrystii, uderzył mnie orzeźwiający powiew świeżego powietrza. Z wielką ulgą a zarazem i przyjemnością wchłaniałem je do płuc. Spoglądając w kierunku naszego domu, od którego dzieliła mnie odległość około 100 metrów, dostrzegłem przed jego wejściem samochód i księdza Tadeusza rozmawiającego z grupą wiernych. Przyśpieszyłem kroku. Mijałem duże grupy chrześcijan, którzy żywiołowo dyskutując między sobą na moment zawieszali swój głos, by mnie obdarować uśmiechem połączonym z pozdrowieniem. Czyniłem to samo. Nie opodał, na kilku dużych głazach powulkanicznych siedziała spora gromada dzieci gryzących coś co przypominało mi czcinę cukrową. Kiedy zauważyły, że

spoglądałam w ich kierunku, wszystkie poderwały się jak na komendę, wymachując przyjaźnie trzymanymi w dłoniach kawałkami nadgryzionych łydgy.

- Romek, pospiesz się! - zawołał ksiądz Tadeusz. Przyspieszyłem kroku. Chwilę potem dołączyłem do niego

i do Kamila, który potrząsał pękiem kluczy.

- Chciałem, abyś zobaczył naszą misję od podwórka - zwrócił się do mnie, jednocześnie wydając polecenie Kamilowi, by pootwierał drzwi kancelarii parafialnej oraz pokoi mieszkalnych. Weszliśmy do środka, przekraczając próg metalowych drzwi. Na niewielkim kwadratowym placu porośniętym trawą, kwiatami i jakimiś egzotycznymi drzewami, wśród których królowały

79

dwie różnego gatunku palmy, dostrzegłem pięknie wkomponowaną w całość stojącą na piedestale figurę świętego Józefa z Dzieciątkiem Jezus. Ten pewnego rodzaju dziedziniec w kształcie czworoboku z trzech stron zamykały ściany budynków i z jednej strony wysoki mur z cegły oraz krużganki, które osłaniały przed słońcem i deszczem wejścia do poszczególnych pomieszczeń. Uderzył mnie niebywały kontrast soczystej zieleni ogrodu i czerwono-brunatnego koloru cegły, z której wybudowano to, na co patrzyłem.

Ksiądz proboszcz wprowadził mnie do pierwszego pomieszczenia. Była to kancelaria parafialna, która pod nieobecność księży, podyktowaną niesłychanie skomplikowaną i niebezpieczną sytuacją w tym regionie, stała się miejscem odpowiedzialnej pracy Kamila. Musiał on załatwiać wiele spraw związanych z normalnym funkcjonowaniem parafii. Był prawą ręką księdza proboszcza, przygotowując grunt do jego działalności związanej z funkcją sprawowania poszczególnych sakramentów. W pomieszczeniu tym stała ogromna szafa z kartotekami, gdzie znajdowały się wszystkie niezbędne informacje o ochrzczonych. Weszliśmy do kolejnych pomieszczeń. Były to pokoje mieszkalne przeznaczone dla misjonarzy. Wewnątrz nie było nic oprócz gołych ścian. Wszystko zostało zrabowane przez uzbrojonych partyzantów w 1994 roku. Podszedłem do okna. Na zewnątrz rozpościerała się wspaniała panorama potężnego wulkanu Muhabura. Przez chwilę wodziłem wzrokiem po jego zboczach, zachwycając się pięknem i tajemniczą grozą, którą emanował. Ogarnęło mnie poczucie małości i niedoskonałości wobec wielkiej potęgi Boga, który stworzył tak wspaniałe dzieło.

W drodze powrotnej do Ruhengeri ksiądz Bazan zwierzył mi się, że myśli o rychłym powrocie i zamieszkaniu tu na miejscu w Kinoni.

Mijały kolejne tygodnie. Pracy duszpasterskiej nie brakowało, gdyż oprócz naszej parafii w Kinoni obsługiwaliśmy również

80

Zagłodzone dziecko na rękach lekarza

Dzieci z Butete (parafia Kinoni)

Powracające dzieci z wodą (Kinoni)

I

W oczekiwaniu na pomoc...

^^^^^Ki ^ad^^^^^K-- \*''''l - w Gitarę (parafia Kinon Dzieci przy pakowaniu mąki kukurydzianej w

Błogosławieństwo Najświętszym Autor książki wśród dzieci przed Sakramentem (Masaka kościołem w Masaka

Autor przed tradycyjnym dom- Ogród w Masaka - drzewa bana-kiem rwandyjski nowe

drugą parafię, opuszczoną przez Ojców Białych, w Busogo. Dodatkowym ciężarem były dla nas duże odległości i fatalne drogi, które trzeba było pokonywać, by dotrzeć do poszczególnych kościołów filialnych w obydwóch parafiach. Były to odległości sięgające rzędu 30-40 kilometrów.

Z radością przyjęliśmy wiadomość, że zarząd regii wyraził zgodę na przeniesienie się z Ruhengeri i zamieszkanie na stałe w Kinoni naszej trzyosobowej wspólnoty. Po otrzymaniu zgody na przeprowadzkę natychmiast podjęliśmy niezbędne kroki, by nastąpiło to w miarę szybko i sprawnie. Wraz z księdzem proboszczem Tadeuszem Bazanem i administratorem diecezjalnym księdzem Zbigniewem Pawłowskim sporządziliśmy listę niezbędnych rzeczy, które należało kupić w pierwszej kolejności, by nasza misja w Kinoni mogła normalnie funkcjonować. Lista była bardzo długa. Począwszy od podstawowego wyposażenia pokoi mieszkalnych w łóżka, stoliki, krzesła, szafy, po takie drobiazgi, jak szczotki do zamiatania czy plastikowe miednice. Część rzeczy można było zakupić tutaj w Ruhengeri, ale po większość trzeba pojechać do stolicy - Kigali. Sprawując funkcję ekonomy naszej wspólnoty w Kinoni, czułem się zobowiązany do podjęcia zakupu tych rzeczy, które nie były osiągalne tutaj na miejscu w Ruhengeri.

Dwa miesiące później, w lipcu 1996 roku, ksiądz Tadeusz Ba-zan, ksiądz Stanisław Orlikowski i ja przenieśliśmy się na stałe do naszej parafii w Kinoni. Zanim to nastąpiło wszyscy włożyliśmy wiele wysiłku, by tam się znaleźć. Z mojej strony było to kilka kosztownych wyjazdów do Kigali po zakupy. To, co najbardziej mnie męczyło, to pokonywanie barier z nachalnymi żołnierzami szukającymi każdej okazji, aby móc się przemieścić chociaż kilkanaście kilometrów dalej, bo armii rwandyjskiej dokuczał brak środków transportu. Na poważnie wziąłem sobie do serca radę księdza Tadeusza, który przestrzegał mnie przed zabieraniem uzbrojonych żołnierzy. Takie postępowanie było uza-

81  
sadnione, ponieważ na trasie Gisenyi - Ruhengeri - Kigali systematycznie dochodziło do napadów na samochody poruszające się tą drogą i ograbiania, a nierzadko i zabijania przewożonych pasażerów. Tak było przed kilkoma dniami, kiedy to około 20 km przed Ruhengeri zastrzelono kilku podróżnych, a następnie podpalono wiozącą ich taksówkę. Za tego typu rozboje władze jednoznacznie obarczały winą abaczengezi - tzw. ludzi z lasu. Każdorazowo, kiedy przy okazji sprawdzania dokumentów na barierach, których było kilka na drodze do Kigali, spotykałem się z nachalnością żołnierzy pragnących zabrać się ze mną, tłumaczyłem się, że mam absolutny zakaz przewożenia uzbrojonych ludzi. W większości przypadków takie tłumaczenie było skuteczne, ale było przyjmowane z niezadowolaniem, a czasami i oznakami nieukrywanej wrogości.

Pierwszy dzień pobytu w Kinoni upłynął nam bardzo szybko. Rozpakowanie walizek i poukładanie prywatnych rzeczy i książek w naszych pokojach zabrało nam całe przedpołudnie. Po skromnym obiedzie, wraz z księdzem Bazanem i księdzem Orli-kowskim poszliśmy obejrzeć większość pomieszczeń naszej misji, zwracając szczególną uwagę na kuchnię i wspólną łazienkę, które, co tu ukrywać, znajdowały się w opłakanym stanie. Podjęliśmy wspólnie kilka inicjatyw, które należało zrealizować w najbliższym czasie, by przynajmniej trochę poprawić warunki higieny w kuchni i łazience. Również w wielu innych



pomieszczeniach, chociażby takim, jak refektarz czy domowa kaplica, dało się zauważyć wiele drobnych usterek i mankamentów, które sukcesywnie trzeba było likwidować. Ale najważniejsze było to, że po kilkunastomiesięcznej nieobecności znowu możemy zamieszkać w naszej misji, pośród miejscowej ludności, co dla Rwan-dyjczyków być może było większą radością niż dla nas samych.

Po wieczornej adoracji połączonej z modlitwą brewiarzową i wspólnej kolacji wyszliśmy na zewnątrz, by posiedzieć na ławce, która znajdowała się w obszernym krużganku obok jadalni

82 i kaplicy. Założyliśmy ciepłe swetry, gdyż zrobiło się chłodno. Tutaj pod wulkanem to normalne. Często w tym regionie temperatura w nocy spada do zaledwie kilku stopni powyżej zera. Zabezpieczeni przed chłodem, siedzieliśmy na drewnianej ławce z oparciem, która wraz z ławą i dwoma drewnianymi fotelami stanowiła komplet wypoczynkowy. Wokół naszej misji zapanowały już ciemności nocy. Stróż zapalił właśnie kilka lamp elektrycznych w dwóch pozostałych krużgankach, pięknie oświetlając znaczną część wiry darzą. Byliśmy nielicznymi mieszkańcami w promieniu kilku kilometrów, którzy posiadali energię elektryczną czerpaną z pobliskiej niewielkiej elektrowni wodnej.

Ksiądz Tadeusz i ksiądz Stanisław zaczęli wspominać swoje pierwsze kroki stawiane na misjach tutaj w Rwandzie. Obydwaj mieli za sobą ponad dwadzieścia lat pracy w tym kraju, a co za tym idzie - ogromny bagaż doświadczeń. Przyjąłem dogodniejszą pozycję na ławce i nastawiając uważnie uszu, wsłuchiwałem się w barwne opowieści dotyczące osobistych przeżyć, trudności i radości związanych z niesieniem Dobrej Nowiny mieszkańcom tego kraju. W głębi serca podziwiałem ich odwagę i zapał, z jakim pokonywali trudności na drogach swojej posługi misyjnej. Ileż w nich było wiary i odwagi. Ileż ufności i nadziei, że ich trud i wysiłek zaowocuje w postaci tysięcy nowych wyznawców Chrystusa.

Wsluchując się z ogromną uwagą w każde padające z ich ust słowo, spojrzałem na lampę, która znajdowała się dokładnie nad naszymi głowami. Setki mniejszych i większych owadów latających wokół niej, zapewne przyciągniętych światłem i ciepłem, którym emanowała, wydawały jednostajny pomruk, który stanowił doskonałe tło do toczących się rozmów i opowieści dwóch doświadczonych misjonarzy. Nagle jakoś tak spontanicznie utożsamilem ich z tą lampą, na którą spoglądałem. Tak jak ona zwabiała do siebie setki latających owadów, tak oni poprzez swoją posługę niesienia światła i ciepła Chrystusowej miłości przycią-

83

gali do Kościoła rzesze nowych wyznawców Chrystusa. Była w tym jakaś uzasadniona analogia.

Kiedy wspominali Rwandę sprzed 1993 i 1994 roku, w ich głosie dało się odczuć nutkę tęsknoty za tym, co wydawać by się mogło - odeszło bezpowrotnie.

Gdzieś w oddali rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów z broni palnej. Ich echo odbite od zboczy wulkanów rozdarło panującą już od blisko dwóch godzin ciszę nocną. Po chwili zawtórowało mu wycie psów i płacz przestraszonego małego dziecka. Ksiądz proboszcz i ksiądz Orlikowski zamilkli. Ciszę przerwał ksiądz Tadeusz, mówiąc: - Biedni ludzie.

Z dyskusji, która się zawiązała między nimi dowiedziałem się wiele na temat obecnie panującej sytuacji w tym regionie. Krótko mówiąc: Rwandyjczycy z plemienia Hutu, którzy prawie w stu procentach zamieszkiwali prowincje północnej Rwandy -tak było również na terenach parafii Kinoni i Busogo, obsługiwanych przez nas - znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Można by rzec, między młotem a kowadłem. Z jednej strony abaczengezi, z drugiej natomiast - wojsko rwandyjskie. Mimo że mieliśmy połowę roku 1996, w tym regionie śmierć nadal zbierała obfite żniwo. Mieszkańcy okolicznych wiosek wciąż nie mogli spać spokojnie, na przemian nękani przez jednych i drugich. Wojsko plądrowało całe wioski w poszukiwaniu abaczengezi, grabiąc i zabijając ludzi podejrzanych o współpracę z nimi. Podobnie, chociaż o

wiele rzadziej, czynili ci drudzy w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia i zrobienia zapasów, gdyż nieustannie musieli się ukrywać przed regularną armią. Jak zdołałem wywnioskować z rozmowy moich współbraci, wielu naszych parafian nocuje poza swoimi domami, obawiając się nocnych napadów, w których niestety ginęły dziesiątki, a nawet setki niewinnych mieszkańców z plemienia Hutu. W większości to niewinni i spokojni ludzie, nie zajmujący się polityką, a jedynie uprawą ziemi i troską o rodzinę.

84

- No, wystarczy tego gadania. Chodźmy spać - powiedział ksiądz Tadeusz, podrywając się z ławki.

W chwilę po tym strzyknęły klucze w zamkach. Pozostałem sam.

- Romek, jak będziesz szedł do siebie, to wygaś wszystkie lampy - powiedział ksiądz proboszcz przez uchylone drzwi.

Postanowiłem pospacerować jeszcze przez chwilę, wyłączając przed tym wszystkie światła. Wokół panowała przejmująca cisza. Gdzieś z bliska dolatywał odgłosy przypominające cykanie polskich świerszczy. Kiedy oczy przywykły już do ciemności, ruszyłem wybetonowaną alejką w kierunku figurki świętego Józefa.

Kiedy znalazłem się na środku czworobocznego ogrodu, spojrzałem w górę. Zdumiony, zatrzymałem się. Tak pięknego nieba nie widziałem jeszcze nigdy. Miliony gwiazd pokrywały cały jego firmament. Wydawały się świecić o wiele mocniej niż w Europie, migocząc bajecznie różnymi kolorami. Przez krystalicznie czyste powietrze mogłem podziwiać wspaniałe konstelacje gwiazdne. Wśród nich najpiękniejszym wydawał się być Krzyż Południa. Cudownie prezentowała się również Droga Mleczna, która przecinała jasną wstęgą szafirowe niebo na dwie części. Wyglądało to tak, jak gdyby na ciemną, iskrzącą w słońcu powierzchnię asfaltową ktoś rozlał mleko, które popłynęło wąską strużką. Mijały minuty, a ja nie mogłem oderwać oczu od gwiazd. Na pamięć przychodziły mi słowa kilku podróżników, którzy podkreślali zgodnie, że nigdzie nie ma nieba tak pięknego, jak w Afryce. Teraz zrozumiałem dlaczego, przyznając im całkowitą rację. Zachwycając się widokiem afrykańskiego nieba, w głębi duszy wielbiłem Boga - Stwórcę tego nadzwyczajnego dzieła, jednocześnie uświadomiłem sobie, że to ja i każdy pojedynczy człowiek jest Jego najwspanialszym dziełem - koroną wszystkich dzieł stwórczych. A zatem jakże pięknym i niepowtarzalnym jest człowiek.

85

Gdy przechodziłem obok głównych drzwi wejściowych, coś nagle się poruszyło.

Przestraszyłem się. Niepewnie podszedłem bliżej. Był to nasz stróż, który pełnił swoją nocną służbę. Ruszyłem dalej w stronę mojego pokoju, dziękując Bogu za ten pierwszy dzień i cudowny wieczór spędzony w nowej parafii.

Kilka kolejnych dni poświęciliśmy na opracowanie szczegółowego planu duszpasterskiego na najbliższe dwa miesiące. Wymagało to bardzo dokładnej analizy naszych możliwości, w stosunku do najpilniejszych potrzeb duszpasterskich, które były ogromne. Na terenie naszych dwóch parafii: Kinoni i Busogo mieliśmy pod naszą duszpasterską opieką około 80 tys. chrześcijan. Należało obsłużyć dziewięć kościołów filialnych - pięć w Busogo i cztery należące do Kinoni. By dotrzeć do najdalszych central misyjnych należących do parafii w Busogo, trzeba było pokonać odległość około 50 kilometrów po fatalnych i bardzo niebezpiecznych górskich drogach.

Od 1993 roku, kiedy to w tym regionie rozpoczęły się działania wojenne, które zmusiły misjonarzy do opuszczenia tych parafii, nagromadziło się wiele spraw, które należało stopniowo uporządkować. Szczególnie dotyczyło to dużej liczby młodych ludzi, którzy żyli w tak zwanych związkach nieformalnych z przyczyn z ich strony niezawinionych; spowodowane to było brakiem księdza w najbardziej oddalonych centralach misyjnych. Trzeba umożliwić im w miarę jak najszybciej tak zwaną regulację prawną ich związku

poprzez sakrament małżeństwa. To oczywiście wymagało odpowiedniego przygotowania i czasu. Kolejna sprawa, to setki dzieci, które przyszły na świat w tychże związkach i nie zostały ochrzczone. Były jeszcze inne problemy, równie ważne, które należało podjąć bezzwłocznie. Takim była sprawa „Caritasu” parafialnego i chociażby problem reaktywowania wielu ruchów parafialnych.

Ze względu na trudną i niebezpieczną sytuację w naszym regionie, przyjęliśmy zasadę, że w miarę możliwości na wszelkie

86

podejmowane prace duszpasterskie będziemy wyjeżdżać po dwóch. Za kilka tygodni do naszej wspólnoty miał dołączyć ksiądz Henryk Cabała, a więc będziemy mogli stworzyć dwa zespoły, które tego samego dnia obsłużą dwie różne centrale misyjne. Przygotowaliśmy bardzo ambitny plan pracy duszpasterskiej. Pozostało zakasać rękawy i do pracy, bo żniwo było wielkie.

Na prośbę księdza proboszcza miałem się zająć edukacją kucharską pani, która dotychczas zajmowała się praniem i sprzątaniami domu. Miało to potrwać do czasu zaangażowania kucharza z prawdziwego zdarzenia. Po kilku tygodniach udzielania jej instrukcji i wspólnych praktyk, nasza pani nauczyła się całkiem nieźle przyrządzać kilka typowo polskich dań. Na stole zaczęły się pojawiać placki ziemniaczane z jajkami i cebulką, naleśniki ze smażonymi bananami, zupa warzywna czy bigos. Udało się to dzięki mojej znajomości tajników kulinarnych, którą wyniosłem z domu rodzinnego. Otóż będąc najstarszym z czwórki rodzeństwa, wielokrotnie musiałem przygotować skromny obiad dla rodzeństwa i rodziców, którzy oboje pracując zawodowo, wracali do domu po południu. Uczyłem się gotowania, towarzysząc mamie w przygotowaniu wielu niedzielnych obiadów. To dzięki niej nauczyłem się nieco sztuki kuchennej i teraz mogłem po wielu latach wykorzystać te umiejętności w praktyce, służąc współbraciom.

W ramach codziennych ćwiczeń języka kinya-rwanda postanowiłem każdego dnia wychodzić do dzieci przynajmniej na kilkadziesiąt minut. Kiedy zaledwie słońce pojawiało się na niebie, zewsząd dobiegały głosy dzieci płaczących, głośno dyskutujących, rozkrzyczanych, a czasami śmiejących się. Tak było przez cały dzień, gdyż w odległości około 200 metrów od naszej misji znajdował się dystrybutor wodny z kranami, gdzie zaopatrywała się w wodę znaczna część okolicznych mieszkańców. Na dodatek obok usytuowana była szkoła podstawowa dla kilkuset dzieci. Tuż za murami okalającymi nasze budynki znajdowały się dwie drogi, którymi nieustannie wędrowali ludzie idący do ośrodka zdrowia,

87

na targowisko, po wodę czy też do małego butikującego się kilkaset metrów za kościołem parafialnym. Wśród nich było wiele dzieci, najczęściej brudnych, zaniedbanych i opuszczonych.

Początek pierwszego tygodnia pobytu w Kinoni obfitował w wiele roboczych spotkań całej wspólnoty, naprawianie drobnych usterek w niektórych pomieszczeniach oraz naukę gotowania dawaną pani, która przez jakiś czas musiała podjąć się tego zadania. Dlatego też dopiero w piątek po południu wygospodarowałem godzinę wolnego czasu, by wyjść do dzieci, których odgłosy dobiegały tuż spoza naszej bramy wjazdowej. Początkowo chciałem trochę pobiegać, by zapoznać się z najbliższą okolicą, ale po przekroczeniu progu drzwi wejściowych kilkanaścioro dzieciaków podbiegło do mnie, szczelnie mnie otaczając. Jedno z nich trzymało w ręku gałganową piłkę skręconą z resztek jakichś szmat. Widząc, że mam na sobie strój sportowy, zaprosiły mnie do gry w piłkę nożną. Pobiegliśmy razem na pobliskie boisko oddalone o około 300 metrów.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że boisko to pełniło zarazem funkcję pastwiska, na którym pasło się kilka wychudzonych krów. Na dwóch przeciwległych końcach stały duże bramki, pozbijane z cienkich żerdzi drzewa eukaliptusowego. Na nierównej powierzchni

boiska dostrzegłem niebezpiecznie wystające kawałki zastygłej lawy wulkanicznej oraz sporo tzw. krowich min - czyli łajna krowiego, które pozostawiało wypasające się bydło. „No, to trzeba będzie uważać” - pomyślałem.

Kilku chłopców z wrzaskiem na ustach przepędzało pasące się bydło poza lewą bramkę boiska. Pozostali z ogromną pasją biegali już za gałganową piłką.

- Padri, gwino hano! (ojcze, podejdz tutaj!) - krzyknęło naraz kilku z nich.

Po chwili byliśmy już razem, dzieląc się na dwie drużyny. Wśród kilkunastoosobowej grupy dzieci było również kilka dziewczynek. Odesłaliśmy je poza boisko. Po kilku minutach moja pięcioosobowa ekipa stanęła na środku boiska naprzeciw siedmioosobowej drużyny przeciwników. O sędziowanie poprosiliśmy starszego chłopca, który wypasał krowy. Po krótkiej pertraktacji zgodził się podjąć funkcję arbitra. Zapytałem, czy zna się na zegarku. Odpowiedział twierdząco, a więc oddałem mu zegarek, prosząc go jednocześnie, by po 30 minutach przerwał grę na mały odpoczynek. Druga połowa meczu miała trwać tyle samo, co pierwsza.

Kiedy chłopcy z przeciwnej drużyny ustawiali piłkę mniej więcej na środku boiska, zauważyłem, że wszyscy byli boso. Dyskretnie spojrzałem na stopy graczy z mojej grupy i stwierdziłem to samo. Kiedy przyjrzałem się ich brudnym i podartym ubraniom i porównałem je z moim nowym kolorowym dressem i oryginalnymi adidasami, zrobiło mi się głupio i nieswojo.

Grę rozpoczęła drużyna przeciwna. Ja zająłem pozycję środkowego obrońcy. Wszyscy grający chłopcy byli w wieku od dziesięciu do dwunastu lat. Już po pierwszych kilku akcjach z jednej i z drugiej strony mogłem przekonać się, że mimo marnego wyglądu znajdowali się w wyśmienitej kondycji fizycznej.

Kiedy przyszło mi powstrzymać kolejny atak napastników z nieco liczniejszej od naszej ekipy przeciwnej, doszło do ostrego starcia nóg, w którym to ucierpiał chłopiec usiłujący mocno i celnie strzelić do naszej bramki. Jego bosa stopa natrafiła na blokującą moją stopę. Obrona była czysta i skuteczna, ale na twarzy chłopca pojawił się grymas bólu. Podszedłem do niego i klepiąc go po ramieniu przeprosilem, mówiąc „komera” - tzn. odwagi. Poczułem na sobie badawczy wzrok kilku spoglądających na mnie graczy z drużyny przeciwnej. Uświadomiłem sobie, że każde kolejne starcie z moimi nogami uzbrojonymi w adidas może zadawać im niepotrzebny ból. Nie zastanawiając się, błyskawicznie zdjąłem buty i położyłem je za bramką. Chłopcy z uśmiechem na twarzy i oklaskami krzyknęli: - nibyo, padri! (dobrze, ojcze!).

89

Gra potoczyła się dalej. Przez chwilę czułem nieprzyjemne klucie ostrej trawy pod stopami, ale kiedy byłem zmuszony do kolejnych interwencji, szybko zapomniałem o tych błahych niedogodnościach. Tymczasem padły pierwsze dwie bramki dla naszej drużyny. Rozpoczął się atak na naszą połowę, bo woła chłopców do wyrównania była ogromna. By powstrzymać kolejny atak, ostro wystartowałem do spadającej na nasze pole karne piłki, w ślad za którą podążał szczupły chłopiec - napastnik z przeciwnej ekipy. Nagle z całym rozpędem wdepnąłem w talerz krowiego łajna i sunąc się jak po lodowej ślizgawce, tracąc równowagę, z impetem runąłem na ziemię. Odczułem lekki ból przy uderzeniu tyłem głowy o boisko. Kiedy podniosłem się, wokół rozległa się burza śmiechu. Całe plecy i prawa nogawka mojego dresu ociekały lepką substancją koloru brunatnoszarego, wydzielając nieprzyjemny zapach. - Komera, padri! - tym razem krzyknęli chłopcy. Powoli zdjąłem bluzę i zanim zdążyłem zanieść ją za bramkę, kilku młodszych graczy doskoczyło do mojej nogawki z garściami trawy i błyskawicznie oczyścili ją z resztek krowich odchodów.

W takich okolicznościach utraciliśmy pierwszą bramkę. Poniekąd czułem się odpowiedzialny za tę stratę, dlatego postanowiłem się jak najszybciej zrehabilitować. Kiedy po chwili udało mi się powstrzymać kolejne natarcie na naszą bramkę i przejąć piłkę, ruszyłem w samotnym

rajdzie na przeciwległą stronę boiska, by tam celnym podaniem pomóc w zdobyciu jednemu z naszych napastników kolejnej bramki. Kiedy znalazłem się w bezpośredniej bliskości pola karnego, usiłowałem jednym celnym dośrodkowaniem podać piłkę do nadbiegającego chłopca z naszej drużyny. Przy kopnięciu piłki zawadziłem palcami o kawałek wystającej z trawy lawy wulkanicznej. Poczułem ogromny ból. Byłem zmuszony na moment wyłączyć się z gry. Spod paznokcia dużego palca popłynęła strużka krwi. Szybko sięgnąłem do kieszeni dresu i wyjmując z niej chusteczkę, owinałem palec.

90

W tym czasie nasi przeciwnicy strzelili nam wyrównującą bramkę. Wynikiem 2:2 zakończyła się pierwsza połowa meczu.

- Dobrze, że to już przerwa - wyszeptałem z ulgą sam do siebie. Czułem jak moje serce ciężko pracowało, chociaż muszę przyznać, że nie nabiegałem się zbyt wiele. Była to moja pierwsza próba kondycji od momentu przybycia na północ Rwandy. Teraz dopiero miałem okazję doświadczyć, że na wysokości powyżej 2000 metrów organizm męczy się znacznie szybciej. Wiedziałem, że potrzeba trochę czasu na zaaklimatyzowanie się do specyficznego mikroklimatu. Na tej wysokości to kwestia czasu

- pocieszałem sam siebie.

W przerwie wszyscy chłopcy zgromadzili się wokół mnie, spoglądając na przesiąkniętą krwią chusteczkę obwiązaną wokół palca.

- Padri, ese urarwaye cyane? (ojcze, czy bardzo boli?) — pytali z przejęciem.

- Nta kibazo (nie, nie boli) - odpowiedziałem z uśmiechem, widząc ich zatroskanie.

- Tugiye kurangiza? (może skończymy grę?) - zapytał któryś z chłopców.

- Oya, dukomeze (nie, stanę na bramce i dokończymy mecz)

- odpowiedziałem stanowczo.

Widziałem, że przyjęli tę odpowiedź z radością. Po kilku minutach odpoczynku rozpoczęliśmy drugą połowę meczu.

Z bolącym palcem, w ubrudzonym i śmierdzącym dresie, stanąłem na bramce. Miałem teraz doskonałą okazję do przyjrzenia się ich grze pełnej zwinności i pewnego rodzaju finezji.

Każdy z nich chciał zaprezentować się z jak najlepszej strony, gdyż mieli świadomość, że patrzy na nich padri. Byłem pełen podziwu dla ich zaangażowania i poświęcenia, z jakim walczyli o każdą piłę.

Na obrzeżach boiska pojawiło się sporo mniejszych i większych dzieci, które głośnymi okrzykami i oklaskami dopingowały graczy z obydwu ekip. Wszystkie wyglądały podobnie:

zanie-

91

dbane, w brudnych i poszarpanych łachmanach, na bosaka, ale ze szczerym uśmiechem na twarzach. Upływały kolejne minuty meczu, a wynik pozostawał nadal remisowy, z czego najbardziej się cieszyłem, bo obydwie drużyny zasługiwały na zwycięstwo.

Tuż przed końcem gry na boisko nieoczekiwanie wtargnęło kilka krów. Musiały być głodne, a nie mogąc doczekać się opuszczenia pastwiska przez intruzów, którzy je zajęli, same postanowiły powrócić na zieloną murawę. Wywołało to spore zamieszanie i mimo, że kibicujące dzieci, i my również, usiłowaliśmy przyprowadzić je do porządku i przepędzić z boiska, krowy nie dawały za wygraną. Byliśmy zmuszeni ustąpić, kończąc naszą zabawę remisowym rezultatem, co usatysfakcjonowało oba zespoły, gdyż nie było przegranych.

Lekko utykając, podszedłem do naszego pasterza - sędziego, aby mu podziękować i odebrać mój zegarek, a następnie skierowałem się za bramkę, gdzie leżały moje adidas i bluza od dresu. Kiedy usiadłem na trawie, by założyć buty, wokół błyskawicznie zgromadziła się spora grupa dzieciaków. Podeszli również wszyscy uczestnicy meczu. Jeden z nich wystąpił krok naprzód i powiedział:

- Padri, turashaka kuvuga murakoze (ojcze, chcieliśmy ci podziękować za wspólną zabawę).

Muszę przyznać, że byłem miłe zaskoczony ich zachowaniem. Ogarniając ich wzrokiem, odpowiedziałem:

-Namwe, murakoze (to ja wam dziękuję) - i wstając, uściśnąłem dłoń ich przedstawiciela. Rozległy się brawa i głośne śmiechy pozostałej dzieciarni.

- Padri, witwa nde? (ojcze, chcielibyśmy poznać twoje imię) - odezwało się kilku chłopców.

- Nitwa padri Romani (mam na imię ojciec Roman) - odpowiedziałem nieco zmieszany ich otwartością.

Gdy wszyscy zaczęli głośno powtarzać moje imię, usiadłem znowu na ziemi i usiłowałem powoli włożyć prawą stopę z obo-

92

łąłym palcem do buta. Nie przyszło mi to łatwo, ale jakoś się udało. Powoli wstałem i zrobiłem kilka próbnych kroków. Czułem lekki ból pod paznokciem, ale mogłem swobodnie się poruszać.

Zwinałem pobrudzoną i cuchnącą bluzę i żegnając się z dziećmi, ruszyłem w kierunku naszego domu. Teraz dopiero poczułem ogromne pragnienie. W ustach zupełnie mi zaschło, do tego stopnia, że z trudem mogłem poruszać językiem. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do domu i uraczyć się szklanką zimnej wody.

Mimo lekkiej kontuzji cieszyłem się z tego pierwszego bezpośredniego kontaktu z tutejszymi dziećmi, wśród których przyszło mi pracować przez najbliższe dwa lata. Wracalem bogatszy o kilka nowych słówek w języku kinya-rwanda, których dzięki spotkaniu z nimi nauczyłem się w przeciągu kilkudziesięciu minut. Były to: ikibuga - boisko, umupira - piłka, umushumba - pasterz, inka - krowa, amaraso - krew. Prawie wszystkie dzieci odprowadziły mnie aż do drzwi wejściowych misji.

Mijały kolejne tygodnie, a ja coraz lepiej poznawałem nowe tereny i kościoły filialne naszej parafii. Ksiądz proboszcz Tadeusz Bazan starał się tak układać plan duszpasterski, abym w każdą niedzielę mógł odprawiać Mszę św. w innej centrali, zapoznając się tym samym z miejscowymi wiernymi i ich abayobozi - tzn. szefami. Tak więc przez pięć kolejnych niedziel odprawiałem Mszę św. w następujących filiach: Gitarę, Musasa, Butete, Nkumba i w kościele parafialnym w Kinoni.

Każdy z tych wyjazdów był dla mnie ogromnym przeżyciem i pewnego rodzaju niepowtarzalną przygodą. Podziwiałem i zachwyciałem się niespotykanym pięknem tego malowniczego regionu północnej Rwandy. Wulkany, jeziora i góry tworzyły niezwykłą kompozycję charakterystyczną dla tego regionu. Iskrzące w słońcu tafle powierzchni jezior, setki maleńkich uprawnych poletek poprzecinanych plantacjami bananów na zboczach gór sprawiały wrażenie ogromnych ludzkich głów upstrzonych wymyślnymi fryzurami, a to wszystko wydawało się być podpo-

93

ządkowane królującemu pod względem okazałości i wysokości - wulkanowi Muhabura, który był widoczny z wielu miejsc, nawet oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów.

Kiedy po raz pierwszy jechałem z księdzem Tadeuszem do najbardziej oddalonej centrali naszej parafii w Musasa, nie mogłem wyjść z podziwu, patrząc z okna samochodu na te cuda natury, których twórcą był Bóg. To było dla mnie najlepsze przygotowanie do Eucharystii, którą mieliśmy sprawować wspólnie z księdzem proboszczem w niewielkim kościele w Musasa.

Pierwszy odcinek drogi prowadził przez tereny uprawne należące do ludzi mieszkających w bezpośredniej bliskości naszej misji. Po obu stronach drogi, lekko opadającej w kierunku ogromnego jeziora, mijaliśmy plantacje sorgo i kukurydzy, która osiągała wysokość około dwóch metrów; plantacje stanowiły jak gdyby dwie ściany wyznaczające bieg drogi. Po przejechaniu około trzech kilometrów zostaliśmy zatrzymani na wojskowej barierze, ale po kilku zdaniach wyjaśnień, że jesteśmy księżmi i jedziemy odprawić Mszę św., ruszyliśmy w

dalszą drogę. Po kilkusetmetrowym ostrym podejździe znaleźliśmy się na czymś, co przypominało mi zaporę wodną i most jednocześnie. Ksiądz Tadeusz zatrzymał się na moment.

- Zobacz, Romek. Tam w dole pod nami znajduje się elektrownia wodna. A teraz spójrz w lewo. To z tego jeziora spływająca woda, na skutek kilkusetmetrowej różnicy poziomu, napędza turbinę wodną wytwarzającą energię elektryczną, w którą zaopatrywane jest największe miasto w tym regionie - Ruhengeri, i nasza parafia również.

Spoglądałem na ogromną płaszczyznę jeziora, którego wody, wydawać się mogło, sięgały kół naszego samochodu, a następnie odwróciłem głowę w drugą stronę, gdzie kilkaset metrów poniżej rozpościerała się lekko falująca tafla kolejnego jeziora. Wszystko, co widziałem, było czymś nadzwyczajnym i niepowtarzalnym.

94

Rozpoczęliśmy przygotowania do Adwentu. Od sierpnia nasza wspólnota w Kinoni zwiększyła się do czterech osób. Po powrocie z urlopu dołączył do nas - od kilkunastu lat pracujący w Rwandzie - ksiądz Henryk Cabała. Był to dla nas ogromny zastrzyk świeżej energii i doświadczenia misyjnego; to właśnie swoją osobą wniósł do wspólnoty ksiądz Henryk.

Po kilku wspólnych zebraniach, którym przewodniczył ksiądz proboszcz Tadeusz Bazan, udało się nam ułożyć program pracy duszpasterskiej na okres Adwentu 1996 roku. Program ten dotyczył dwóch parafii: Kinoni oraz obsługiwanej przez nas parafii Busogo, opuszczonej przez Ojców Białych w czasie masakr w 1994 roku. Zapowiadała się niezła orka na niwie Pańskiej, która w niektórych miejscach nie była uprawiana od dwóch lat, ze względu na niebezpieczną sytuację w tym regionie, włącznie z bezpośrednim zagrożeniem życia oraz brakiem księży, którzy zginęli lub byli zmuszeni do ucieczki, by ocalić życie.

Z posługą duszpasterską należało dotrzeć do około 70 tys. wiernych, przynależących do jedenastu kościołów i kaplic filialnych, należących do obydwu parafii: Kinoni i Busogo. Biorąc pod uwagę ogromne odległości pomiędzy poszczególnymi kościołami, czasami sięgające dziesiątków kilometrów, oraz fatalne i niebezpieczne drogi górskie, co potęgowało dodatkowo nasz trud i wyrzeczenie, nasza posługa sakramentalna nabierała szczególnego charakteru. Główny akcent w przygotowaniu wiernych do świąt Bożego Narodzenia położyliśmy na sakrament pokuty.

Program dla wspólnot chrześcijańskich, gromadzących się w swoim kościele filialnym był następujący: nasze dotarcie na miejsce na godzinę dziewiątą; po przywitaniu wiernych rozpoczynała się konferencja adwentowa. Później następowała adoracja Najświętszego Sakramentu i indywidualna spowiedź. Po spowiedzi, jako ukoronowanie spotkania liturgicznego, miała być wspólnie sprawowana Eucharystia.

95

Zasadniczo do większych central wyjeżdżaliśmy we czwórkę. Miało to pomóc w sprawniejszym przebiegu udzielania sakramentu pokuty i zmniejszyć czas oczekiwania na Eucharystię. Mając świadomość trudnej i niebezpiecznej sytuacji w tym regionie, musieliśmy zakończyć naszą posługę w miarę wcześnie, aby wierni mogli powrócić do swoich domów przed zapadnięciem zmierzchu. Nie można było też zapomnieć, że ludzie przychodzili do kościoła pieszo, pokonując dystans kilku czy nawet kilkunastu kilometrów.

Rozpoczął się kolejny pracowity dzień w naszej wspólnotcie w Kinoni. Mieliśmy za sobą półmetek Adwentu i wizyty w siedmiu większych centralach, w których wierni zostali już przygotowani na obchody pamiątki Narodzin naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Tego dnia mieliśmy do obsługi niewielką centralę należącą do parafii Busogo. Ksiądz proboszcz Tadeusz Bazan wraz z księdzem Henrykiem Cabałą musieli pozostać w Kinoni na zebraniu parafialnym „Caritasu”. Ja wraz z księdzem Stanisławem Orlikowskim i Kamilem - przewodniczącym rady parafialnej - wyruszyliśmy do Musete.

Mieliśmy do pokonania około 50 km. Poranek był przepiękny. Promienie słoneczne tuliły w swych ramionach ogromne cielsko wulkanu Muhabura. Zamykając drzwi pokoju, spojrzałem na zegarek; dochodziła godzina siódma. Do naszej świątyni wchodził ostatni wierny, którzy przybyli na poranną Mszę świętą. Gdy wyjeżdżaliśmy z bramy naszej misji, przywitała nas grupka dzieciaków idących po wodę. W poszarpanych ubraniach, z plastikowymi bidonami po oliwie i z ujmującym uśmiechem na twarzy podążali do pobliskiego ujęcia wody. Wjechaliśmy na kamienistą i nieprawdopodobnie wyboistą drogę prowadzącą wprost na wulkan Muhabura. Poruszaliśmy się bardzo wolno, podskakując na wybojach zastygłej lawy wulkanicznej. Musiałem mocno trzymać walizkę z paramentami liturgicznymi służącymi do odprawiania Mszy świętej, aby pod-

96

skakując na siedzeniu, nie upadła na podłogę samochodu. Mijaliśmy wiele kobiet i dzieci niosących na głowach kosze z owocami, jajkami oraz plecione wiklinowe krzesła. Prawdopodobnie owi piechurzy udawali się na bazar w Butete, oddalony o około 5 km. Wszyscy nas serdecznie pozdrawiali.

Po kilku minutach uciążliwej jazdy dotarliśmy do asfaltowej drogi prowadzącej z Ugandy do Ruhengeri i dalej w stronę stolicy Kigali lub na północ w kierunku Gisenyi i Konga. Skręciliśmy w lewo, obierając kierunek na Ruhengeri. W moim odczuciu był to jeden z najpiękniejszych odcinków drogi, w czasie której można było podziwiać niepowtarzalne piękno krajobrazu Rwandy, z jej potężnymi wulkanami po jednej stronie drogi i wspaniałymi jeziorami po drugiej stronie.

W takich miejscach jak to, w sposób szczególny doświadcza się ogromnej potęgi stwórczej naszego Boga. Dusza sama zdawała się wznosić hen w przestworza, przed tron Boga - Stwórcy z hymnem uwielbienia i dziękczynienia za to piękno, które w jakimś maleńkim stopniu było odbiciem nieskończonego piękna i mądrości samego Stwórcy.

Minęliśmy dwie bariery wojskowe, na których po krótkim postoju, bez sprawdzania dokumentów, pozwolono nam jechać dalej. Wjechaliśmy do Ruhengeri. Ulice miasta jak zwykle zapchane ludźmi, wojskiem i żandarmerią. Trzeba było ogromnie uważać, szczególnie na pieszych, którzy praktycznie nie zwracali uwagi na przejeżdżające obok nich samochody. W miastach często dochodziło do bardzo groźnych wypadków z udziałem pieszych, którzy zaabsorbowani zakupami lub sprzedażą na miejscowych targowiskach byli zupełnie obojętni na to, co działo się obok nich.

Po wyjechaniu z Ruhengeri pozostało nam jeszcze około 20 km asfaltowej drogi, aby dotrzeć do Busogo. Ten odcinek przebyliśmy w miarę sprawnie, mijając po drodze tysiące objuczonych najprzeróżniejszymi towarami ludzi. Pozostawiając kościół

97

parafialny po prawej stronie drogi, zjechaliśmy z asfaltowej drogi, skręcając na lewo. Znaleźliśmy się na wąskiej polnej drodze, która miała nas doprowadzić do naszego kościoła filialnego przy parafii Busogo.

- Czy to jeszcze daleko? - zapytałem siedzącego obok mnie Kamila.

- Około dziesięciu kilometrów - odpowiedział bez zawahania. Mając świadomość, że mamy przed sobą jeszcze kilkadziesiąt

minut jazdy, bo droga była w fatalnym stanie, zaproponowałem wspólną modlitwę różańcową. Przy akompaniamencie głośnego pomruku silnika naszego samochodu i wypowiedzianych przez nas kolejnych zdrowasiek, wspinaliśmy się coraz wyżej wąską gliniastą drogą koloru czerwono-brunatnego. Za szybami samochodu rozpościerały się coraz piękniejsze widoki malowniczych gór i dolin. Nagle ksiądz Stanisław gwałtownie przyhamował. Zatrzymaliśmy się kilka metrów przed żerdzią z drzewa eukaliptusowego położoną w poprzek drogi i osadzoną na drewnianych widełkach.



- To jest wojskowa bariera - odezwał się Kamil. - Nigdy przedtem jej tutaj nie było...  
dodał. - Trzeba użyć klaksonu i czekać aż pojawią się żołnierze - oznajmił z powagą.  
Po kilkakrotnym naciśnięciu klaksonu czekaliśmy na rychłe pojawienie się wojskowych.  
Mijały minuty, a my z niecierpliwością spoglądaliśmy na zegarki. Dochodziła godzina  
dziewiąta. Kilkakrotnie użyliśmy jeszcze klaksonu, ale nikt się nie pojawiał. Należało podjąć  
decyzję, co robić dalej. Byliśmy już tak blisko kościoła, w którym czekają na nas wierni. Z  
drugiej strony, za samowolne przekroczenie bariery można było spodziewać się najgorszego -  
włącznie ze śmiercią.

Wspólnie podjęliśmy decyzję, że jedziemy dalej. Poniekąd czuliśmy się usprawiedliwieni, bo  
przecież sygnalizowaliśmy naszą obecność klaksonem i długim oczekiwaniem na żołnierzy.  
Powoli ruszyliśmy w dalszą drogę, ostrożnie omijając przeszko-

98

1

dę. Panująca wokół cisza i brak ludzi na drodze nie wróżyły nic dobrego.

- Coś musiało się tutaj wydarzyć - odezwał się nagle nasz umuyobozi Kamil. Dojeżdżamy  
już do kościoła, a na drodze wciąż nie spotkaliśmy ani jednego wiernego. Dotąd ludzie  
zawsze wyrastali na drodze jak grzyby po deszczu i byli dla nas najlepszym znakiem, że  
znajdujemy się już blisko kościoła czy kaplicy. Dzisiaj było inaczej.

Po kilku minutach wjechaliśmy na teren przykościelny. Nie było widać nikogo. Po wyjściu z  
samochodu nadśluuchiwałem, czy z wnętrza świątyni dochodzi śpiew wiernych. Niestety,  
wokół panowała złowroga cisza. Zabraliśmy z sobą walizkę z para-mentami i szaty  
liturgiczne. Ruszyliśmy w kierunku drzwi prowadzących do zakrystii. Na powitanie wyszedł  
miejscowy umuyobozi - szef centrali. Na jego twarzy malował się strach. Po przywitaniu  
natychmiast zapytaliśmy, co się stało. Z drżeniem w głosie opowiedział, że w nocy  
wymordowano kilkanaście rodzin. Strzały rozlegały się w całej okolicy. Wielu ludzi uciekło  
w obawie przed śmiercią. Nikt nie wie, kto to zrobił. Od wczesnych porannych godzin cały  
teren został otoczony przez wojsko.

- Jak wam udało się tutaj dotrzeć? - zapytał nagle, łapiąc się za głowę.

Po chwili milczenia ksiądz Stanisław zapytał:

- Czy są tu jacyś ludzie?

•  
i \*;

- Około dwudziestu osób.

- Dobrze, ci którzy przyszli, na pewno czekają na spowiedź. Mszę świętą też odprawimy.

- Ale to niebezpieczne! - odezwał się szef centrali. - Czy nie lepiej, abyście zaraz zawrócili?

Nie wiadomo, co tutaj za chwilę może się jeszcze wydarzyć!

- Myślę, że należy pozostać, wyspowiadać ludzi i odprawić Mszę św. - zabrał głos mój  
współbrat. . i • ??.<!(-> \*

- Jestem tego samego zdania - dodałem. ;,v; ..<., ->

99

Po udzieleniu sakramentu pokuty i wspólnie przeżytej Eucharystii, zegnaliśmy się z garstką  
wiernych, którzy mimo niebezpieczeństwa i strachu przyszli, aby skorzystać z sakramentów.  
Kilka minut później zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie ustawiona była bariera. Czułem, jak  
moje serce zaczyna pracować na szybszych obrotach. Nagle kilku żołnierzy wyrosło jak  
gdyby z podziemi. Szczelnie zablokowali całą drogę po obu stronach bariery. Kilku, z  
karabinami wymierzonymi w nasz samochód, już z dala dawało nam znaki, aby się  
zatrzymać.

Bardzo powoli podjechaliśmy do nich. Jeden z żołnierzy natychmiast podbiegł do nas i kazał  
nam wysiąść z samochodu, po czym wyrwał kluczyk ze stacyjki. Sytuacja była bardzo  
poważna. Staliśmy obok samochodu, oczekując na dalszy rozwój wydarzeń; po chwili  
podszedł do nas kolejny żołnierz, chyba dowódca, i zapytał kim jesteśmy. Odpowiedzieliśmy,  
że jesteśmy księżmi i wracamy z pobliskiego kościoła, gdzie spowiadaliśmy wiernych i

odprawiliśmy Mszę. Po chwili milczenia z jego ust padło kolejne pytanie: dlaczego samowolnie przekroczyliśmy barierę i czy wiemy co za to grozi?...

Nastała zupełna cisza. Poczułem gęsią skórę na plecach. Po kilku sekundach najstarszy rangą żołnierz skinął na pozostałych, aby się przybliżyli. Dyskretnie przekazał im kilka poleceń, wskazując najpierw na nas, a następnie na pobliską kilkudziesięciometrową stromą przepaść obok nasypiska drogi. Nie miałem złudzeń, jakie polecenie otrzymali.

Zacisnąłem bardzo mocno dłoń, w której dyskretnie trzymałem różaniec. Na horyzoncie, po drugiej stronie bariery, pojawiła się około dziesięcioosobowa grupa kobiet. Musiały podążać do kościoła, gdyż były odświętnie ubrane. Kiedy nas zauważyły, zaczęły wołać: - Padri, turaszaka imbabazi! (ojcze, chcemy się wyspowiadać!). Odczytałem to jako znak i zarazem szansę na wyjście z naszej beznadziejnej sytuacji. Błyskawicznie obróciłem się na pięcie i uczyniłem pierwszy krok w kierunku drzwi samocho-

100

du, aby wyjąć albę i stułę. W tym samym momencie usłyszałem za sobą suchy trzask zamka karabinowego. Zachowując całkowity spokój, wyjąłem albę oraz stułę i zacząłem się ubierać. Po chwili to samo uczynił ksiądz Stanisław. Ustawiliśmy się na przeciwległych obrzeżach drogi. Kobiety, widząc, że jesteśmy gotowi do posługi, spokojnie podeszły do nas, ustawiając się w kolejce. Wśród wojskowych nastąpiła całkowita konsternacja. Kątem oka obserwowałem ich reakcje.

Kiedy kończyliśmy spowiadać ostatnie penitentki, pomiędzy wojskowymi trwała zażarta dyskusja. Zdjęliśmy alby i stuły przy wtórze podziękowań szczęśliwych kobiet za udzielenie im sakramentu pojednania. W tym czasie podszedł do nas jeden z żołnierzy i rzucając kluczyki na maskę samochodu, kazał nam jechać. Odetchnąłem z ogromną ulgą.

W chwilę potem eukaliptusowy drzątek podniósł się w górę, otwierając drogę ku wolności i życiu. Ruszyliśmy w drogę powrotną do Kinoni. W samochodzie panowała atmosfera zadumy nad tym, co się tutaj wydarzyło ostatniej nocy. W głębi serca modliłem się za wszystkich, którzy zostali zamordowani, prosząc, aby Bóg wynagrodził im ich cierpienie i obdarzył życiem wiecznym.

Incydent przy barierze uświadomił mi tę prawdę, że ...Bóg nie chce śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył... Po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że w tym kraju, czyniąc znak krzyża świętego u początku nowego dnia, nie można być pewnym, że się dożyje jego końca. Po szczęśliwym dotarciu do Kinoni natychmiast poinformowaliśmy księdza proboszcza Tadeusza Bazana o zaistniałych wydarzeniach w centrali, z której wróciliśmy. Zaraz po obiedzie, kilkoro obdartych dzieciaków podeszło do mnie, proponując mecz piłki nożnej. Szczerze mówiąc, miałem ogromną ochotę odreagować dzisiejsze przeżycia, ale nie grą w piłkę. Odmówiłem więc, ale w zamian zaproponowałem jakiś

101

dłuższy wspólny bieg. Z ogromną radością przyjęli moją propozycję. Umówiliśmy się więc na godzinę piętnastą. Kiedy po krótkiej sjeście, w sportowym stroju, wyszedłem na zewnątrz, przed wejściem czekała już spora grupka dzieciaków. Przywitałem się ze wszystkimi, a następnie zaproponowałem najstarszemu z chłopców, by zechciał poprowadzić nasz peleton. Zaproponowałem im bieg do Nkumba, gdzie przed wojną znajdowało się Niższe Seminarium Duchowne i kościół filialny naszej parafii w Kinoni.

Mieliśmy do pokonania dystans około 12 kilometrów. Przeszliśmy spacerowym krokiem około 200 metrów, zatrzymując się tuż za naszym kościołem parafialnym. Mając już spore doświadczenie w biegach długodystansowych, które wyniosłem z Polski, zaproponowałem dzieciakom krótką rozgrzewkę, polegającą na wykonaniu kilku bardzo prostych ćwiczeń gimnastycznych. Była to skuteczna metoda zapobiegawcza przeciwko powstawaniu zakwasów. Po kilku minutach ruszyliśmy z miejsca, wbiegając na wąską trawiastą ścieżkę.

Biegliśmy gęsiego, tworząc kilkunastometrowy wąż. Jako pierwszy biegł najstarszy z grupy chłopak. Ja biegłem ostatni, aby móc doglądać całej grupy.

Prowadzący chłopak narzucił początkowo dosyć ostre tempo. Bałem się, że mniejsi i słabsi długo nie wytrzymają, ale jak na razie doskonale sobie radzili. Z każdym przebiegniętym kilometrem tempo słabło. Było to z korzyścią dla najsłabszych.

Mieliśmy za sobą już około trzech kilometrów, przebiegniętych wśród lasu eukaliptusowego poprzecinanego niewielkimi plantacjami kukurydzy i sorgo. Teraz właśnie wbiegaliśmy do wioski. Zewsząd dobiegały głośne rozmowy kobiet, przerywane płaczem małych dzieci i rykiem jakichś zwierząt domowych. Niewielkie okrągłaki z przylegającymi do nich komórkami na zwierzęta i narzędzia pokryte były najczęściej wysuszonymi trawami i liśćmi bananowymi. Były to typowe dla tego regionu zabudowania - proste i bardzo ubogie.

Niektóre kobiety rozpo-

102

znawały mnie, krzycząc z podziwem: - Padri Romani! padri wacu!

W kilka minut pozostawiliśmy za sobą biedną wioskę, wybiegając na otwartą przestrzeń. Na horyzoncie, w odległości jednego kilometra, pojawiły się zabudowania niegdyś funkcjonującego Niższego Seminarium Duchownego, należącego do diecezji Ruhengeri.

Obok zabudowań seminaryjnych z łatwością można było dostrzec kościół, w którym jeszcze nie tak dawno modlili się przyszli kandydaci do kapłaństwa, a teraz tylko okoliczna ludność.

Dobiegaliśmy powoli na półmetek naszego małego maratonu. Tempo biegu znacznie osłabło.

Biegając jako ostatni, starałem się, aby wszystkie dzieciaki pokonały wspólnie ze mną całą trasę. Teraz, gdy biegliśmy po otwartej przestrzeni, mogłem bliżej przyjrzeć się całej grupie.

W brudnych i poszarpanych ubraniach, na bosaka, mknęli do przodu, aby pobyć trochę ze swoim padrim - ojcem. Czułem ich ostry zapach potu, który spotęgowany wysiłkiem, nieprzyjemnie uderzał w moje nozdrza. Na lekkich łukach miałem ich wszystkich w zasięgu mojego wzroku. Ich wychudzone sylwetki przypominały mi statystów biorących udział w scenach filmu ukazujących okrucieństwo ludobójstwa w Oświęcimiu.

Nagle zauważyłem, że biegnący tuż przede mną chłopak zachwiał się, po czym stanął jak wryty na środku ścieżki. Krzyknąłem głośno - hagarara! (zatrzymajcie się!). W chwilę potem, wszyscy siedzieliśmy na skraju ścieżki. Głęboko oddychając, cała grupa korzystała z nieprzewidzianego odpoczynku. Zupełnie wyschło mi w gardle, a język zamienił się w twardy kołek. Myślę, że tak jak dzieciaki, marzyłem tylko o jednym: by wziąć w usta chociaż łyk jakiegoś płynu.

Spojrzałem na chłopaka, który zaniemógł. Wyglądał nie najlepiej. Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni 500 franków, za które można było kupić kilka butelek fanty lub wody.

Zapytałem

103

więc dzieci: - Ese ushobora kugura icyo kunwa hafi hano? (czy w pobliżu można kupić coś do picia?). Najstarszy chłopiec poderwał się z ziemi.

- Padri, hariya hafi i Nkumba w shobova kugura icyo kunywa (ojcze, niedaleko stąd w Nkumba można kupić coś do picia).

- Ese, ushobora kugura amazi amacupa atatu? (czy mógłbyś pobiec i kupić trzy butelki wody?) - zapytałem.

- Jego, padri. Iminota itanu, ndagaruka (tak, ojcze. W pięć minut będę z powrotem) - odpowiedział.

Wręczyłem mu banknot. W chwilę potem w oddali można było dostrzec tylko jego migające białe stopy.

Korzystając z chwili czasu, postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej na temat obecnych tutaj małych biegaczy. Poprosiłem ich, aby opowiedzieli o sobie kilka zdań. Dzieciaki pospuszczały głowy, wbijając wzrok w ziemię. W chwilę potem, po raz kolejny na ziemi

rwandyjskiej, wsłuchiwałem się w bardzo smutne historie niewinnych dzieci, okrutnie skrzywdzone przez los. Większość z nich była sierotami lub półsierotami. Swoich rodziców utracili w 1993 i 1994 roku w wyniku walk plemiennych.

Byli pozostawieni własnemu losowi i skazani na codzienną walkę o przetrwanie, nieraz bardzo ciężką pracą na roli. Jak się dowiedziałem, przeżyli dzięki pomocy naszego pallotyńskiego parafialnego „Caritasu”. Wsłuchując się w ich jakże smutne i podobne historie, poczułem, jak w kąciku ust kolejna kropla potu została okraszona łzami, które mimo woli potoczyły się bezwiednie po moich policzkach. Westchnąłem głęboko, ukradkiem ocierając twarz.

Nagle któryś z dzieciaków zauważył nadbiegającego chłopca -naszego przewodnika. Wszyscy poderwali się z ziemi jak ptaki spłoszone nagłym pojawieniem się jastrzębia. Zmęczony i ociekający potem chłopak z uśmiechem wręczył mi trzy oryginalne butelki wody mineralnej i 50 franków reszty. Podziękowałem mu serdecznie, odbierając wodę. Odkręciłem powoli zakrętki i poda-

104

łem butelki dzieciom, które łapczywie spoglądały na ich zawartość. Woda podawana z rąk do rąk szybko zniknęła z butelek. Cierpliwie czekałem aż wszystkie dzieciaki zaspokoją pragnienie.

Po chwili butelki powróciły do mnie. W każdej z nich dzieciaki pozostawiły kilka łyków wody i dla mnie. Przysssałem się do jednej z nich, jak niemowlak do piersi matki. Poczuję ogromną ulgę w ustach. Kiedy przykładałem już drugą butelkę do warg, zauważyłem, jak jedna z dziewczynek pozerła wzrokiem pozostałą jej zawartość. Podeszedłem do niej, podając resztę wody. Błyskawicznie złapała ją w obydwie ręce i wypięła wodę, zdając się wlewać ją bezpośrednio do żołądka. Puste butelki wręczyłem dwóm najmłodszym uczestnikom naszego biegu, sprawiając im tym ogromną radość.

Kiedy spojrzałem na zegarek, dochodziła godzina siedemnasta. Wspólnie postanowiliśmy wracać do Kinoni. Poprosiłem naszego przewodnika, aby biegł bardzo powoli. Bałem się, aby któreś z tych niedożywionych dzieciaków nie zaśląbło w drodze powrotnej. Ruszyliśmy tą samą trasą. Biegając powoli, dzieciaki żywiołowo rozmawiały między sobą.

Patrząc na nich, myślami powróciłem do przeprowadzonej przed kilkunastu minutami wspólnej rozmowy na temat ich beznadziejnej sytuacji. Uczucie ogromnego żalu wypełniło moje serce. Stawiałem sobie pytanie: dlaczego tyle niewinnych dzieci tak bardzo musi cierpieć w tym kraju? Budził się we mnie gniew przeciwko ogromnej niesprawiedliwości. Postanowiłem pomagać im w miarę moich możliwości, aby przywrócić im choć odrobinę dziecięcej radości. Przypomniałem sobie, że na Gikondo dotarł ogromny kontener, jako pomoc zorganizowana przez nasz Pallotyński Sekretariat Misyjny w Ząbkach, prowadzony już od wielu lat przez - całym sercem oddanego misjona - księdza Stanisława Kuracińskiego. Wiedziałem, że oprócz koców, lekarstw i przyborów szkolnych, główną zawartość kontenera stanowiła wszelkiego rodzaju odzież. Przyrzekłem sobie

105

poprosić przełożonego - regionała księdza Stanisława Filipka -o trochę rzeczy dla tych najbiedniejszych dzieci, których garstkę miałem przed sobą.

Zbliżaliśmy się powoli do naszej misji w Kinoni. Jeszcze raz spojrzałem na biegnącą gromadkę wychudzonych i zaniedbanych dzieci i poczułem, jak zapiekły mnie oczy. W chwilę potem po policzkach popłynęły słone łzy. Na pamięć przyszły mi słowa Jezusa: ...Kto przyjmie jedno z tych małych - Mnie przyjmuje!... „Panie, nie pozostawię Cię w takim stanie!” - westchnąłem.

Końcówka roku 1996 przyniosła nam kolejną smutną niespodziankę, będącą konsekwencją wojny domowej z przed dwóch lat. Administrator apostolski w diecezji Ruhengeri, która jako ostatnia pozostawała jeszcze bez biskupa, zwrócił się do wszystkich księży i instytucji

charytatywnych w diecezji o natychmiastową pomoc tysiącom Rwandyjczyków powracających do kraju. Byli to przedstawiciele plemienia Hutu, którzy w obawie przed zemstą po eksterminacji Tutsi w kwietniu i maju 1994 roku uciekli do Zairu. Większość z nich osiedliła się w Goma, tworząc tam półmilionowy obóz dla uchodźców. Żyjąc w warunkach skrajnej nędzy, każdego dnia wielu z nich umierało z głodu i chorób. Obecne władze nakazały wszystkim przebywającym w obozach Rwandyjczykom powrót do swojego kraju. Tak rozpoczął się exodus kilkuset tysięcy Rwandyjczyków, można powiedzieć - powracających do nikąd. Sytuacja była dramatyczna i z godziny na godzinę się pogarszała. Otrzymaliśmy wiadomość od naszego współbrata księdza wikariusza generalnego Zbigniewa Pawłowskiego, pracującego w biskupstwie w Ruhengeri, że pierwsza fala ludzi dotrze do miasta już jutro. Należało jak najszybciej zorganizować pomoc, by przez najbliższe dni wyjść naprzeciw najbardziej podstawowym potrzebom umęczonych repatriantów. Chodziło głównie o zgromadzenie jak największej ilości żywności, wody i koców.

106

Po otrzymaniu dodatkowej puli pieniędzy od księdza regionała Stanisława Filipka na potrzeby „Caritasu”, przystąpiliśmy natychmiast do zakupu większej ilości ziemniaków, sorgo, ryżu, kukurydzy i innych artykułów, jak na przykład: plastikowych bi-donów na wodę. Po całym dniu spędzonym za kierownicą, jeżdżąc od bazaru do bazaru, nasz parafialny magazyn wypełniliśmy po brzegi. Była to kropla w morzu w porównaniu do potrzeb kilkuset tysięcy rzeszy głodnych ludzi, ale mieliśmy nadzieję, że pomożemy przetrwać chociaż niektórym. Następnego dnia, około godziny dziesiątej, pojechałem z księdzem Tadeuszem do Ruhengeri, aby zorientować się w aktualnej sytuacji odnośnie powracających uchodźców. Tam ksiądz Pawłowski poinformował nas, że są już pierwsze grupy ludzi, które dotarły na teren parafii Busogo. Dodał, że są oni skrajnie wyczerpani i potrzebują natychmiastowej pomocy. Administrator apostolski, ks. Martinez, przekazał do największych międzynarodowych organizacji charytatywnych obecnych w Rwandzie odpowiednie noty informacyjne, zwracając się również o zorganizowanie jak najszybszej pomocy.

Natychmiast postanowiliśmy powrócić do Kinoni, aby rozpocząć udzielanie pomocy repatriantom znajdującym się już w Busogo. W drodze do parafii, wspólnie z księdzem proboszczem Tadeuszem ustaliliśmy, że zgromadzoną żywność będziemy zawozili powracającym dwoma naszymi samochodami parafialnymi. Były to toyota i mitsubishi, na które jednorazowo można było załadować 800 kg żywności. Po przybyciu do Kinoni ksiądz Tadeusz natychmiast wydał polecenie naszym pracownikom, aby załadować samochody żywnością. Jako pierwsi mieli pojechać księża: Henryk Cabała i Stanisław Orlikowski. Ja natomiast miałem pojechać z Kamilem i jeszcze jednym świeckim pracownikiem „Caritasu” parafialnego. Po załadowaniu pierwszego samochodu ksiądz Stanisław i ksiądz Henryk ruszyli w trasę. Kilkadziesiąt minut później robotnicy zgłosili zakończenie załadunku drugiego

107

samochodu. Jak przed każdym wyjazdem poszedłem po błogosławieństwo do przełożonego - księdza Bazana.

Zaraz po obiedzie wyruszyłem z moją ekipą do Busogo. Załadowany do maksimum samochód ciężko toczył się pod górę. Kiedy wjechaliśmy już na drogę asfaltową, samochód nabrał mocy i prędkości. Na trasie zauważyłem wzmożony ruch wojska. Kiedy przejeżdżaliśmy obok gminy w Nkumba, spora grupa żołnierzy szykowała się do wymarszu. Wjechaliśmy do Ruhengeri. Tutaj wszędzie dało się odczuć atmosferę wyczekiwania i napięcia. W połowie drogi pomiędzy Ruhengeri a Busogo zauważyłem powracający już nasz samochód. My byliśmy nieco zasłonięci, gdyż jechałem za niewielką ciężarówką. Mignąłem światłami, ale z ich strony nie było żadnej reakcji. Musieli nas nie zauważyć. Powoli zbliżaliśmy się do Busogo. Czułem jakiś wewnętrzny niepokój. Popadłem w głęboką zadumę,

myśląc o coraz to nowych cierpieniach mieszkańców tego kraju, umęczonego ciągnącymi się już od wielu lat konfliktami na podłożu etnicznym. Nagle uczułem lekkie szturchnięcie. - Padri, reba hariya! (ojcze, zobacz tam!) - krzyknął podekscytowany Kamil. W oddali na drodze i jej obrzeżach dostrzegłem tysiące ludzi.

Zredukowałem bieg, powoli wjeżdżając w ludzką masę powracających uchodźców rwandyjskich. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, patrząc na mijanych ludzi.

Wychudzone twarze z jakimś błędnym, przerażającym wzrokiem, wypatrującym czegoś w oddali. Na wielu obliczach malował się strach, cierpienie i beznadziejność. W nędznych i niejednokrotnie poszarpanych ubraniach, powlekając bosymi stopami, poruszali się do przodu jak w letargu. Większość dorosłych, szczególnie kobiet, niosła w brudnych zawiniątkach cały swój dobytek. Najczęściej wystawały z nich jakieś stare naczynia kuchenne i słomiane maty służące do spania.

Przez otwarte okna naszego samochodu dobiegały krzyki i płacz dzieci, które prawdopodobnie pogubiły się w tej masie lu-

108

dzi i teraz biegnąc, rozpaczliwie usiłowały odnaleźć najbliższych. Istniało również prawdopodobieństwo, że ich rodzice zmarli w obozie lub nie wytrzymały trudów uciążliwego marszu. Trudno było tego słuchać i patrzeć na zapłakane buzie dzieci biegnących panicznie wśród dorosłych. Serce z bólu podchodziło mi do gardła. „Kolejne sieroty” - pomyślałem. „Panie, dlaczego?”

Zatrzymałem samochód w miejscu, gdzie na obrzeżach drogi odpoczywało najwięcej ludzi. Niektórzy leżeli z poprzykrywany-mi głowami, by ochronić je przed słońcem. Wsiadając z samochodu, poprosiłem Kamila, aby podszedł do ludzi i ogłosił im, że mogą podejść do samochodu i zabrać trochę jedzenia. Przypomniałem mu, że pierwszeństwo mają kobiety z dziećmi i zagubione dzieci. Po chwili wśród odpoczywających nastąpiło poruszenie. Ludzie powoli podnosili się z ziemi i ustawiali się w kolejce przed samochodem. Na większości twarzy malowało się ogromne zmęczenie i apatia. Kamil wraz ze swoim współpracownikiem przystąpili do rozdawania żywności. Mieliśmy do rozdania pięć worków ziemniaków, tyle samo worków sorgo, dwa worki ryżu i cztery worki kukurydzy. Oprócz tego mieliśmy do rozdania kilkadziesiąt małych, plastikowych bidonów na wodę. Szczerze mówiąc, obawiałem się, że w momencie pojawienia się między zgłodniałymi i zdesperowanymi ludźmi, rozszarpia nas wraz z całą zawartością samochodu. Na szczęście były to niesłuszne obawy.

Płynęły minuty. Kamil i jego pomocnik uwijali się jak mogli, aby sprawnie i szybko obsłużyć wygłodzone i zmęczone kobiety i dzieci. Obydwoj obficie spływali potem. Z platformy naszego samochodu szybko znikwały kolejne worki. Na samochodzie robiło się coraz luźniej, ale kolejka przed nim się nie zmniejszała.

W pewnym momencie do samochodu podszedł starzec podpierający się długą drewnianą laską. - Padri, turashaka amazi (ojcze, chcielibyśmy wody) - wyszeptał cicho spieczonymi wargami.

109

Przypomniałem sobie, że w kabinie samochodu mamy dwa dwu-dziestolitrowe bidony z wodą do picia. Natychmiast wskoczyłem do wnętrza kabiny i wyjąłem obydwaj pojemniki.

- Ufite icupa? (czy masz butelkę?) - zapytałem.

- Oya! (nie!) - zaprzeczył starzec.

W rogu na platformie samochodu leżało jeszcze kilka bi-donów do rozdania. Natychmiast złapałem jeden i napełniłem wodą. Wręczyłem go starcowi. Jego oczy zwilgotniały. Z ogromnym wzruszeniem podziękował, powtarzając kilkakrotnie: -Murakoze.

Zaraz po jego odejściu pojawili się inni spragnieni, wyciągając dłonie z różnymi naczyniami. Bidony wyczerpały się błyskawicznie. Podobnie było na platformie samochodu, gdzie rozdawane były ostatnie kolby kukurydzy. W chwilę potem usłyszałem głos Kamila

krzyczącego: - Padri, twarangije! (ojcze, skończyliśmy!). Ci, którym udało się otrzymać ostatnie kolby kukurydzy, odchodzili zadowoleni, natomiast pozostali jeszcze stali w kolejce, z niedowierzaniem spoglądając na stertę opróżnionych worków. Podszedłem do Kamila składającego puste worki i poprosiłem, aby poinformował ludzi, którzy nic nie otrzymali, że lada moment dojedzie kolejny samochód z pomocą. Miałem na myśli samochód moich współbraci, księdza Orlikow-skiego i Cabały. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina piętnasta. „Jezu, ufam Tobie! Jezu, ndakwizera” - wyszeptałem kilkakrotnie w języku kinyarwanda, aby wśród morza ludzkiej nędzy Bóg usłyszał moje westchnienie w ich rodzimym języku.

- Pora wracać - powiedziałem, wsiadając za kierownicę samochodu. Powoli ruszyliśmy w drogę powrotną. Ubrudzeni, spoceni, spragnieni, ale i szczęśliwi, że mogliśmy nakarmić i napoić część ludzi, którzy właśnie rozpalali ogniska, aby przygotować pierwszy od kilku dni posiłek. Kiedy opuszczaliśmy ostatnie zbiorowiska ludzi, zauważyłem ku mojej ogromnej radości nadjeżdżającą toyotę z moimi współbraćmi, wiozącymi kolejną par-

110

I

cię żywności. Pozdrowiłem ich, migając światłami. Oni uczynili to samo. Musieli się spieszyć, by przed zapadnięciem zmierzchu powrócić bezpiecznie do Kinoni. W chwilę potem na horyzoncie zauważyłem dwie ogromne cysterny - prawdopodobnie z wodą. Oznakowane były dużymi czerwonymi krzyżami. Uradowałem się ogromnie, bo wielu powracających uciekinierów będzie mogło ugasić pragnienie. „Boże, dzięki Ci za to, że dzisiaj mogliśmy Cię napoić i nakarmić w tych biednych i jakże boleśnie doświadczonych braciach - Rwandyjczykach”.

Po powrocie do Kinoni, natychmiast udałem się do księdza Tadeusza, aby opowiedzieć wszystko, co zobaczyliśmy. Wsłuchiwał się z ogromnym przejęciem w moją relację z zastanej rzeczywistości wśród repatriantów.

Przez następne kilka dni kontynuowaliśmy naszą pomoc, dowożąc żywność i inne rzeczy pierwszej potrzeby. Do akcji niesienia pomocy włączyło się kilka organizacji międzynarodowych, jak na przykład Czerwony Krzyż. Zaopatrywały one ludzi w wodę pitną, koce i wzbogacane witaminami herbatniki. Bardzo mocno w organizowanie pomocy ze strony pallotyńskiej zaangażował się ksiądz regionalista Stanisław Filipek. Oczywiście nie byłoby to możliwe bez współpracy z księdzem Stanisławem Kura-cińskim, który oddany całym sercem i duszą sprawom pallotyńskich misji, organizował i koordynował pomoc płynącą dla Rwandy poprzez Sekretariat Misyjny.

Tutaj na miejscu w Rwandzie uświadomiłem sobie jak ważną rolę spełnia Sekretariat Misyjny, na czele z sekretarzem do spraw misji, księdzem Stanisławem. Ileż uratowanych istnień ludzkich w tym umęczonym kraju! Ile nadziei wlanej w serca dzieci i młodzieży otrzymującej konkretną pomoc za pośrednictwem Sekretariatu Misyjnego! Za to wszystko dobro Bogu niech będą dzięki.

Oto kończyliśmy przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia spowiedzią i Mszą świętą w naszej parafii w Kinoni. O godzinie

111

dziwiętej rozpoczęła się konferencja adwentowa, którą głosił ksiądz proboszcz Tadeusz Bazan. Wraz z księdzem Stanisławem i Henrykiem usiedliśmy w konfesjonalach. W oczekiwaniu na pierwszych penitentów dziękowałem Bogu, że w naszym kościele parafialnym w Kinoni mamy z prawdziwego zdarzenia konfesjonały. W pozostałych kościołach dojazdowych spowiadaliśmy, siedząc na krzesłach, co jest bardzo uciążliwe z wielu względów.

Były także centrale, gdzie spowiadaliśmy cztery, a nawet i więcej godzin. To, że bolały plecy, i nie tylko, to jeszcze nic. Kiedy przychodziło południe, w niskich, pokrytych blachą

kościółach wypełnionych po brzegi wiernymi, robiło się jak w parniku. Ogromny zaduch - i co tu ukrywać - nieprzyjemny zapach pocących się, podobnie jak my, setek penitentów, utrudniał normalne oddychanie. Wiele starszych kobiet i mężczyzn w oczekiwaniu na swoją kolejkę paliło tradycyjną fajkę, która jest ich przywilejem i oznaką poważania. Młodszy z kolei żuli liście tytoniu. Kiedy podchodzili do spowiedzi, zapach fajki czy tytoniu zionący z ich ust - zrzucił z krzesła.

Ale to wszystko było niczym w porównaniu z kąsającymi niemilosiernie pchłami, które w czasie spowiedzi zmieniały żywiciela, przeskakując z penitenta na spowiednika. Już po kilkunastu minutach spowiedzi czułem pierwsze palące ukłucia w okolicach kostek.

Dyskretnie pocierając nogą o nogę można je było przepędzić, ale tylko na moment. Po jakimś czasie pchły wędrowały w górę łydek i tam były już bezpieczne, bo nie można było wykonywać akrobacji nogami, a drapać się w obecności spowiadającego się penitenta absolutnie nie wypadało. Czując się bezkarnie, gryzły dotąd, aż napompowały się moją krwią do maksimum. Tego dnia, siedząc wygodnie w konfesjonale, byłem dobrze zabezpieczony przed ich atakiem. Chociaż kończyła się spowiedź adwentowa, to jeszcze będzie musiało upłynąć wiele czasu zanim zagoją się strupy po ranach, powstałych na skutek drapania w miejscach pogryzionych przez pchły.

112

W naszej wspólnocie trwały ostatnie gorączkowe przygotowania świąteczne. Kucharz przyniósł mi właśnie listę niezbędnych rzeczy, które należało kupić, aby mógł spokojnie przygotować skromną wieczerzę wigilijną. Przygotowałem odpowiednią sumę pieniędzy, kilka pojemników na warzywa i owoce oraz worki na ziemniaki. Zapakowałem to wszystko do samochodu i ruszyłem na pobliski bazar w Butete. Zanosilo się na deszcz, więc założyłem cieplejszą bluzę trykotową.

Już przy bramie spotkałem kilka znajomych dzieciaków, które pozdrawiając mnie serdecznie, wykrzykiwały głośno moje imię. W geście pozdrowienia pomachałem im dłonią, ruszając w drogę. Ciężkie chmury spowijały całe niebo. Zapowiadała się niezła ulewa.

Powracający z wodą ludzie podbiegali, aby zdążyć dotrzeć do domów przed burzą. Chmury zdawały się coraz bardziej obniżać swój pułap, spowijając gęstą mgłą całą okolicę. Z minuty na minutę widoczność się pogarszała. W miejscu, gdzie znajdował się wulkan, teraz można było dostrzec jedną ogromną ciemną ścianę utworzoną przez gęste, ciemne kłębowiska chmur. Wjeżdżając na drogę prowadzącą do granicy z Ugandą, byłem zmuszony znacznie ograniczyć prędkość jazdy ze względu na minimalną widoczność. Po kilku minutach zerwał się gwałtowny wiatr. Na szczęście byłem już prawie na miejscu.

Zaparkowałem samochód na moim stałym miejscu. Natychmiast pojawiła się spora grupka dzieciaków, które zawsze chętnie pomagały mi w robieniu zakupów i ich transporcie do samochodu. Były to bardzo biedne i zaniedbane dzieci, prawdopodobnie okoliczne sieroty. Targowisko było dla nich miejscem, gdzie mogły znaleźć coś do zjedzenia w postaci wyrzucanych, na wpół zgniłych owoców czy warzyw. Przy odrobinie szczęścia mogły czasami zarobić kilka franków, załadowując towar zakupiony przez handlowców, przybywających tutaj ze względu na dużo niższe ceny ziemniaków, warzyw i owoców.

-o

113

Lada moment mogła rozpocząć się ulewa, więc szybko skierowałem się w kierunku placu, gdzie sprzedawano ziemniaki. Jednym ze sprzedających był nasz parafianin, mieszkający blisko kościoła tutaj w Butete. Często zaopatrywałem się u niego, więc, z daleka mnie pozdrawiając, pytał jednocześnie ile kilogramów ma zważyć. Wręczyłem mu cztery worki i poprosiłem, by odważył 200 kg. - Wróć za kilka minut - dodałem, ruszając w kierunku straganów z mięsem, warzywami i owocami. Na ziemię zaczęły spadać pojedyncze, ogromne



krople deszczu. Porywisty wiatr wzniecał tumany kurzu, papierów i drobnych liści. Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

Z przymrużonymi oczami, z kartką w rękę i kilkoma dzieciakami przy boku, biegałem od straganu do straganu, powoli zapełniając poszczególne skrzynki i reklamówki towarami zamówionymi przez kucharza. Dzięki pomocy dzieci nie musiałem latać z każdą reklamówką oddzielnie, by umieścić zakupione towary w samochodzie. Była to więc duża pomoc, która znacznie ułatwiała i skracła czas robienia zakupów, a zarazem i czas przebywania na targowisku, które nie należało do miejsc bezpiecznych. Kręciło się tutaj wielu podejrzanych ludzi, obserwujących zarówno kupujących, jak i sprzedających. Zdarzały się przypadki, że ktoś, komu udało się któregoś dnia sprzedać więcej towaru, zarabiając w ten sposób większą sumę, w drodze powrotnej został napadnięty, pobity, a nawet zamordowany na tle rabunkowym.

Jak wszędzie na bazarach i targowiskach i tutaj swoje łupy zbierali drobni kieszonkowcy, którzy wykorzystując moment nieuwagi roztargnionych klientów, pozbawiali ich zawartości kieszeni. Dlatego, poinstruowany przez starszych i doświadczonych współbraci, zawsze pieniądze i dokumenty nosiłem w specjalnej saszetce na piersiach.

Oczywiście były jeszcze i inne niebezpieczeństwa, których nie można było przewidzieć. Przed kilkoma miesiącami, w sierp-

114

niu tego roku, na tym właśnie bazarze w Butete doszło do ogromnej tragedii. Była to sobota. Normalnie tamtego dnia powinienem być właśnie tutaj, bo jako ekonom naszej wspólnoty w Kinoni, w każdą sobotę przyjeżdżałem, by zrobić zakupy.

W tamtą sobotę ksiądz Tadeusz wysłał mnie z misją do Kigali. Miałem przywieźć kilkanaście materaców dla instalujących się na nowo w swoim domu w Kinoni siostr wincentek. Były to siostry Rwandyjki, które podobnie jak nasza wspólnota, w czasie działań wojennych w 1993 roku musiały uciekać, by ratować życie. Podobnie jak nasza placówka, ich dom został całkowicie okradziony. Nasze domy sąsiadowały ze sobą, a kilkaset metrów dalej siostry te prowadziły duży ośrodek zdrowia. Siostra przełożona poprosiła księdza Tadeusza Bazana o pomoc. Jedną z form takiej pomocy był transport z Kigali niektórych części wyposażenia ich domu. Wówczas przy takich okazjach robiłem zakupy dla naszej wspólnoty towarów, których nie można było kupić tutaj na północy.

Po powrocie, wieczorem, dowiedziałem się o tragedii, która właśnie tego dnia wydarzyła się na tym niewielkim targowisku w Butete. Około godziny dziesiątej nieznani sprawcy wrzucili kilka granatów w tłum ludzi przybyłych na zakupy. Na miejscu zginęło kilka osób, a kilkudziesiąt zostało rannych. Ucierpieli również sprzedający. Wśród nich kilku było ciężko rannych. Dla okolicznej ludności był to prawdziwy szok. Dla mnie również.

Nagle uświadomiłem sobie, że od początku mojego pobytu w Kinoni była to pierwsza sobota, kiedy nie robiłem zakupów na tutejszym targowisku. Byłbym prawdopodobnie pomiędzy tymi, wśród których eksplodowały granaty. Opatrzność Boża czuwa. Tamtego wieczoru spędziłem wiele czasu w naszej domowej kaplicy, dziękując Bogu za ten opatrznościowy dla mnie wyjazd do stolicy oraz modląc się gorąco za zabitych i rannych na bazarze w Butete.

W strumieniach ulewnego deszczu bieглиśmy gęsiego do samochodu. W pojemnikach podskakiwały zakupione warzywa

115

i owoce. Szybko otworzyłem drzwi kabiny, by umieścić w niej towar. Dzięki pomocy dzieci poszło nam to bardzo sprawnie. Jednego ze starszych chłopców poprosiłem, by pobiegł kupić sześć baigne - było to ciasto smażone na oliwie, przypominające wyglądem i smakiem polskie pączki. Dzieciaki tymczasem schroniły się przed deszczem pod okapem dachu jednego z magazynów. Ja pozostałem w samochodzie, robiąc porządek w mojej saszetce z pieniędzmi.

Ledwie skończyłem je zabezpieczać przed ewentualnym zamknięciem, gdy ktoś zapukał w okno samochodu. Nieco przestraszony, powoli uchyliłem zaparowaną szybę.

- Padri, nazanye imigati (ojcze, przyniosłem) - odezwał się chłopiec, który szybko uwinął się z zakupem.

- Niby, genda hariya (dobrze, idź tam) - wskazałem na pozostałych małych pomocników. -

Ba gabulire (i daj im to do zjedzenia) - powiedziałem. - Murakoze gufasha! (dziękuję za pomoc!) - krzyknąłem za odbiegającym chłopcem.

Pozostały mi jeszcze do odebrania ziemniaki, które należało załadować na samochód.

Uruchomiłem silnik i ostrożnie ruszyłem w kierunku miejsca, gdzie stały już przygotowane cztery worki. Zniecierpliwiony sprzedawca zaczął machać rękami, naprowadzając mnie w najbardziej dogodne miejsce do załadunku. Przepraszając za małe opóźnienie, uiściłem należność za towar. W chwilę potem, kiedy worki znalazły się już na samochodzie, żegnaliśmy się ciepło, życząc sobie „Noheli Nziza” - szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia. „Czas wracać do domu, bo tam czeka jeszcze sporo pracy” - pomyślałem, wsiadając do samochodu. Deszcz powoli zanikał, a w małych przesmykach chmur rozpedzanych przez wiatr, nieśmiało przedzierały się promienie słońca. Przez uchyloną szybę do kabiny dobiegały głosy krzyczących dzieci: - Padri Romani, Noheli Nziza! Teraz już nie tylko zakupy, ale i coraz częściej wypowiedane życzenia świąteczne - Noheli Nziza - przypominały

116

mi o rozpoczynających się już za kilka dni kolejnych obchodach pamiątki Narodzin naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Nagle, tuż przy wyjeździe z terenu bazaru, na skraju drogi, z uważyłem wychudzonego chłopca. Stał z założonymi na piersiach rękami, cały trzęsąc się z zimna. Zatrzymałem samochód i podszedłem do niego. Ubrany był w krótkie spodnie i ociekającą wodą brudną podartą koszulkę. Raz po raz jego ciałem wstąpiły dreszcze. Z jego oczu bił przejmujący smutek, zdający być jedynym wielkim wołaniem o pomoc. Coś ścisnęło mnie gardło. ] Błyskawicznym ruchem zdjąłem ciepłą trykotową bluzę prosząc; chłopca, by zdjął z siebie mokre resztki cuchnącej, \ rwanej koszulki. Zaskoczonemu chłopcu wręczyłem moją bluzę pokazując mu, by ją na siebie włożył. Obracając się na pięć podbiegłem do samochodu, by wyjąć z niego kilka świeżo kupionych bananów, po czym wróciłem do ubranego już w rękawice chłopca, ale suchą i ciepłą bluzę chłopca i wręczyłem mu. Przez moment na jego wychudzonej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. W sercu odczułem ogromną ulgę.

Powróciłem do samochodu, ruszając w drogę powrotną do domu. „Wiara bez uczynków jest martwa” - pomyślałem, przywołując do pamięci słowa Zbawiciela: ...Cokolwiek uczyniliście jaemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili... Odczułem 'raźny' wpływ chłodnego i wilgotnego powietrza, które w szczelinie zamkniętych szyb wypełniło kabinę samochodu. Pięć kilometrów drogi myślałem o jakże radosnych dla milionów ludzi świątach Bożego Narodzenia, którzy gdzieś tam w Europie prześlę li się w zakupach coraz to bardziej wymyślnych prezentów najbliższych, i o tutejszej biedzie, i o ludziach, którzy przymi jąc z głodu, z konieczności będą nie tylko pościli, ale i w obawie przed utratą życia spędzi kolejną noc ukrywając gdzieś? na plantacji w pobliżu domostwa.

Po trudach adwentowej pracy duszpasterskiej, przez Ł przygotowaliśmy tysiące rwandyjskich serc na prawdziwe

świętyni Zbawiciela, nadszedł upragniony wieczór wigilijny. Przeżyliśmy go wspólnie z naszymi sąsiadkami - siostrami wincentkami. Przełamując się opłatkiem, najczęściej

życzyliśmy sobie pokoju, którego brak tak głęboko i boleśnie odczuwał ten umęczony kraj, Kościół i miliony Rwandyjczyków. Ksiądz Tadeusz Bazan, proboszcz i rektor zarazem, błogosławiąc stół wigilijny i przygotowane potrawy, modlił się, aby w tę Świętą Noc Bóg wypełnił całkowicie nasze serca pokojem i miłością, abyśmy byli szczególnymi apostołami i posłańcami miłości i pokoju, niosąc je cierpiącemu ludowi Rwandy.

Wsluchując się w jego słowa, myślami wybiegłem do dziesiątków tysięcy Rwandyjczyków zamkniętych w więzieniach. Do kilkuset tysięcy sierot, ograbionych z miłości, ciepła rodzinnego i pozbawionych jakiegokolwiek nadziei. W tę Świętą Noc Narodzin naszego Zbawiciela wiele z nich umrze z głodu, z choroby; umrze w ciszy i samotności, gdzieś w zniszczonych i opuszczonych domach, zakamarkach miejskich bazarowych zabudowań czy na łóżkach szpitalnych. Myślami obejmowałem tysiące ludzi, którzy w ostatnim czasie powrócili do Rwandy po utracie całego dobytku i muszą walczyć o przetrwanie. Być może dla wielu z nich będzie to kolejna noc przespana pod gołym niebem lub w ubogim szałasie pokrytym kawałkiem plastikowej folii.

„Ileż jest jeszcze do zrobienia w tym kraju” - pomyślałem, ściskając w dłoni kawałek białego opłatka. „Boże, przymnóż nam wiary i siły, abyśmy przy Twojej pomocy podoleli burzeniu murów nienawiści i budowaniu królestwa miłości i pokoju w sercach wszystkich Rwandyjczyków” - westchnąłem.

Po zakończonej wieczerzy, która upłynęła w prawdziwie rodzinnej atmosferze, jeszcze długi czas pozostaliśmy ze sobą, śpiewając kolędy i pastorałki.

W Boże Narodzenie rozjechaliśmy się do kilku central, aby tam, w świątyniach wypełnionych po brzegi w czasie sprawowa-

118

nia uroczystych Eucharystii, oznajmić zebranim wiernym i całemu światu radosną nowinę, że narodził się nam Zbawiciel. Ksiądz Tadeusz pozostał w Kinoni, odprawiając Mszę świętą w naszym kościele parafialnym.

Kiedy sprawowałem pierwszą Eucharystię w Gitare, a następnie drugą w Butete, nie mogłem się nadziwić ogromnej radości manifestowanej przez uczestniczących w liturgii wiernych. Patrząc na nich odnosiłem wrażenie, jak gdybym miał przed sobą najszczęśliwszych ludzi pod słońcem. Po Komunii świętej, kiedy ich serca zamieniły się w ubogi żłóbek, gdzie narodził się prawdziwie żywy Bóg - Jezus Chrystus, którego przyjęli pod postacią kawałka białego chleba, radość sięgnęła zenitu. Śpiewom połączonym z pięknymi tradycyjnymi tańcami nie było końca. Mimo że za chwilę, po wyjściu z kościoła, będą musieli powrócić do jakże smutnej i trudnej rzeczywistości, to jednak radość z narodzin Chrystusa w ich sercach zdawała się przysłaniać wszystkie problemy i bolączki życia codziennego.

Po powrocie do parafii w Kinoni, wspólnie cieszyliśmy się owocami naszej pracy adwentowej, które dzisiaj, w święto Bożego Narodzenia, mogliśmy obficie zbierać, udzielając tysiące Komunii świętych i uczestnicząc w radości wiernych, wypływającej ze spotkania z nowo narodzonym Zbawicielem. W czasie wieczornej adoracji Najświętszego Sakramentu dziękowaliśmy Dzieciątku Jezus za to, że zamieszkał w tysiącach serc naszych parafian, prostych i ubogich jak żłóbek betlejemski.

Nowy Rok 1997 przywitałem w Nyakinama u sióstr od Aniołów, leżąc w łóżku z czterdziestostopniową temperaturą. Zaraz po świętach poczułem się bardzo źle. Ostry ból głowy i wysoka temperatura zwały mnie z nóg. Wszystko wskazywało na to, że to znowu malaria. Badanie wymazu krwi w ośrodku zdrowia potwierdziło obecność zarodźca (Plasmodium) powodującego chorobę. Ksiądz Tadeusz w trosce o moje zdrowie zaproponował mi

119

kilkudniowe leczenie w Nyakinama, twierdząc, że tam znajdę bardzo dobrą opiekę ze strony sióstr, co pozwoli mi na szybki powrót do zdrowia. Oczywiście, pełen wdzięczności za

ojcowską troskę, wyraziłem zgodę na wyjazd do ich wspólnoty, o której tak wiele już wcześniej słyszałem, i to nie tylko z ust pallotynów.

Siostry od Aniołów pięknie pracują na rzecz Kościoła lokalnego diecezji Ruhengeri. W dużym ośrodku zdrowia i ośrodku dożywiania w Nyakinama, który prowadzą, służą z ogromnym poświęceniem nie tylko chorym, ale i biednym. Często przyjmują u siebie lekarzy z międzynarodowej organizacji Lekarze bez Granic, zapewniając im mieszkanie i wyżywienie. Są to najczęściej lekarze niemieccy, którzy podejmują się niesienia pomocy lekarzom rwandyjskim, pracującym w jedynym w tym regionie szpitalu w Ruhengeri. Pomagają również siostram w ich miejscowym ośrodku zdrowia. Siostry prowadzą także pracownię szycia i haftu. Jest to jedna z form niesienia pomocy miejscowym dziewczynom, które mogą się tu nauczyć konkretnego zawodu i zdobyć nieco środków do życia.

Nasza wspólnota w Kinoni współpracowała ze wspólnotą sióstr w Nyakinama również na płaszczyźnie duszpasterskiej. Otóż siostry sprawowały pieczę nad kościołem w Kampanga. Obok kościoła stał dom, w którym siostry zamieszkiwały do czasu wybuchu wojny w 1993 roku. Zarówno dom, jak i kościół usytuowane były w przepięknym miejscu: wysoko w górach nieopodal wspaniałych wulkanów i miejsc, gdzie żyły ogromne goryle wysokogórskie.

Anioły - tak potocznie określaliśmy siostry z Nyakinama - zajmowały się całą administracją, prowadzeniem kartotek parafialnych oraz organizacją i planowaniem pracy duszpasterskiej. Natomiast my, we współpracy z księżmi marianami, karmelitami i niektórymi księżmi z biskupstwa w Ruhengeri, staraliśmy się służyć tamtejszym wiernym naszą posługą sakramentalną, dostosowując się ściśle do harmonogramu przygotowanego przez siostry.

120

Dzięki wspaniałej i troskliwej opiece sióstr, którą zostałem otoczony, szybko wracałem do zdrowia. Po pięciu dniach pobytu w ich wspólnocie opuszczałem Nyakinama zdrowy i w pełni sił. Badanie kontrolne krwi, które zrobiłem przed powrotem do Kinoni wykazały, że po malarii nie pozostało najmniejszego śladu. Przepelniony wdzięcznością za troskliwą i fachową opiekę, której doświadczyłem w tej wspólnocie, nie wiedziałem jak mam podziękować za otrzymaną dobroć. Kiedy wszedłem do kaplicy domowej i prosiłem Pana dla wszystkich pracujących tutaj sióstr o siłę, moc i odwagę w niesieniu pomocy cierpiącemu Chrystusowi obecnemu w każdym biednym i chorym, szukającym pomocy w ich ośrodku zdrowia, Pan przygotował mi wspaniałą niespodziankę.

Jeszcze leżąc w łóżku, opowiadałem siostram o najbiedniejszych dzieciach, które spotykałem każdego dnia w naszej parafii w Kinoni. Miałem świadomość, że jednorazowa pomoc, udzielona w postaci czegoś do zjedzenia czy ubrania, nie zmieni ich ciężkiej sytuacji, w jakiej się znajdowały, ale wierzyłem, że najdrobniejszy gest miłości im okazany, który chociaż na jedną maleńką chwilę dawał im poczucie szczęścia, przywracając uśmiech na buzi, wart był podjęcia trudu.

Gdy wyszedłem z kaplicy, jedna z sióstr poprosiła mnie na chwilę rozmowy. Wręczając mi pewną sumę pieniędzy, oznajmiła, że mam je spożytkować na pomoc biednym dzieciom. Taka była wola ofiarodawcy, którym był jeden z lekarzy powracający do Europy po kilkumiesięcznym pobycie w Rwandzie. Pozostawiając mi całkowitą swobodę wyboru formy pomocy, poprosiła mnie o całkowitą dyskrecję odnośnie ofiarodawcy. Poczułem się zażenowany. Na myśl o radości dzieci, którym będę mógł pomóc dzięki pieniądзом, które właśnie otrzymałem, moje oczy zrobiły się wilgotne. Przyrzekłem siostrze całkowitą dyskrecję i obiecałem modlitwę w intencji ofiarodawcy i całej tutejszej wspólnoty sióstr.

121

W doskonałym nastroju fizycznym i psychicznym wsiałem do samochodu, za kierownicą którego siedział już ksiądz Tadeusz.

- No i co, Romek, dobrze ci tutaj było? - zapytał, śmiejąc się od ucha do ucha.

-Nie dobrze, tylko bardzo dobrze! - odpowiedziałem, odwzajemniając się uśmiechem.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do Kinoni. Na najbliższy tydzień zaplanowaliśmy trzy wyjazdy do dużych szkół, których uczniowie nie skorzystali jeszcze ze spowiedzi przedświątecznej z powodu nawału pracy, jaki mieliśmy w okresie Adwentu. Korzystając z luźniejszego harmonogramu pracy, postanowiłem zająć się zorganizowaniem pomocy dla najbiedniejszych dzieci mieszkających w okolicy, by dobrze spożytkować pieniądze na ten cel przeznaczone.

W sportowym ubraniu i adidasach wyszedłem na duży plac oddzielający nasz dom od świątyni parafialnej. Było to miejsce, gdzie każdego dnia zbierała się spora grupa zaniedbanych, w podartych ubraniach dzieci. Skierowałem się w stronę kilkusobowej grupki, wyjątkowo cicho się zachowującej. Normalnie dzieciaki zachowywały się bardzo głośno, czasami do tego stopnia, że trudno było zrobić poobiednią sjęstę.

- Padri Romani! - krzyknął któryś chłopiec i nagle cała gromada poderwała się jak ptaki do lotu, biegnąc w moją stronę. „Będę musiał rozpocząć od nich” - pomyślałem, ściskając na powitanie ich brudne i wychudzone dłonie.

- Padri, urashaka gukina? (ojcze, chcesz zagrać?) - zapytał jeden z chłopców, ciągnąc mnie za rękaw w stronę małej polanki. Po chwili zobaczyłem kilkanaście starych kapsli od butelek i niewielki dołek, do którego usiłowali je wpstrykiwać palcami. Była to bardzo popularna zabawa wśród tutejszych dzieci. Zrozumiałem teraz, dlaczego tak cicho się zachowywali. Skinąłem dłonią na jednego ze starszych chłopców. Kiedy podszedł do mnie, oznajmiłem mu, że chciałbym pomóc niektórym

122

rym najbiedniejszym rodzinom, szczególnie takim, które posiadają bardzo dużo dzieci. Zapytałem, czy zna takie rodziny i czy moglibyśmy wspólnie je odwiedzić.

- Jego, padri. Ndabizi abakene benshi (tak, ojcze. Znam wiele takich biednych ludzi) - odpowiedział chłopiec.

- Tuzareba ejobundi ku agatatu (zobaczymy się pojutrze w środę). Sa sita (w południe) - dodałem. - Aaa... możesz przyprowadzić ze dwóch mocniejszych kolegów, gdyż będziemy potrzebowali pomocy.

- Yego, padri Romani (dobrze, ojcze Romanie) - odpowiedział zadowolony chłopiec.

Tego samego dnia wieczorem, po rozmowie z naszym stróżem, który udzielił mi porady czego najbardziej brakuje w biednych rodzinach, sporządziłem sporą listę rzeczy najbardziej przydatnych i potrzebnych dzieciom w każdym domu. Zakupy zaplanowałem na jutrzejsze popołudnie, po powrocie ze spowiedzi szkolniaków.

Po porannej Mszy świętej, którą odprawiłem w kościele parafialnym, i po lekkim śniadaniu, całą wspólnotą wyjechaliśmy do Nkumba. W tamtejszej szkole podstawowej mieliśmy zaplanowaną spowiedź i Eucharystię dla uczniów i wychowawców. Ksiądz Henryk Cabała, który był odpowiedzialny z ramienia naszej parafii za duszpasterstwo w szkolnictwie, wygłosił konferencję, po której rozpoczęliśmy spowiadać uczniów, którzy byli ochrzczeni i przystąpili już do pierwszej Komunii świętej. Spowiedź zakończyła się wspólną Mszą, której przewodniczył ksiądz Henryk. Do Kinoni powróciliśmy w samo południe.

Po obiedzie podszedł do mnie kucharz i oznajmił, że skończyły się jajka i owoce.

Przygotowałem kilka specjalnych pojemników przystosowanych do przewożenia jajek i skrzynkę na owoce. Korzystając z okazji zabrałem ze sobą listę rzeczy, które chciałem zakupić dla biednych dzieci, pieniądze na ten cel przeznaczone i mój niewielki, ale pojemny plecak.

123

Po niespełna godzinnym pobycie na bazarze wracałem już do domu bardzo zadowolony z zakupów, które zrobiłem. W dwóch dużych reklamówkach i pękającym w szwach plecaku znalazło się: dwadzieścia pięć pachnących mydełek i taka sama liczba kostek szarego mydła, używanego do prania. Następnie, dziesięć par plastikowych kłapek w różnych dziecięcych

rozmiarach, dwadzieścia opakowań herbatników, dwadzieścia dziesięciode-kowych woreczków cukru, tyle samo półkilogramowych woreczków mąki z sorgo oraz jedno kilogramowe opakowanie cukierków. Składając te wszystkie rzeczy w moim pokoju, myślałem już o jutrzejszym dniu i o dzieciach, które je otrzymają.

O godzinie szóstej rano, w rytm uderzeń dzwonu na wieży naszego kościoła, wyśpiewałem radośnie modlitwę Anioł Pański, dziękując Bogu za kolejny dzień życia, który rozpoczynałem. Podszedłem do okna, rozsuwając jego zasłony. Spojrzałem na wulkan Muhabura, który swoim cielskiem zdawał się przez okno wciskać do mojego pokoju. Każdego ranka wydawał mi się piękniejszy i potężniejszy. Dzisiaj, gdy patrzyłem na jego zbocza, które w promieniach porannego słońca połyskiwały jak łuski ryby, kojarzył mi się z jakimś ogromnym sakiem morskim.

„Panie, u progu tego nowego dnia oddaję Ci siebie samego, moje myśli, pragnienia i uczynki. Niech moje kapłańskie dłonie staną się przedłużeniem Twoich dłoni, aby zawsze czyniły dobro. Niech każde uderzenie mojego serca będzie hymnem uwielbienia dla Ciebie - Boże nieskończenie dobry”. Czyniąc bardzo powoli znak krzyża świętego, wyszeptalem: „Panie, rozpoczynam ten dzień, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen”.

Po porannej toalecie jeszcze raz przejrzałem teksty mszalne i dzisiejszą ewangelię w języku kinya-rwanda, po czym za kwadrans siódma udałem się do kościoła, aby sprawować Eucharystię, w której brała udział cała wspólnota sióstr wincentek i grupka wiernych. Czas ten był prawdziwą Ucztą Miłości, gdzie dzieląc się Niebiańskim Chlebem - prawdziwym Ciałem Chrystusa -

124

przyjmowanym w czasie Komunii świętej, czerpaliśmy moc, krzepiąc nasze siły duchowe. Zbliżało się południe. Na placu przykościelnym słychać było krzyki bawiących się dzieci. Po przepakowaniu zakupionych rzeczy plecak i dwie torby reklamowe gotowe były do zabrania. Zaraz po modlitwach i wspólnotowym obiedzie, rezygnując ze sjesty, zabrałem przygotowane dary i wyszedłem do oczekujących z niecierpliwością dzieci. Cała gromada z impetem ruszyła w moją stronę krzycząc: - Muraho, padri Romani! Szybko odłożyłem torby i przykładając palec do ust psyknąłem: - Psssst... Abapadri bagiye kuryama (księża poszli na sjestę) - oznajmiłem stanowczo, dodając, że nie-można im przeszkadzać. Natychmiast zrobiło się cicho. Podszedł do mnie chłopiec, z którym rozmawiałem przed dwoma dniami.

- Padri, turashaka gufasha (ojcze, chcemy ci pomóc) - powiedział, wskazując na plastikowe torby.

- Nibyo, wowe uyu. Dobrze, ty i on możecie wziąć po jednej torbie.

Chłopcy natychmiast pochwycili stojące obok mnie reklamówki. Poprawiając plecak, powiedziałem: - Tugende (idziemy). Obrałem kierunek na pobliskie boisko, aby tam rozdać część rzeczy wszystkim obecnym dzieciom. Kiedy znaleźliśmy się na boisku, które było zarazem pastwiskiem, poprosiłem całą gromadkę dzieci, aby usiadły na trawie. Zdjąłem mój plecak i położyłem go obok dwóch pozostałych reklamówek.

Wszystkie dzieci były ubrudzone i w porwanych ubraniach; wpatrywały się rozszerzonymi źrenicami w leżące przede mną wypełnione po brzegi torby plastikowe i plecak. Szybko policzyłem dzieci. Była ich dziewiątka plus dwóch pomagających mi starszych chłopców. Otworzyłem plecak oraz reklamówki i szybko przygotowałem dziewięć zestawów dla każdego dzieciaka. Porozkładałem je na trawie. Nadszedł najbardziej dla nich oczekiwany moment. Jeszcze raz poprosiłem, aby wszyscy pozostali na miejscu. W chwilę potem podchodziłem po kolei do każdego

125

dziecka, wręczając dwa mydła, półkilogramową torbę mąki z sorgo, woreczek cukru, jedno opakowanie herbatników i kilka cukierków. Jedna z dziewczynek, z popękkanymi do krwi piętami, otrzymała plastikowe klapki.

Wszystkie dzieci, klaskając w dłonie i śpiewając z radości, powtarzały: - Murakoze, murakoze padri wacu! (dziękujemy, nasz ojcie!). Wówczas pomyślałem o owym lekarzu, który przekazał pieniądze na tę ucztę radości. Szkoda, że nie widzi teraz szczęścia tych prostych, biednych dzieci. A przecież to dopiero początek. By nie przedłużyć, zaproponowałem rozpromienionym dzieciom wspólną modlitwę za ich dobroczyńców: siostry od Aniołów i lekarza, intonując: - Dawe mu ijuru...(Ojcie nasz...).

Po zakończeniu modlitwy prosiłem dzieci, aby wszystkie teraz powróciły do swoich domów i spróbowały dobrze się umyć pachnącym mydłem, a drugim - szarym, które też otrzymały, by wyprały swoje ubrania. Z uśmiechem na buzi odpowiedziały jednym głosem: - Jego, padri Romani! (tak, ojcie Romanie!)

Zakładając plecak, wraz z dwoma pomocnikami ruszyliśmy w dalszą drogę. Chłopcy mieli mnie zaprowadzić do najbiedniejszych rodzin w okolicy. Przepuściłem ich przed siebie, aby wskazywali drogę. Z oddali dobiegał radosny śpiew powracających z boiska uszczęśliwionych dzieci. My tymczasem weszliśmy na wąską ścieżkę pnącą się w górę. Około trzystu metrów przed nami zauważyłem kilka okrągłych domków pokrytych suszoną trawą. Oddzielone były od siebie niewielkimi plantacjami bananowymi, które szczelnie je otulały. Wspinając się w ich kierunku, odczułem ciężar niesionego plecaka, wypełnionego mydłem, mąką i cukrem. W pewnym momencie, potykając się o kamień, odniosłem wrażenie, jak gdybym dźwigał na plecach kawał drewna. Na myśl przyszedł mi Zbawiciel podążający drogą krzyżową na szczyt Golgoty. Ocierając strużki potu coraz obficie spływające po twarzy, starałem się dotrzymać kroku moim przewodnikom, którzy narzucili ostre tempo marszu.

126

Zbliżaliśmy się do pierwszych zabudowań. Musieliśmy zostać już zauważeni przez mieszkańców, gdyż na ścieżkę wybiegały pierwsze, na wpółnagie dzieci, krzycząc na przemian: - Muzun-gu, muzngu, padri muzungu!

- Bite abana! (cześć dzieciaki!) - zawołałem na powitanie. Zza ogrodzeń nieśmiało wychyliło się kilka kobiecych głów, przyglądając się nam z ciekawością. Jeden z chłopców niosących plastikową torbę, zwrócił się do mnie mówiąc:

- Padri, ni hano (ojcie, to tutaj) - i wskazał na okrągły dom z gliny. - Tutaj mieszka chora staruszka, wychowująca kilkoro dzieci. Rodzice dzieci prawdopodobnie zginęli w Zairze. Dzieci, żeby przeżyć i nakarmić staruszkę, ciężko pracują na małym kawałku pola. Znając już tutejsze zwyczaje, że nie wolno obcemu wejść na teren domostwa bez wyraźnej zgody czy zaproszenia właściciela, wysłałem chłopców, by zapytali staruszkę, czy mogą teraz przekroczyć próg domostwa. W chwilę potem zniknęli za ogrodzeniem, a ja pozostałem na ścieżce w towarzystwie zaciekawionych i biegających wokół małych dzieci.

- Padri, injire! (ojcie, wejdź!) - zawołał jeden z chłopców, dając znak dłonią zza ogrodzenia. Uchwyciłem w dłonie dwie reklamówki i powoli wszedłem na teren obejścia domu. Niewielki plac okalający gliniankę pokrytą suszoną trawą ogrodzony był płotem z ciętego bambusa przetykanego amahlą. (Był to rodzaj ciernistego krzewu z dużymi kolcami). Taki rodzaj ogrodzenia miał zabezpieczać zarówno mieszkańców, jak i domowe zwierzęta przed zakusami drapieżników czy złodziei.

Po podwórku biegało kilka kur. Były tak chude, że swym wyglądem przypominały raczej gołębie. W powietrzu unosił się nieprzyjemny ostry zapach ludzkich odchodów. W jednym rogu podwórka, które prawdopodobnie pełniło funkcję kuchni, znajdowało się palenisko zbudowane z kilku kamieni. Wokół poro-

127

rzucane były jakieś niedomyte naczynia, na których żerowało mnóstwo much. Zbliżyłem się do starej kobiety, siedzącej na porwanej macie tuż przy wejściu do okrągłaka.

- Muraho mama (dzień dobry, mamó) - pozdrowiłem staruszkę, podając jej dłoń.  
- Muraho, muraho padri - odpowiedziała słabym i nieco zachrypniętym głosem.  
Teraz dopiero zauważyłem, że staruszka miała jedną nogę potwornie spuchniętą. Noga wyglądała jak klocek ze ściętego pnia drzewa. Nabrzmięte palce stopy sterczały boleśnie, wskazując wszystkie kierunki świata. Między nimi zagnieździło się mnóstwo niewielkich muszek, które staruszka przepędzała od czasu do czasu ruszając trzymaną w dłoni gałązką. Na skutek trudnego do zniesienia zapachu i wyglądu chorej nogi, poczułem jakby żołądek podnosił mi się do góry. Nie przypuszczałem, że można tak żyć.  
- Mukecuru, nazanye icyo kurya (staruszeko, przyniosłem trochę jedzenia dla ciebie i wnuków)  
- powiedziałem, sięgając do plecaka.  
W tym samym momencie na podwórku pojawiła się trójka starszych dzieci z motykami w ręku: dwaj chłopcy i jedna dziewczynka, która wyglądała na najstarszą. Byli ogromnie zmęczeni i prawdopodobnie głodni.  
- Muraho padri.  
- Muraho neza - odpowiedziałem serdecznie, witając dzieci.  
Zauważyłem, że byli bardzo zaskoczeni naszą wizytą. By zbytnio ich nie stresować, chciałem szybko zostawić ich samych. Wyjąłem z plecaka po dwa mydła dla każdego, kilka woreczków mąki i cukru, ciastka i cukierki. Spojrzałem na ich pobrudzone ziemią aż do łokci nogi i wyszukałem w jednej z reklamówek trzy pary plastikowego obuwia.  
- Nda cyeka ko nta kibazo, ariko imbeve ningombwa meshesha amози amaguru (powinny być dobre, ale przymierzycie dopiero po umyciu nóg. Zgoda?).  
128

Przed przejażdżką na rowerze z drewna

Jeden z wielu rwandyjskich sierocińców (Gikondo)  
Radość dzieci jedzących fasolę

Dzieci grające w „dołek”

Państwo Mohr z wizytą w Masaka

Uroczystość ślubów wieczystych siostr pallotynek (kościół w Masaka)  
Składanie darów podczas Mszy św.

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Rwandy na uroczystości ślubów wieczystych w Masaka

... j .., wrr  
Spotkanie z sierotami na drodze do Kinoni

Mali piłkarze z Gikondo

Dzieci z Adopcji Serca otrzymują mundurki szkolne w Murehe (parafia Masaka)

Dzieci z Adopcji Serca po otrzymaniu mundurków

Szkoła i uczniowie na tle wulkanu Muhabura (parafia Kinoni)



## Uczniowie na tle wulkanu Muhabura

### Procesja Bożego Ciała w Masaka

- Jego padri - odpowiedzieli z nieukrywaną radością. "•"

- Dbajcie o swoją babcię, bo ona bardzo potrzebuje waszej pomocy.

Jeszcze raz podszedłem do staruszki, aby się z nią pożegnać.

- Murabehe mama (do widzenia, mamó) - powiedziałem i obejmując ją zgodnie z rwandyjskim zwyczajem, wsunąłem jej w dłoń pięćsetfrankowy banknot.

Wzruszona ogromnie kobiecina spojrzała na mnie wzrokiem pełnym miłości i dobroci.

Ściskając długo moją dłoń, jak gdyby chciała mnie jeszcze zatrzymać, wyszeptała:

- Murakoze cyane, padri mwiza (dziękuję bardzo, dobry ojciec).

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale głos się jej załamał. Wyszliśmy poza ogrodzenie domu staruszki. Tutaj czekała na nas cała gromada dzieciaków. Te najmniejsze, prawie na golasa, trzymając się kurczowo starszych, patrzyły na mnie szeroko otwartymi oczami. Kilkoro z nich miało wzdęte brzuchy, co świadczyło o zaawansowanej robaczycy.

- Abana, nimuze hano (dzieci, zbliżcie się tutaj) - powiedziałem, sięgając do reklamówki.

Kiedy nieśmiało podeszły do mnie, wręczyłem im po kilka cukierków. Podskakując radośnie, natychmiast rozbiegły się do swoich domostw, wrzeszcząc: - Turafite bombo! (mamy cukierki!).

- Tugende (idziemy) - powiedziałem, ruszając w dalszą drogę.

Nadal szliśmy wąską ścieżką, wspinając się w górę. Po przecięciu asfaltowej drogi prowadzącej z Ugandy do Ruhengeri znaleźliśmy się u stóp wulkanu Muhabura. Drogą cały czas pnącą się w górę dotarliśmy do kolejnych zabudowań.

- Padri, ni hano (ojciec, jesteście na miejscu) - zakomunikował jeden z chłopców.

„To dobrze” - pomyślałem, ocierając pot z twarzy. Odwiedziliśmy kolejnych kilka, jakże biednych rodzin wielodzietnych,

129

dzieląc między nich skromne dary. Wszędzie żegnano nas z ogromną wdzięcznością za okazany im pomoc. Była to kropla w morzu ich potrzeb, ale oni umieli się cieszyć każdym okazanym im najdrobniejszym nawet gestem dobroci, który stawał się nowym promykiem nadziei.

Gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu, dochodziła godzina szesnasta. Miałem do pokonania około pięciu kilometrów, ale z pustym plecakiem i drogą cały czas opadającą w dół schodziło się bardzo szybko. Podziwiałem wspaniałą panoramę całej okolicy z sercem przepełnionym wdzięcznością Bogu, że pozwolił mi jeszcze bardziej zbliżyć się do nędzy większości tutejszych mieszkańców. Sięgnąłem do kieszeni, wyjmując z niej różaniec. Zacząłem się modlić, ofiarując go w intencji wszystkich tych, którzy cierpią z powodu biedy w zapomnieniu i pogardzie.

Początek roku 1997 z wielu powodów nie dawał zbyt wielkich nadziei, że będzie to rok lepszy i spokojniejszy od poprzednich. Ogromne wysiłki na rzecz pokoju i pojednania, które podejmował Kościół rwandyjski, powoli zaczęły owocować, widać było pierwsze pozytywne skutki. Jednak nawet najwięksi optymiści zdawali sobie sprawę, że będzie to proces bardzo skomplikowany i długotrwały.

Ogromna przepaść, jaka powstała między Tutsi i Hutu po masakrach w 1994 roku, nadal wypełniona była brakiem zaufania, wrogością i wielu przypadkach wzajemną nienawiścią. Doświadczaliśmy tego w sposób szczególny tutaj, na północy Rwandy, na terenie, który był nazywany czerwonym regionem o najwyższym stopniu zagrożenia. Systematycznie napływały do naszej parafii w Kinoni informacje od naszych wiernych z różnych central misyjnych o kolejnych ofiarach aktu przemocy i nienawiści. Wielu naszych chrześcijan

bardzo cierpiało z tego powodu. Najczęściej do bandyckich napadów na niewinną ludność dochodziło po zapadnięciu zmierzchu. Dlatego były miejscowości, gdzie część

130

mieszkańców spędzała noce poza domem, śpiąc gdzieś nieopodal domostw, na polach uprawnych czy plantacjach bananowych.

Wielu Rwandyjczyków nie czuło się bezpiecznie nawet w ciągu dnia. Dotyczyło to szczególnie tych, którzy musieli podróżować, korzystając z bus-taxi. Co pewien czas dochodziło do napadów na przewożonych pasażerów, połączonych z grabieżą i mordowaniem przedstawicieli jednej z grup etnicznych. O takich przypadkach często można było usłyszeć w codziennych serwisach radia rwandyjskiego.

Pewnego razu, gdy trwalismy na czwartkowej adoracji Najświętszego Sakramentu w naszej domowej kaplicy w Kinoni, nieopodal naszego domu zamordowano jednego z tutejszych mieszkańców. Było to zaraz po zapadnięciu zmierzchu, około godziny dziewiętnastej. Wszyscy usłyszeliśmy serię wystrzału karabinowego. Echo wystrzału rozdarło wieczorną ciszę, roznosząc się daleko po okolicy. Następnego dnia o godzinie jedenastej odprawiałem w domu zamordowanego nabożeństwo żałobne, po którym został zgodnie z miejscowym zwyczajem pogrzebany między bananami, tuż obok domu. Był to dobry katolik i bliski współpracownik rady parafialnej. Miał około czterdziestu lat, gdy jego życie zostało nagle przerwane zbrodniczym aktem dokonany przez nieznaną grupę ludzi. Osierocił kilkoro dzieci, pozostawiając je żonie - wdowie, której dzięki udanej ucieczce udało się cudem ocalić życie. Trudna sytuacja zewnętrzna mobilizowała nas jeszcze bardziej do tego, aby przez podejmowane przez nas prace duszpasterskie być bliżej wiernych i dając świadectwo chrześcijańskiej miłości i solidarności w trudnych momentach doświadczeń i cierpienia, udzielać im naszego wsparcia moralnego i duchowego. Sama obecność misjonarzy i misjonek wbrew pozorom miała ogromne znaczenie dla miejscowej ludności, która czuła się z nami pewniej i bezpieczniej. Na trwanie z ludem, i pewnego rodzaju apostołstwo obecności, kładł bardzo duży nacisk przełożony naszej regii - ksiądz Stanisław Filipek.

131

Poza codziennymi obowiązkami duszpasterskimi wyznaczonymi przez księdza proboszcza Tadeusza Bazana (które wypełnialiśmy we współpracy z księdzem Stanisławem i księdzem Henrykiem, realizując wspólnie przygotowany harmonogram pracy, obejmujący parafię Kinoni i Busogo), moim zadaniem było apostołstwo wśród najbiedniejszych dzieci. Miałem wewnętrzne odczucie, że to dodatkowa zajęcie jest jak maleńki ogródek, którego powinienem doglądać i uprawiać w sposób szczególny. Cierpiące dzieci, czy to z powodu biedy, choroby, czy z powodu utraty rodziców w wyniku konfliktu plemiennego pomiędzy Tutsi i Hutu, musiały ponosić tragiczne konsekwencje. Za każdym razem, kiedy spotykałem się z nimi, odnosiłem to samo wrażenie, że najbardziej potrzebują odrobinę poświęconego im czasu, by mogły chociaż na chwilę zapomnieć, że są sierotami. Była to dla mnie jedna z form apostołstwa obecności - bycia z nimi.

Dobiegał końca pierwszy miesiąc 1997 roku. Kilka dni temu wydałem już całą sumę, jaką otrzymałem na pomoc dla dzieci z Kinoni. Ostatnie pieniądze przeznaczyłem na zakup prostych naczyń kuchennych i plastikowych misek do mycia oraz dwóch młodych kóz, przeznaczonych dla rodzin, które wcześniej odwiedziłem.

Kiedy wracając z Gisenyi, zajechaliśmy do Nyakinama, chciałem, korzystając z okazji, podziękować siostrze, która ofiarowała pieniądze na pomoc dla dzieci. Byłem w doskonałej kondycji fizycznej, więc nie zważając na pośpiech współbraci, którzy mieli jeszcze przed sobą około dwie godziny jazdy, by dotrzeć do Ki-gali, pozostałem nieco dłużej, opowiadając o radości wszystkich tych, którzy otrzymali pomoc. Nie przypuszczałem wówczas, że za kilka dni spotkamy się ponownie w jakże innych okolicznościach...

Była sobota, 1 lutego 1997 roku. Ksiądz Tadeusz poprosił, bym pojechał do Ruhengeri, do siedziby biskupa, aby nabyć ho-

132  
stie, komunikanty i wino mszalne. Całe przedpołudnie poświęciłem na dokończenie i sprawdzenie mojej niedzielnej homilii. Po południu wybrałem się do Ruhengeri, aby załatwić sprawy, o które prosił mnie proboszcz. Po dotarciu na miejsce, poszedłem odwiedzić i pozdrowić naszego współbrata księdza Zbigniewa Pawłowskiego, pełniącego tutaj funkcję administratora i wikariusza generalnego diecezji. Po braterskiej rozmowie przy filiżance kawy, udałem się do pokoju ojca Guy'ego Pinarda, który zajmował się dystrybucją komunikantów i wina mszalnego dla całej diecezji.

Ojciec Pinard był Kanadyjczykiem ze Zgromadzenia Misjonarzy Afryki, czyli Ojców Białych. Przybył do Rwandy przed trzydziestoma pięcioma laty, by głosić Dobrą Nowinę mieszkańcom tego niewielkiego, ale jakże pięknego kraju. Spotykaliśmy się dość często, czy to z okazji zakupów tutaj w Ruhengeri, czy na zebraniach diecezjalnych, organizowanych przez administratora apostołskiego, ojca Martineza, jak również przy okazji załatwiania spraw ekonomicznych naszej wspólnoty w Kinoni. Każde spotkanie z nim uwierdzało mnie w przekonaniu, że Rwanda była dla niego prawdziwą ojczyzną, a tutejszy Kościół lokalny, któremu służył już od trzydziestu pięciu lat, jest jego jedną wielką rodziną. Kiedy zastukałem do drzwi, natychmiast pojawił się w nich i z ujmującym uśmiechem przywitał mnie serdecznie:

- Dzień dobry, Roman, co dobrego słyszeć?

- Dzień dobry, padri - odpowiedziałem, ściskając jego wyciągniętą dłoń. - U mnie wszystko dobrze, a u ojca?

- Właśnie kończę przygotowywać homilię na jutrzejszą Mszę świętą w Kampanga.

- No, cóż to dla ojca! Znasz lepiej kinya-rwanda, niż niejeden Rwandyjczyk - zażartowałem.

- Język językiem, a słowo Boże należy zawsze dobrze przemyśleć i przygotować - odpowiedział, przybierając poważniejszą minę.

133

- To prawda. Padri, mam prośbę. Kończą nam się komunikan-ty i wino, a jutro cała nasza czwórka z Kinoni będzie odprawiała Eucharystię w kilku centralach. Czy nie sprawi to ojcu tru....

- Bez przesady - przerwał mi nagle, uśmiechając się przyjaźnie. - Możesz zejść do magazynu. Ja zabiorę klucz i zaraz schodzę - powiedział, znikając w drzwiach swojego pokoju.

W kilkanaście minut później, po sprawnym załadunku kilku kartonów z winem i hostiami, żegnałem się ojcem Pinardem, który odprowadził mnie aż do drzwi samochodu. Podając mi dłoń na pożegnanie, powiedział:

- Pozdrów wszystkich współbraci z Kinoni, no i dobrej niedzieli.

- Dziękuję - odpowiedziałem, wsiadając do auta.

Robiąc manewr zawracania, by wyjechać z podwórka, jeszcze raz spojrzałem na uśmiechniętą twarz, machającego ręką na pożegnanie ojca Pinarda.

W niedzielę, 2 lutego 1997 roku, w święto Ofiarowania Pańskiego, potocznie nazywanym przez wiernych świętem Matki Bożej Gromnicznej, wstałem wcześniej niż zwykle, gdyż czekała mnie daleka droga do Musasa, gdzie miałem odprawić dwie Msze święte. Był to najdalej położony kościół filialny należący do parafii Kinoni. Lubiłem bardzo odprawiać w tamtejszej skromnej świątyni, usytuowanej w malowniczym miejscu, na zboczu góry opadającej do jednego z jezior. Do kościoła prowadziła długa, i niebezpieczna szczególnie w porze deszczowej, droga. Znaczne jej odcinki przebiegały nad kilkusetmetrowymi groźnymi przepaściami ciągnącymi się nad wieloma jeziorami od Kinoni aż do Remera, gdzie znajdował się duży i znany w całej Rwandzie ośrodek rekolekcyjny. Jednak pokonując tę

trasę w pogodne dni, można było do utraty tchu podziwiać i zachwycać się pięknem tego regionu Rwandy.

Podwijając białą sutannę, wsiadałem do samochodu. Poranna mgła szybko się podnosiła. Zanościło się na kolejny słoneczny

134

dzień, z radością pomyślałem już o widokach, które będę mógł podziwiać, pokonując trasę do Musasa. Uczucie radości w sercu potęgowała myśl o spotkaniu z tamtejszymi wiernymi przy wspólnym stole eucharystycznym oraz pamięć o dzisiejszym święcie Ofiarowania Pańskiego. Zaraz po opuszczeniu bramy naszego podwórka chciałem rozpocząć śpiew Godzinek ku czci Najświętszej Maryi Pannie, ale sznur ludzi podążających na pierwszą Mszę nie pozwalał mi na to, gdyż trzeba było odpowiadać na pozdrowienia mijanych parafian.

Kiedy po kilkunastu minutach przekroczyłem barierę wojskową usytuowaną obok niewielkiej elektrowni wodnej, pozostawiając za sobą Kinoni, mogłem spokojnie rozpocząć śpiew Godzinek, których nauczyłem się na pamięć w czasie studiów w Wyższym Seminarium Duchownym w Ołtarzewie. W atmosferze modlitwy połączonej z podziwianiem roztaczających się w dole pejzaży, dotarłem do naszej centrali w Musasa. Zaraz po powitaniu z wiernymi kilka starszych osób poprosiło mnie o sakrament pokuty. Kosztem kilkuminutowego opóźnienia rozpoczęcia sprawowania Eucharystii, wypowiadałem grupkę ludzi, którzy mogli teraz w pełni uczestniczyć we Mszy św., przystępując do stołu Pańskiego. Tutejsi chrześcijanie, podobnie jak pozostali mieszkańcy północnej Rwandy, korzystali z każdej nadarzającej się okazji, by przystąpić do spowiedzi świętej. Było to podyktowane nie tylko ich głęboką wiarą, ale również niepewnością, co może wydarzyć się najbliższej nocy czy przez kolejne dni, które przynosiły tyle bolesnych niespodzianek, kiedy to w walkach między abaczen-gezi a regularnymi siłami zbrojnymi Rwandy ginęły setki niewinnych ludzi. W czasie udzielania rozgrzeszenia czułem ich radość z otrzymanej przepustki do domu Ojca, gdzie mieli przygotowane dla siebie miejsce. To były najpiękniejsze momenty kosztowania nieocenionego daru kapłaństwa, kiedy tak bardzo odczuwałem,

135

że żadne dary materialne nie zastąpią tej łaski rozgrzeszenia. Wiele razy w czasie spowiadania odnosiłem wrażenie, że dla wielu z nich śmierć byłaby wyzwoleniem z tyłu cierpienia i problemów, które nakładało na ich ramiona codzienne, jakże smutne i pełne cierpienia i niepewności życie.

Drugą Mszę świętą kończyłem kilka minut po godzinie dwunastej. Wspólnie z wiernymi odśpiewaliśmy Anioł Pański i po kilkuminutowym spotkaniu z przedstawicielami rady miejscowej wspólnoty ruszyłem w drogę powrotną do Kinoni. Gdzieś w połowie trasy zauważyłem wrak samochodu wojskowego, który zawisł kilkudziesiąt metrów poniżej drogi na olbrzymim drzewie. O tym wypadku, w którym zginęło kilkudziesięciu żołnierzy, było przed kilkoma miesiącami bardzo głośno, nawet mówiło się o zamachu na rządowe wojsko ze strony abaczengezi, którzy nie zgadzając się na przejęcie władzy przez armię Tutsi, dokonywali wszelkiego rodzaju sabotażu.

Wysiadając z samochodu, podziękowałem Bogu za szczęśliwy powrót do parafii i napełniony radością po dobrze spełnionej misji duszpasterskiej, skierowałem kroki do jadalni, gdzie siedzieli jeszcze moi współbracia, kończąc niedzielny obiad. - Pax Christi, smacznego! - zawołałem, przekraczając próg refektarza. Nad pospuszczanymi głowami księży unosiła się złowieszcza cisza.

- Romek, zamordowali księdza Pinarda... - wyszeptał drżącym głosem ksiądz Tadeusz. Poczujęm się jak rażony piorunem. Zwiotczałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Z ogromnym trudem zrobiłem krok do przodu, by usiąść na krześle. „To niemożliwe. Przecież rozmawiałem z nim wczoraj po południu”.

Ksiądz Tadeusz powoli podniósł głowę. Teraz dopiero zauważyłem ściągniętą bólem twarz i wypełnione smutkiem oczy. „A więc to musi być prawda” - pomyślałem w głębi duszy.  
- Jak to się stało? - zapytałem.

136

Odprawiał drugą Mszę świętą w Kampanga. Towarzyszyły mu jak zwykle siostry od Aniołów z Nyakinama. W czasie udzielania Komunii świętej rozległ się potężny huk wystrzału, po którym ojciec Pinard zwałił się na ziemię. Jego zabójca podszedł do niego wraz z innymi wiernymi, którzy przystępowali do Komunii i kiedy stanął przed nim twarzą w twarz, strzelił mu w klatkę piersiową. Obawiając się reakcji zebranych w świątyni wiernych, wystrzelił jeszcze kilkakrotnie w powietrze, doprowadzając do ogromnej paniki. Ludzie wybiegali z kościoła w ogromnym pośpiechu, krzycząc, depcząc i tratując innych. Obawiali się, że mogą być kolejnymi ofiarami. Siostry porwane i uniesione przez falę uciekających panicznie ludzi, zostały wypchnięte na zewnątrz świątyni. Wierni z krzykiem na ustach rozbiegali się we wszystkich kierunkach, znikając w pobliskich zaroślach i plantacjach.

Kiedy wokół zapadła kompletna cisza, siostry, ochłoniwszy nieco z pierwszego szoku, nie do końca będąc świadome, co się naprawdę przed momentem wydarzyło, powróciły do świątyni. Przejmująca cisza, walające się buty, które pospadały z nóg uciekających, i płonące na ołtarzu świece, tak jak gdyby ojciec Pinard miał za moment podnieść się i dokończyć sprawowanie Uczty eucharystycznej. Niestety, tego już nie mógł uczynić. Zginął na miejscu.

Leżał obok ołtarza ubrany w szaty liturgiczne, na których zastygała kałuża krwi pomieszana z Najświętszym Sakramentem. Z rozwartymi ramionami, niczym Chrystus na krzyżu, sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał po raz ostatni objąć i przytulić do serca wszystkich tych, którym służył tutaj w Rwandzie przez 35 lat pracy kapłańskiej i misyjnej.

„Panie, dlaczego?...” - stawiałem sobie pytanie, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. W wyobraźni powracała jego pełna dobroci i zawsze uśmiechnięta twarz. Przywołując w pamięci wczorajsze spotkanie z nim, trudno mi było uwierzyć, że to było nasze ostatnie spotkanie. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak kruche

137

jest ludzkie życie, i jak bardzo aktualne są słowa Chrystusa: ...czuwajcie, albowiem nie znacie dnia ani godziny...!

Uroczystości pogrzebowe miały się odbyć nazajutrz w Ru-hengeri, w miejscowej katedrze. Z niewielkim opóźnieniem, kilka minut po godzinie dziesiątej, rozpoczęła się Msza żałobna w intencji zamordowanego ojca Pinarda Guy'a. Katedra w Ru-hengeri z trudem pomieściła tłumy wiernych, wśród których znaleźli się również przedstawiciele miejscowych władz świeckich. Wokół ołtarza zgromadziło się kilkudziesięciu księży, na czele z miejscowym administratorem apostolskim ks. Martine-zem oraz nuncjuszem apostolskim, księdzem abp. Juliuszem Januszem.

- Ojciec Pinard - powiedział w czasie homilii pogrzebowej nuncjusz apostolski - ofiarował całe swoje kapłańskie życie, aby nieść Dobrą Nowinę swym rwandyjskim przyjaciom. Teraz potwierdził swoją miłość i wierność męczeństwem. Jego męczeństwo łączy go z tymi, którzy zostali zamordowani na rwandyjskiej ziemi. Jest kolejną ofiarą wojny, która dalej niszczy ten kraj. Dlaczego człowiek, który przybył z dalekiej Kanady, po 35 latach służby temu ludowi został zamordowany? Śmierć ojca Pinarda była dla nas wstrząsem, po którym rodzi się wiele pytań, na które jeszcze nie mamy odpowiedzi. Wierzmy jednak, że jego męczeństwo nie będzie daremne, ponieważ sprawiedliwi umierają i zmartwychwstają w Panu...

Po zakończonej Eucharystii trumna z ciałem zamordowanego ojca Guy'a, przeniesiona została, na barkach współbraci kapłanów, na mały cmentarz przykatedralny. Wpatrując się w drewnianą trumnę, skromną jak całe jego kapłańskie życie, zadawałem sobie pytanie, jak długo jeszcze przesiąknięta niewinną krwią pomordowanych ziemia rwandyjska będzie

przyjmowała w swoje objęcia kolejne ofiary nienawiści. „Boże przyjmij ofiarę jego życia” - westchnąłem, rzucając grudkę ziemi na jego trumnę, spoczywającą już w ziemi.

138

W kilka minut po naszym powrocie do Kinoni na podwórko zajechał samochód księdza regionala Stanisława Filipka. Po krótkiej rozmowie z księdzem Tadeuszem Bazanem ksiądz regional podszedł do mnie.

- Romek, jak się czujesz? - zapytał.

- Jestem wstrząśnięty tak niespodziewanym odejściem ojca Pinarda - odpowiedziałem, nie ukrywając moich uczuć. - To wielka strata dla naszej diecezji, bo był wspaniałym i doświadczonym kapłanem.

Ksiądz Filipek spojrział na mnie oczyma pełnymi dobroci i współczucia, po czym kładąc dłoń na moim ramieniu, powiedział:

- Romek, twój tata nie żyje. Zmarł wczoraj w południe. Poczułem mocny uścisk księdza Stanisława i jednocześnie kołyszącą się ziemię pod stopami. Na moment oniemiałem.

- Słucham? Co ksiądz powiedział?... Czy to nie jakaś pomyłka?... Przecież ja mam jeszcze młodego tatę. Nie, to niemożliwe! To jakaś pomyłka... - z trudem wyszeptałem przez zaciśnięte gardło.

- Romek, to prawda. Nie masz już ojca... trzymaj się - dodał, mocno mnie obejmując. - Pogrzeb odbędzie się jutro w twojej rodzinnej parafii. Powiadomiłem już nasze wspólnoty w Rwan-dzie i Kongo. Wszyscy się modlą za twojego tatę i ciebie. Rozmawiałem też z księdzem Tadeuszem, proponując mu odprawienie Mszy żałobnej za twojego ojca jutro o 11 godzinie, tutaj w Kinoni. Trzymaj się dzielnie. Jesteśmy z tobą - powiedział na pożegnanie. Odprowadziłem go do samochodu. Po jego odjeździe, zaraz podeszli do mnie moi współbracia, składając mi wyrazy współczucia po utracie taty. A ja wciąż nie wierzyłem, że to prawda. Moje serce krwawiło po otrzymaniu dwóch jakże bolesnych ciosów, po utracie, tego samego dnia, ojca Pinarda i mojego taty. Umierali nie tylko tego samego dnia, ale i prawie o tej samej go-

139

dzinie. Były to dla mnie najtrudniejsze chwile w dotychczasowej pracy misyjnej w tym kraju. Rozpoczęliśmy okres Wielkiego Postu. Wspólnie przygotowany harmonogram pracy duszpasterskiej był bardzo napięty. Naszą posługą mieliśmy objąć nie tylko parafie Kinoni i Busogo, ale także częściowo wiernych z Kampanga. Na Wigilię Paschalną i Niedzielę Wielkanocną zaplanowaliśmy udzielenie sakramentu chrztu i pierwszej Komunii świętej ponad tysiącu dzieciom. Jednocześnie miała się odbyć regulacja prawna kilkudziesięciu par małżeńskich, żyjących w tak zwanych związkach nieformalnych - bez sakramentu. Program prac obejmował również wizytę we wszystkich szkołach znajdujących się na terenie naszych parafii. Do kilku największych z nich przewidzieliśmy oddzielne wyjazdy. Był to również czas wzmożonej pracy dla naszego parafialnego „Cari-tasu”. Ksiądz proboszcz Tadeusz Bazan wraz ze współpracującą z nim siostrą Wereną i komitetem, składającym się z kilkunastu parafian, reprezentujących poszczególne kościoły filialne, przygotowali szczegółowy plan niesienia pomocy najbardziej potrzebującym ludziom, których w naszym regionie było bardzo wielu.

Oprócz fasoli i sorgo, nasz „Caritasowy” magazyn wypełnił się wieloma kartonami z odzieżą, kocami, lekarstwami i środkami opatrunkowymi. Była to część darów otrzymanych z Polski, dzięki ogromnemu zaangażowaniu sekretarza do spraw misji -księdza Stanisława Kuracińskiego (wraz z jego najbliższymi współpracownikami), który niezmiernie i od wielu już lat czyni wszystko, aby uczuć Kościół i społeczeństwo polskie na ogromną biedę w krajach, gdzie pracowali polscy pallotyni. Wysiłki te przynoszą konkretne owoce w postaci dziesiątek ton odzieży, lekarstw, przyborów szkolnych oraz paramentów liturgicznych, które

docierają do Rwandy, Kongo i innych krajów misyjnych. Dary te ocaliły przed śmiercią wiele istnień ludzkich.

140

W tym miejscu chciałbym podziękować wszystkim rodakom w Polsce za ich wrażliwość i chrześcijańską dojrzałość, okazywaną przez składane ofiary materialne na rzecz niesienia pomocy najbiedniejszej ludności z krajów misyjnych. Myślę, że najwspanialszą formą rekompensaty za ich miłość byłaby możliwość zobaczenia błysku radości w oczach i na twarzach tych, którzy przy drzwiach pallotyńskich „Caritasów” otrzymywali kilka kilogramów żywności, odzież czy środki czystości.

Oczywiście rozdawanie darów to była tylko doraźna pomoc, ale bardzo potrzebna, szczególnie biorąc pod uwagę całą rzeszę rodzin wielodzietnych, które na skutek wojny znalazły się w sytuacji skrajnej nędzy. Patrząc perspektywicznie, większość pallotyńskich parafii podjęło się przygotowania i realizacji dużych projektów, dotyczących niesienia długofalowej pomocy, obejmującej przede wszystkim ofiary wojny plemiennej w Rwandzie i Kongo.

Był to, między innymi, projekt odbudowy zniszczonych w czasie trwania konfliktu domostw. Nasza pomoc polegała na zakupie odpowiedniej blachy do pokrycia dachów oraz prostych drzwi i okien. Dalej, zakup dużej ilości kóz, które były przekazywane tym rodzinom, w których najczęściej tylko samotna matka zajmowała się wychowaniem - przeciętnie ośmiu, a nieraz i więcej - dzieci, ponieważ wielu mężczyzn zginęło, uciekło lub zostało wcielonych do armii rwandyjskiej. Była to ogromna pomoc, gdyż przymierające głodem dzieci mogły się napić zdrowego koziego mleka.

Inne projekty realizowane przez pallotyńskie „Caritas”, dotyczyły niesienia pomocy materialnej młodzieży uczącej się w szkołach średnich. Pomocą tą zostali objęci również chłopcy uczący się w Niższych Seminariach Duchownych - potencjalni kandydaci do kapłaństwa.

Cennym był również projekt zakupu rowerów dla poszczególnych katechetów i członków rady parafialnej w Masaka. Pozwo-

141

liło to na znacznie lepsze funkcjonowanie parafii, gdyż został skrócony czas przemieszczania się poszczególnych przedstawicieli, mieszkających w różnych centralach, oddalonych nieraz kilka czy nawet kilkadziesiąt kilometrów od kościoła parafialnego w Masaka. To tylko niektóre z wielu podejmowanych przez pallotyńców inicjatyw, które miały pomóc ludności Rwandy, dzięki darom otrzymywanym z Polski.

Mijały kolejne, szczerze wypełnione pracą dni Wielkiego Postu. W sercu nadal nosiłem bolesne doświadczenia sprzed kilkunastu dni. Pociuszającym był dla mnie fakt, że zaraz po świętach Wielkanocnych miałem wyjechać na mój pierwszy urlop do ojczyzny. Była to propozycja księdza Filipka, którą przyjąłem i zaakceptowałem z ogromną wdzięcznością, gdyż mogłem pomóc rodzinie, a przede wszystkim mamie, otrząsnąć się i podnieść z depresji po śmierci taty. Tymczasem, stosując pewnego rodzaju ucieczkę przed bolesnymi wspomnieniami, rzuciłem się w wir pracy duszpasterskiej.

Na dzisiaj mieliśmy zaplanowane dwa kolejne wyjazdy do central misyjnych należących do parafii Busogo. Wcześniej ustaliliśmy, że ksiądz Tadeusz i ksiądz Henryk pojedą do tzw. elektrowni. Była to centrala, która nie posiadała własnego kościoła, więc Mszę świętą odprawiało się w miejscowej niewielkiej szkole, tam również odbywały się niedzielne celebracje. Ja natomiast z księdzem Orlikowskim miałem pojechać do najdalej wysuniętej na północ centrali Busogo, gdzie przy słonecznej pogodzie można było dojrzeć zarysy miasta Gisenyi i jeziora Kivu.

Wcześniej niż zwykle zjedliśmy śniadanie i wyruszyliśmy w trasę, by dotrzeć na czas z naszą posługą duszpasterską. Zatrzymaliśmy się na moment przed jednym ze sklepów, by

pozostawić tam dwie puste butle gazowe, które po napełnieniu mieliśmy zabrać w drodze powrotnej. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów asfaltową nawierzchnią skręciliśmy w prawo, wjeżdżając na drogę wąską i kamienistą. Do miejsca przeznaczenia pozostawało jeszcze około 20 km. Jadąc z konieczności bardzo wolno, pozostawialiśmy stopniowo za sobą kolejne kilometry górskiej trasy. Z zainteresowaniem wsłuchiwałem się w opowieści księdza Stanisława dotyczące pierwszych lat jego pracy misyjnej w Rwandzie.

Nagle, w niedalekiej odległości, rozległo się kilka pojedynczych wystrzałów z broni palnej. Jechaliśmy właśnie dosyć szeroką doliną, wijącą się pomiędzy dwoma pasmami wysokich gór. Daleko na horyzoncie, w odległości kilku kilometrów, zarysowała się wyraźnie bryła kościoła, do którego podążaliśmy. Królował on wysoko nad całą roztaczającą się doliną, bo wybudowany był na jednym z łagodniejszych okolicznych szczytów. Po krótkiej chwili ciszy powietrze rozdarł huk całej serii wystrzałów z broni maszynowej. Na pobliskich zboczach rozpętało się prawdziwe piekło. Mimo, że od miejsca walki dzieliła nas spora odległość, to huk wystrzałów, spotęgowany echem odbijającym się pomiędzy górami, sprawiał wrażenie jak byśmy znajdowali się w samym środku pola walki.

W pierwszym momencie poczułem zimny pot na czole, ale kiedy zorientowaliśmy się, że to nie do nas strzelają, uspokoiłem się nieco. Prawdopodobnie doszło do potyczki pomiędzy żołnierzami armii rwandyjskiej i jakiegoś większego oddziału abaczen-gezi, którzy kontrolowali znaczne obszary trudno dostępnych pasm górskich i wulkanicznych północnej Rwandy. Pomimo, że to nie była zasadzka na nas, jak początkowo przypuszczałem, to jednak nasza sytuacja była bardzo poważna. Przecież zarówno abaczengezi, jak i żołnierze mogli pomyśleć, że nadjeżdża samochód przeciwnika i zniszczyć nas jednym wystrzałem z granatnika, a taką broń posiadały obydwie walczące ze sobą oddziały. Dzięki Bogu w miarę naszego zbliżania się do kościoła strzelanina stopniowo słabła.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, szybko wszedłem do świątyni, gdzie modliła się grupka przestraszonych wiernych. Po tym, jak

143

widziałem zamordowanego z zimną krwią ojca Pinarda Guy'a, nie czułem się już w tym kraju tak pewnie, jak jeszcze przed kilkoma tygodniami. Z zewnątrz dochodziły nadal pojedyncze wystrzały. Czy uda nam się bezpiecznie powrócić? Podszedłem do mojego współbrata i poprosiłem o sakrament pokuty. W chwilę potem poczułem się znacznie lepiej. Rozpocząłem wygłaszać konferencję wielkopostną tym, którzy z narażeniem życia przybyli tutaj, by przez sakrament pokuty i uczestnictwo w Eucharystii przygotować się do świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

W drodze powrotnej zaproponowałem odmówienie modlitwy różańcowej w intencji 120 kapłanów i misjonarzy pomordowanych w tym kraju. W sposób szczególny Miłosierdziu Bożemu polecałem nie tak dawno zastrzelonego ojca Pinarda, ale i czterech braci marystów, narodowości hiszpańskiej, zamordowanych przed trzema miesiącami w Nyamirangwe.

Według świadków, morderstwa tego dokonali milicjanci Hutu, którzy starali się kontrolować obóz uchodźców w Nyamirangwe. Bracia maryści byli jedynymi białymi cudzoziemcami, którzy pozostali w sektorze Bugobe i widzieli, jak w walkach z partyzantami Tutsi milicjanci Interahamwe używali więźniów w charakterze żywych tarcz. Milicjanci postanowili więc zabić braci, by nie było świadków ich okrucieństw.

Gdy skończyłem się modlić, całą moją uwagę skupiłem na podziwianiu roztaczającego się poza oknami samochodu wspaniałego górskiego pejzażu północnej Rwandy. Jakież kontrast zachodził między pięknem tego kraju a szkaradą złą powodującego niewyobrażalne cierpienia jego mieszkańców.

Mijały kolejne pracowite dni w naszej parafii. Kolejne wyjazdy duszpasterskie, które mieliśmy już za sobą, odbyły się bez większych niespodzianek. Z każdym dniem powiększała



się liczba wyświadczanych chrześcijan, którzy podobnie jak my, oczekiwali już z utęsknieniem na zbliżające się święta Wielkanocne.

Pewnego dnia otrzymałem wiadomość z Gikondo, że mam już wykupiony bilet wraz z rezerwacją miejsca na 2 maja. Miałem po-

144

lecieć belgijskimi liniami lotniczymi Sabena do Brukseli, a następnie do Warszawy. Była to pierwsza od wielu tygodni radosna wiadomość. Do wylotu na urlop pozostały mi zaledwie dwa tygodnie. Wieczorami rozpocząłem przygotowania do podróży.

Ksiądz Tadeusz Bazan zaproponował mi odprawienie w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego w Busogo świątecznej Mszy, w czasie której miałem udzielić sakramentu chrztu świętego i pierwszej Komunii 450 dzieciom. Muszę przyznać, że przyjąłem tę propozycję z nieukrywaną radością. Miała to być moja ostatnia posługa duszpasterska przed wylotem do ojczyzny.

Nadeszła upragniona Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego. W wypełnionej po brzegi świątyni w Busogo, w podniosłej i świątecznej atmosferze, rozpocząłem sprawowanie uroczystej Eucharystii. Uczucie ogromnej radości wypełniało całe moje kapłańskie serce, gdy patrzyłem na zebrany tłum wiernych, do których przyjść miał za moment zmartwychwstały Zbawiciel, aby napełnić ich serca radością, miłością i nadzieją. Radość tę potęgował fakt, że Kościół powiększy się o 450 nowo ochrzczonych braci w wierze.

Była to najdłuższa Eucharystia w moim dotychczasowym życiu kapłańskim. Trwała cztery i pół godziny. Zmęczony, ale i wdzięczny Bogu, powracałem do Kinoni. To, że w większości kościołów w Rwandzie tysiące dzieci i dorosłych przyjęło sakrament chrztu, stając się dziećmi Bożymi, było dla mnie znakiem nadziei, iż pomimo tylu doświadczeń i namacalnego zła, Kościół nie tylko trwa, ale i pięknie się rozwija, odważnie stawiając czoła napotykanym trudnościom.

Po serdecznym pożegnaniu z moimi współpracownikami, księdzem Henrykiem i księdzem Stanisławem, oraz całą wspólnotą sióstr wincentek, wszedłem jeszcze na moment do domowej kaplicy, aby prosić Pana o szczęśliwą podróż, a dla pozostających na miejscu o opiekę i błogosławieństwo w dalszej pracy misyjnej. Po załadowaniu bagażu, wraz z księdzem Tadeuszem ruszyliśmy

145

w drogę do Kigali. Począwszy od bramy wyjazdowej naszej misji aż do Ruhengeri żegnały nas dziesiątki dzieci, krzyczących na przemian: - Padri Romani, murabeho! (ojcze Romanie, do widzenia!). Romani waczu, uzagaruka wuba! (nasz ojciec Romanie, wracaj szybko!). Z uczuciem żalu machałem im na pożegnanie. - W Polsce będzie mi was brakowało... - wyszeptalem pod nosem. Szczęśliwie dotarliśmy do Kigali. Żegnając się z księdzem Tadeuszem, podziękowałem mu za wszelkie dobro i pomoc, jakie okazywał mi na codzień w naszej wspólnej służbie misyjnej i jako mój przełożony.

Następnego wieczoru, 2 maja 1997 roku, o godzinie 20 usiadłem wygodnie w fotelu na pokładzie boeinga, który na swych skrzydłach miał mnie przenieść do serca Europy - Brukseli. Opuszczałem Rwandę na dwa miesiące, zamykając pierwszy etap, jakże bogaty w nowe doświadczenia, mojej pracy misyjnej w sercu Afryki.

fi .

• MAS AK A : -.>?

Mijał pierwszy tydzień pobytu na nowej placówce w parafii w Masaka. Nazajutrz po powrocie z urlopu otrzymałem od regio-nała ks. Stanisława Filipka dekret z nominacją na wikariusza w tejże parafii. Zamieniliśmy się miejscami dotychczasowej pracy misyjnej z moim współbratem księdzem Andrzejem Jakac-kim, z którym wspólnie stawałem pierwsze kroki w ewangelizacji mieszkańców Rwandy. Funkcję proboszcza i rektora zarazem sprawował ksiądz Stanisław Kantor, młodszy brat ks. Wiesława Kantora, pracującego w

parafii Rutshuru w sąsiednim Zairze. Trzecim kapłanem tworzącym tutejszą wspólnotę był ks. Antoine Baligora - rwandyjski pallotyn.

Zabudowania parafii (w skład których wchodziły: kościół, biuro parafialne, pokoje mieszkalne dla księży wraz z kaplicą, kuchnią i jadalnią oraz mały salon rekreacyjny, gdzie odbywały się zebrania domowe wspólnoty, oddzielone podwórzem budynku sal katechumenatu, niewielkiej szwalni, magazynu „Caritasu” oraz dom animacji), usytuowane były na szczycie jednego z najwyższych wzgórz w tym regionie. Już po zaledwie kilkudniowym pobycie w Masaka zdażyłem zauważyć, że znajdujemy się poniżej korytarza lotniczego prowadzącego w linii prostej na międzynarodowe lotnisko w Kigali, oddalone zaledwie o kilkanaście kilometrów. Kilka razy dziennie można było obserwować większe lub mniejsze samoloty podchodzące do lądowania, przelatujące tuż nad dachami naszych zabudowań.

Tak jak cała Rwanda i to miejsce miało swój osobliwy urok. Jeszcze w latach siedemdziesiątych przechadzały się tutaj słonie,

147

które później przetransportowano do wspaniałego parku Akage-ra. Był on do wybuchu wojny domowej w 1994 roku jedną z największych atrakcji dla turystów przybywających z Europy. Żyło tutaj sporo gatunków dzikiej zwierzyny afrykańskiej, jak chociażby nosorożce, które przetrwały do dzisiaj w nieopodal położonej jednej z central naszej parafii w Rusheshe. Przetrwały -jak mówili miejscowi mieszkańcy - dzięki podmokłym, grząskim i niedostępnym terenom rozciągającym się nad brzegami rzeki Nyabarongo. Znaczna część grubej zwierzyny uciekła lub wyginęła na skutek karczowania lasów i przystosowywania ziemi pod uprawę, dokonywanego przez stale powiększającą się liczbę mieszkańców Rwandy. Teraz właściwie tylko jedno, północne zbocze góry, na której znajdowała się nasza misja, porośnięte było drzewami, w większości eukaliptusowymi. Kilkudziesięciometrowy pas lasu mieszanego okalał szczelnie z dwóch stron nasze zabudowania parafialne, tworząc naturalną ścianę zieleni, zamykającą w czworobok zabudowania misji.

Ksiądz Stanisław Kantor jest nie tylko świetnym duszpasterzem, ale i bardzo dobrym gospodarzem. Miałem okazję obejrzeć zdjęcia, ukazujące zniszczone i zdewastowane przez kwaterujących tutaj do roku 1996 żołnierzy rwandyjskich pomieszczenia, w których teraz mieszkamy. Po znacznych zniszczeniach części dachu na skutek wybuchu pocisku nie pozostało ani śladu. W pokojach umywalki służyły niektórym żołnierzom za sedesy; zostały więc wymienione sanitariaty, pokoje gruntownie odnowione, włącznie z pomalowaniem i nowym wyposażeniem w konieczne meble. W ramach remontu do każdego pokoju dobudowano pomieszczenie z natryskiem i toaletą.

Spacerując po ogrodzie, który jeszcze przed kilkoma miesiącami przypominał kawałek afrykańskiej sawanny z ponad metrowej wysokości wysuszoną trawą, z ciekawością przyglądałem się zadbanym grządkom, na których rosły dorodne warzywa: marchew, pomidory, cebula, pietruszka i inne bliżej mi nie znane. Po-

148

ruszając się ścieżką, która przecinała ogród na kilkanaście części tworząc swoistego rodzaju szachownicę, podziwiałem plantację bananowców znajdującą się po mojej lewej stronie i drzew cytnowych po prawej stronie ścieżki. Niektóre drzewa wymagały jeszcze drobnej pielęgnacji w formie przycinki, ale i tak obsyp; ne dorodnymi papajami, pamprymusami czy mandarynkami w promieniach popołudniowego słońca wyglądały bajeczni i kolorowo. Przypominały świąteczne choinki przystrojone kokowymi bombkami.

Wolno posuwałem się dalej, głęboko zachłystując się kryst; licznie czystym powietrzem, okraszonym nieco miodowym z; pachem wydobywającym się z ogromnych kielichów żółtych kwiatów podobnych do polskich lilii, obok których właśnie przyszedłem. Zatrzymałem się na moment, bo obawiałem się, i pogryzą mnie pszczoły, które uwijały się zwinnie, buszuje w

kielichach kwiatów i zbierając obficie ich pyłek. Teraz dopit ro zauważyłem, że w tym ogrodzie wykorzystano każdy kawałek ziemi, zasiewając nawet między drzewami bananowymi fasol która swoimi zielonymi soczystymi pędami szczelnie otulała ziemię. Potwierdzało to regułę, że każdy centymetr ziemi w tym kraju jest na wagę złota. W kilku miejscach w konarach drzew awokado dostrzegłem coś, co przypominało duże bębny. Kiedy lepiej im się przyjrzałem, okazało się że, są to tradycyjne u'rwandyjskie, rozbrzmiewające charakterystycznym pomrukiem pracujących w nim pszczoł.

Byłem pełen podziwu i uznania dla ks. Stanisława Kantor; który mimo wielu zajęć duszpasterskich znalazł czas i energii aby przy pomocy pracowników doprowadzić ogród do stanu sprzed 1994 roku. Zniszczony i zdewastowany dom oraz zaniedbany przez dwuletnią nieobecność moich współbraci pallotników ogród, to jeszcze nie wszystkie konsekwencje tamtych tragicznych wydarzeń. Podobnie jak w całej Rwandzie, na terenie naszej parafii Masaka, wraz z przynależącymi do niej dziewi\*

U

cioma filiami, zginęło tysiące ludzi zamordowanych w okrutny sposób. W miesiącach: kwiecień, maj i czerwiec 1994 roku niewiele było miejsc na ziemi rwandyjskiej, które nie zostałyby zroszone niewinną krwią w wyniku bratobójczych walk pomiędzy Tutsi i Hutu. Również i tutaj, niedaleko naszej parafialnej świątyni, zamordowano kilkadziesiąt osób. Niektóre ciała zostały wrzucone do zbiornika na wodę znajdującego się koło kościoła. Większość pomordowanych została pogrzebana w zbiorowej mogile, którą wykopano w lesie kilkanaście metrów od cyprysowego ogrodzenia okalającego nasz ogród i część posesji. Kończąc przyglądanie się z bliska tutejszemu ogrodowi, znalazłem się niedaleko mogiły pomordowanych. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej różaniec. Rozpoczynając medytację tajemnic chwalebnych różańca świętego, ruszyłem w kierunku grobów, ofiarując tę modlitwę w intencji ofiar i wszystkich zamordowanych na terenie parafii Masaka. Wokół dał się słyszeć delikatny szelest eukaliptusowych liści, poruszanych lekkimi podmuchami gorącego powietrza. Gdzieś z oddali dobiegały szczątki rozmów powracających z pracy na roli kobiet, przerywane płaczem dzieci.

Zataczając niewielki krąg, wracałem do mieszkania, wypowiadając ostatnie zdrowaśki modlitwy różańcowej. Modlitewny spokój przerwał ryk pracującego na wysokich obrotach silnika samochodu ciężarowego wspinającego się pod górę i gromki męski śpiew. Jak mogłem się domyślać, byli to żołnierze pilnujący posiadłości rodzinnej prezydenta Rwandy - Bizimungu, graniczącej bezpośrednio z zabudowaniami szkoły podstawowej i naszej misji. Odbywała się zwyczajna zmiana garnizonu, który kończył swoją służbę. Prezydent przyjeżdżał tutaj kilka razy w tygodniu, a wówczas część żołnierzy zabezpieczała trzykilometrowy odcinek gliniastej drogi, począwszy od zakrętu z asfaltówki prowadzącej z Kigali w kierunku Tanzanii, aż na szczyt góry, gdzie znajdowała się jego posiadłość.

150

Podobnie było w soboty i poniedziałki, kiedy to do Kiga przylatywał samolot z Brukseli. Zadaniem żołnierzy miało być dopilnowanie bezpiecznego przelotu potężnego samolotu linii Sabena, podchodzącego do lądowania na niskim pułapie, by nie doszło do tragedii podobnej do tej z 7.04.1994 roku, kiedy to z zbocza tej góry odpalono dwie rakiety w kierunku samolotu prezydenckiego, niszcząc go i zabijając wszystkich pasażerów włącznie z prezydentem Rwandy, a co stało się początkiem tych straszliwych masakr ludności cywilnej.

Przeszedłem obok grupki żołnierzy, którzy rozpalali przy wartowni ognisko. Była to ich kuchnia polowa, gdzie przygotowywali ciepłe posiłki. Po chwili, wchodząc przez otwartą jeszcze bramę, znalazłem się na podwórku naszej misji.

Mijały tygodnie, a ja poznawałem kolejne centrale misyjne i przynależące do nich lokalne wspólnoty wchodzące w skład parafii Masaka. Odprawiłem już Mszę św. w większości z nimi a więc w Rusheshe, Kabuga, Ruhanga, Muyumbu, Nyakagars ma, Karengi i w najbardziej

oddalonej - Kangamba. Byliśm najmłodszą wspólnotą, biorąc pod uwagę średnią wieku czy liczbę lat służby kapłańskiej, i wzajemna współpraca między nan układała się bardzo dobrze. W znacznej mierze była to zasługa ks. Staszka, który jest bardzo dobrym organizatorem zajęć za równo duszpasterskich, jak i charytatywnych. Poza tym jest człowiekiem bardzo tolerancyjnym, otwartym na wszelkie inicjatywy i przede wszystkim ogromnie pracowitym. Współpracę ułatwiał nam także klarowny podział pracy duszpasterskiej i niektórych prac na rzecz wspólnoty domowej. I tak ks. Kantor jako proboszcz zajmował się opracowaniem całorocznego harmonogramu pracy duszpasterskiej. Dotyczyło to szczególnie okresu Adwentu i Wielkiego Postu, kiedy to należało to zorganizować pracę w poszczególnych centralach, by sprawni i na czas przygotować poprzez posługę sakramentalną 45 tysięcy wiernych na obchody dorocznych świąt Bożego Narodzenia czy;

15

Wielkanocy. Ks. Staszek jako proboszcz zajął się także kierowaniem „Caritasu”. Oczywiście pełniąc również funkcję rektora miejscowej wspólnoty organizował zebrania domowe i miesięczne dni skupienia. W pionie duszpasterskim zostałem odpowiedzialnym za ministrantów, Legion Maryji oraz Człocieli Najświętszego Serca Jezusowego. We wspólnocie natomiast pełniłem funkcję ekonoma, zajmując się sprawami utrzymania domu i nadzorem pracowników. Najmłodszy z nas, ks. Antoine Baligora, miał wyśmienity słuch muzyczny i dlatego został odpowiedzialny za wszystkie chóry, których na terenie całej naszej parafii było ponad trzydzieści. Zajmował się także tzw. powołańcami i kierował kilkoma innymi grupami młodzieżowymi. Brat Jan Marie zajął się propagowaniem i dystrybucją czasopisma dla dzieci i młodzieży - „Hobe”, redagowanego i wydawanego w „Pallotti-Press” w Kigali. Prowadził również zajęcia z religioznawstwa w szkole średniej w Kabuga.

Na terenie naszej parafii pracowały trzy wspólnoty zakonne: Siostry Pallotynek, Małych Sióstr od Jezusa i Siostry Benebikira w Kabuga. Z tymi wspólnotami współpracowaliśmy na różnych płaszczyznach, otaczając je stałą opieką duszpasterską. Zarówno Małe Siostry od Jezusa jak i Siostry Benebikira miały u siebie raz w tygodniu odprawianą Mszę św. w języku kinyarwanda. Natomiast u pallotynek odprawialiśmy dwa razy w tygodniu: w poniedziałek Mszę św. w kinyarwanda i w czwartek w języku francuskim. Posługa ta była wkomponowana na stałe w nasz program duszpasterski.

Zazwyczaj dzień pracy misyjnej rozpoczynaliśmy przed szóstą rano. Osobiście rzadko korzystałem z budzika. Szybko budzący się dzień, czemu każdorazowo towarzyszył ptasi koncert, stał się dla mnie jakimś naturalnym biologicznym zegarem ofiarowanym przez afrykańską naturę, w zupełności wystarczającym, by spędzić resztki snu z moich powiek. Wstawałem więc wraz ze słońcem i przy akompaniamencie śpiewu ptaków około wpół do

152

szóstej - Porannej toalecie i przejrzeniu tekstów liturgicznych na dany dzień, oczywiście w języku kinyarwanda, z brewiarza\* w rekcu wychodziłem do ogrodu na poranną modlitwę. Osaczające mnie piękno natury i rześkość poranka ułatwiły mi znacznie modlitwę, czyniąc ją głęboką rozmową z Bogiem. Zakończyłem ją krótkim nawiedzeniem Najświętszego Sakramentu w naszej domowej kaplicy. Kilka minut przed godziną siódma udałem się do kościoła, aby odprawić codzienną Mszę w jedynej kilkunastuosobowej grupie wiernych. Jeżeli natomiast miałem odprawić poranną Eucharystię dla którejś z jednostek sióstr, to wsiadałem w samochód i kwadrans później ruszałem w drogę, mając do pokonania około dwóch kilometrów. Mszę św. wszędzie rozpoczynaliśmy o 7 rano. Tęcza stniczyły w nich nie tylko siostry, ale i spora grupa wiernych. Około godziny ósmej jedliśmy wspólne śniadanie, przy okazji omawiając szczegóły zaplanowanych na dany dzień 5 dań duszpasterskich.

W okresie Adwentu czy Wielkiego Postu całe tygodnie spędzałem w terenie, odwiedzając poszczególne centrale misyjnej służby miejscowym wspólnotom posługą sakramentalną. Spotkania z wiernymi zawsze rozpoczynało się konferencją, która p

fi/unkcJe zastępczą rekolekcji. Po wyspowiadaniu penitenc ocj ^wialiśmy Mszę świętą. Dzień spowiedzi był zarazem dni< ocjwie(edzania starych, kalekich i chorych, którzy nie mogli o w snych 1 si^acn przybyć do miejscowej świątyni i skorzystać z s krameientu pojednania. Takich ludzi przyprowadzano lub przyr w kilka umówionych miejsc, nieraz oddalonych od siei

szono

o spore 11"0 kilometrów, i jeden z nas objeżdżał, a w niektórych pr2 dka(ach obchodził te punkty, docierając do nich po kolei, sp wiatj-ając, udzielając sakramentu chorych i udzielając Komu św Ni/iektore większe centrale, takie jak na przykład: Nyakagai ma Mi^urehe' Karenşe czy Rusheshe musieliśmy odwiedzać di razy d;dzieJ^c wiernych na dwie grupy - dzieci i młodzież oraz c

r^H

rosłych. Było to podyktowane ogromną w tych wspólnotach liczbą wiernych, zarówno dorosłych, jak i dzieci.

Nasza praca duszpasterska w terenie nie ograniczała się tylko do tych dwóch okresów liturgicznych. W pozostałe miesiące roku odwiedzaliśmy większość szkół i spotykaliśmy się z uczniami przygotowującymi się do pierwszej Komunii św. lub sakramentu bierzmowania oraz katechumenami mającymi przyjąć chrzest. Przeprowadzaliśmy egzaminy ustne, weryfikując poziom wiedzy z zakresu podstawowych prawd wiary, znajomości katechizmu i przykazań kościelnych. Przy okazji regulowaliśmy sprawy itu-ro - drobnej ofiary przeznaczonej na wynagrodzenie parafialnych katechetów świeckich.

W większości wypadków wracaliśmy z terenu do domu w Masaka po południu. Zmęczeni, przepoceni, czasami głodni i spragnieni, ale zawsze z jakąś wewnętrzną radością i satysfakcją z dobrze wypełnionego zadania względem powierzonym nam wiernych. Po kilkunastu minutach spotykaliśmy się w jadalni, by spożyć obiad. Po nim rozchodziliśmy się do swoich pokojów na krótką sjęstę. Był to doskonały sposób, by usunąć zmęczenie i odzyskać siły. W warunkach afrykańskich, jak mawiali Ojcowie Biali, obowiązuje jedenaste przykazanie - każdego dnia zrób poobiednią sjęstę. Niestety nie zawsze było ono do zrealizowania z powodu ogromu pracy, która czekała na nas tu na miejscu w domu. Najczęściej moje dodatkowe zajęcia wiązały się ze sprawami ekonomicznymi. Trzeba było zajrzeć dosłownie w każdą dziurę i sprawdzić, np. czy warzywa zostały podlane, czy bielizna kościelna została dobrze uprana i wyprasowana, na ile wystarczy proszku do prania, czy jest jeszcze mięso, chleb i inne artykuły niezbędne do przeżycia kolejnych kilku dni, czy pracownik ogrodu zerwał świeże owoce na stół i wreszcie na ile wystarczy jeszcze wody do picia i gotowania. Brak wody w Masaka był naszą największą bolączką. Trochę lepiej wyglądała sytuacja w czasie pory deszczowej, kiedy to pa-

154

dające ulewne deszcze napełniały wodą dwa potężne betonowe zbiorniki. Jeden z nich znajdował się w narożniku ogrodu. Umieszczony był cały w ziemi, tuż obok ostatniego, narożnego pokoju. Mógł pomieścić kilka tysięcy metrów sześciennych wody, która specjalnym kanałem spływała z całej powierzchni dachu naszego domu. Drugi natomiast skonstruowany został na powierzchni, tuż obok garażu, zbierając wodę z dachu katechumenatu, szwalni i magazynu. Dzięki tym zbiornikom chociaż przez kilka miesięcy w roku mogliśmy mieć wodę w kranach, w natrysku i w spłuczce w toalecie.

Powyżej ogromnego zasadniczego zbiornika umieszczony został drugi, mniejszy o konstrukcji metalowej. Przy użyciu pompy elektrycznej wodę przepompowywano do górnego zbiornika i na zasadzie siły grawitacji woda docierała do naszych kranów. Oczywiście nie nadawała się ona absolutnie do przyrządzania posiłków czy do picia. Natomiast używaliśmy jej do mycia, prania czy zmywania betonowych podłóg w naszych pokojach. Woda z drugiego zbiornika, znajdującego się w ogrodzie, przeznaczona była do podlewania warzyw,

zmywania kamiennej posadzki kościoła oraz kuchni i innych pomieszczeń w naszym domu. Dzięki wodzie z tego zbiornika w ogrodzie, mimo panującej suszy, mieliśmy przez cały rok świeże warzywa i kwiaty do kościoła i domowej kaplicy.

Wiele razy, gdy po umyciu się skóra zaczynała swędzieć, a czasami pokrywać się małymi bąbelkami wyglądającymi jak po ugryzieniu komara, zastanawiałem się nad przyczyną takiego stanu rzeczy. Pewnego razu miałem okazję nadzorować przebieg czyszczenia cysterny, która zasilala nasze krany w wodę. Od wielu już tygodni, z powodu przedłużającej się pory suchej, z naszych kranów nie wypłynęła ani kropla wody. W oczekiwaniu na pierwsze deszcze, postanowiliśmy wyczyścić zbiornik. Po odsunięciu zabezpieczeń części górnej i wpuszczeniu do wewnątrz drabiny należało opróżnić zbiornik z resztek pozostającej w nim wody i dokładnie oczyścić jego dno i ściany. .? \*

155

Obok mnie stało dwóch naszych pracowników trzymających w dłoniach plastikowe wiadra. Poprosiłem ich, by zaczekali jeszcze chwilę, gdyż chciałem zajrzeć na moment do środka. W kilka sekund potem ostrożnie opuszczałem się po szczeblach metalowej drabiny w głąb zbiornika. Kiedy znalazłem się tuż nad lustrem kilkudziesięciocentymetrowej warstwy wody, zaatakowały mnie setki komarów. Sprawiały wrażenie zaskoczonych nieoczekiwaną wizytą. Nie zważając na nie, przyjrzałem się z bliska wodzie przypominającej gęstą zupę. Było w niej wszystko. Począwszy od zgniłych liści, kępek mchu rosnącego w szczelinach dachu, nasion drzew, aż po na wpół rozkładające się martwe jaszczury. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Zauważyłem również, że w niektórych miejscach powierzchnię wody mąciły tysiące drobnych żyjatek. Kiedy przyjrzałem się im z bliska, okazało się, że były to kilkumilimetrowe podłużne robaki koloru czerwonego. Poczulem skurcz w żołądku. Nie czekając ani chwili dłużej, wspinając się po drabinie, szybko opuściłem cysternę. Teraz dopiero zrozumiałem usilne naleganie ks. Stanisława, by każdorazowo przed rozpoczęciem pory deszczowej porządnie wyczyścić zbiornik.

Z niepokojem spoglądałem na bezchmurne niebo, z którego lał się żar promieni słonecznych. Myślałem nie tylko o pustych cysternach i wyschłych kranach, ale i o okolicznych mieszkańcach, którym słońce skutecznie wypalało całe ich uprawy fasoli, sorgo czy ziemniaków. Wielu z nich znowu będzie przymierało głodem. Przeciągająca się susza zmuszała nas do codziennych wyjazdów po wodę. Jednorazowo można było przywieźć 600 litrów wody w trzydziestu plastikowych pojemnikach po oliwie. Tyle bowiem mogliśmy ich umieścić na samochodzie. Teraz, kiedy od kilkunastu dni okoliczne ujęcia wodne świeciły pustkami, trzeba jej było szukać daleko za Kabuga lub w Kigali u naszych współbraci na Gikondo. Tak więc należało pokonać dystans po-

156

nad trzydziestu kilometrów, by dom i nasza wspólnota mogła normalnie funkcjonować. Tutaj w Masaka odkryłem po raz pierwszy w życiu, jakim nieocenionym skarbem jest życiodajna woda. Doświadczałem tego wówczas, kiedy wlewając jej kilka litrów do miski wiedziałem, że po umyciu się trzeba będzie w niej jeszcze zrobić pranie skarpet, a następnie wykorzystać ponownie do zmycia betonowej posadzki pokoju czy do spłukania sedesu. Nie można było pozwolić sobie na zmarnowanie ani jednej kropli.

Brak wody w Masaka nie był naszą jedyną bolączką. Tutaj, w porównaniu z północną Rwandą, było zdecydowanie więcej komarów, które skutecznie potrafiły uprzykrzyć codzienne życie. Natura sprzyjała ich rozmnażaniu z dwóch powodów: o wiele wyższa temperatura niż na północy i okalające nasze wzgórze bagniste, podmokłe tereny, które były wylęgarnią tych owadów na całą okolicę. Ciepło i woda stwarzały im idealne warunki rozwoju. My mieliśmy, można powiedzieć, dwie prywatne wylęgarnie. Były nimi obie cysterny z deszczówką. Byliśmy tego świadomi, ale i bezsilni, bo zlikwidowanie ich pozbawiłoby nas wody, a bez niej przecież nie da się żyć.

Całą walkę przeciwko komarom, które roznosiły śmiertelnościaną malarię, skoncentrowaliśmy na zabezpieczeniu naszych pomieszczeń mieszkalnych. Ale pomimo specjalnych siatek zabezpieczających okna i otwory wentylacyjne w łazienkach, pomimo używania specjalnych kadzideł czy kostek wydzielających zabójczy dla nich zapach, a nawet używania moskitier, rzadko wstawało się rano bez kilku nowych bąbli. Komary były tak sprytnie a zarazem żądne krwi, że potrafiły znaleźć i wykorzystać najmniejszą szczelinę, szparę czy otwór, by wśliznąć się do wnętrza pokoju, a tam czyhały już na swoją ofiarę. Wystarczyło wieczorem usiąść na moment gdzieś na zewnątrz, a natychmiast można było usłyszeć charakterystyczny brzęk. W chwilę potem na odsłoniętych częściach ciała czuło się palące

157

ukłucia. Dlatego tutaj częściej niż w Kinoni zapadałem na malarię, podobnie jak i moi współbracia. Dla miejscowej ludności był to również poważny problem. Wielu ludzi, którzy zapadali na tę chorobę, umierało. Najczęściej były to osoby starsze i dzieci.

Rwanda, tak jak i cała Afryka, zachwyca, ale i budzi grozę. Daje życie, ale i w sposób gwałtowny je odbiera. Ten wielki kontynent jest nieustannie nękany wojnami plemiennymi, biedą, głodem i chorobami. Rwanda ma w tym wszystkim udział na swój sposób. My, misjonarze, również. Nie omijały nas różne niedostatki, choroby, strach i bezradność wobec rozgrywających się wokół tragedii. Ale mieliśmy zawsze potężne oparcie w Bogu, który wciąż dodawał nam siłę i odwagi, abysmy nieśli pomoc i nadzieję najuboższym materialnie, ale i duchowo.

Był poniedziałek. Całe przedpołudnie spędziłem w Kigali, robiąc zakupy dla wspólnoty. Tuż po powrocie, kiedy kończyłem wkładać do chłodziarki ostatnie kawałki mięsa, na podwórko wjechał jakiś samochód. Po chwili przed drzwiami magazynku pojawiła się siostra Belancilla. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Dzień dobry, padri Romani.

- Dzień dobry, siostrze - odpowiedziałem, wyciągając dłoń na powitanie.

Siostra Belancilla jest rwandyjską pallotynką pracującą w dużym, prowadzonym przez siostry ośrodku zdrowia w Masaka.

- Czy coś się stało? - zapytałem.

- Przyniesiono nam umierającego trzynastoletniego chłopca - odpowiedziała. - Sąsiedzi, którzy go znaleźli i przynieśli do ośrodka twierdzą, że chłopiec w ubiegłym roku przystąpił do pierwszej Komunii św. w Rusheshe, gdzie mieszkał - dodała. - Potrzebujemy księdza, aby udzielił mu sakramentu chorych. Pojedzie ksiądz?

158

Dziesięć minut później przekraczaliśmy już próg ośrodka zdrowia. Wewnątrz było pełno ludzi. Niektórzy stali w długim ogonku do okienka, inni oczekiwali, siedząc na drewnianych ławkach. Kilka starszych kobiet leżało w różnych miejscach na cementowej posadzce, cicho pojękując. Większość z przybywających tutaj mieszkańców okolicznych terenów to chorzy na malarię i choroby układu pokarmowego, tzw. robaczyce. Dostrzegłem także kilkoro starszych dzieci. Siedząc, opierały się plecami o jedną ze ścian budynku. Wpatrywały się w milczeniu w jakiś punkt w oddali, sprawiając wrażenie zahipnotyzowanych. Jednym z nich wstrząsały dreszcze. „To zapewne z powodu wysokiej gorączki” - pomyślałem, mając już doświadczenie. Widziałem, że potrzebowały pomocy, lecz wokół nie zauważyłem nikogo, kto by się nimi opiekował. W duchu przyrzekłem sobie, że spytam się o nie, wracając od chorego. Podążając za siostrą Belancilla, wszedłem za nią do jednej z niewielkich sal, na której leżało kilku chorych.

- Padri, to tam - zwróciła się do mnie, wskazując jednocześnie na parawan ustawiony pod oknem.

Nieśmiało się tam zbliżyłem. Na metalowym łóżku, z twarzą obróconą do okna, leżał wychudzony chłopiec. Podłączony był do kroplówki. Podeszedłem do małego stolika przylegającego do łóżka. Założyłem komżę i stułę, po czym wyjąłem modlitewnik w języku kinya-rwanda pt. „Igitabo cy'umukristu” oraz oleje św. służące do namaszczenia chorego. Chłopiec przypominał wyschniętą wiórę. Jego oddech był szybki i bardzo płytki. Wpadające przez okno światło opromieniało jego wychudłą, z wystającymi kośćmi policzkowymi, chłopięcą twarz. Z rogu ust sączyła się brunatna ciecz. Powieki miał na wpółprzymknięte, więc dostrzegłem nienaturalnie wywrócone gałki oczne. Przejęło mnie ogromne uczucie żalu. Nagle poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. To była siostra Belancilla oraz pielęgniarka. Spoglądając na mnie i jak gdyby chcąc się usprawiedliwić, powiedziała:

159

- Zrobiłyśmy wszystko, co było możliwe, ale przyniesiono go za późno.

Pielęgniarka otarła chłopcu twarz i rozpoczęła mierzyć ciśnienie i tętno. Po chwili usłyszałem:

- Trzeba się śpieszyć, bo chłopiec umiera.

Sięgnąłem po modlitewnik, w którym znajdowały się teksty obrzędu sakramentu chorych. Z ogromnym namaszczeniem przystąpiłem do wykonania czynności związanych z udzieleniem tego sakramentu. Pochylając się głęboko nad umierającym chłopcem, wyszeptałem do jego ucha akt żalu za grzechy. Następnie odmawiając poszczególne modlitwy, do których czynnie włączyła się siostra i pielęgniarka, dokonałem obrzędu namaszczenia chłopca olejem świętym. Nastąpiła chwila modlitewnej zadumy, którą zakończyłem - w myśli wypowiedzianym - „do zobaczenia, chłopcze, w domu naszego Ojca w Niebie”.

Po wyjściu na zewnątrz siostra poinformowała mnie, że chłopiec jest półsierotą, a właściwie sierotą, gdyż jego matkę zamordowano w 1994 roku, a ojciec przebywa w więzieniu niedaleko Ruhango. Jego sąsiedzi twierdzili, że ciężko pracował przy wypalaniu cegły gdzieś za Kabuga. Zarobione pieniądze przeznaczał na zakup żywności dla trójki młodszego rodzeństwa, którymi opiekował się jak ojciec. Mógłby żyć, gdyby przed kilkoma dniami zażył leki na zwalczanie malarii, ale prawdopodobnie nie miał pieniędzy, aby je kupić, a była to suma niespełna dwóch dolarów. „Mój Boże - westchnąłem - jakże w tym kraju niewiele jest warte ludzkie życie”. Gdzieś w głębi serca tliła się nadzieja, że chłopcu uda się przeżyć. Żegnając się z siostrą, wskazałem na czwórkę siedzących pod ścianą dzieci.

- A to są okoliczni pasterze - wypowiedziała ożywionym głosem s. Belancilla. - Przychodzą do nas często, zwłaszcza, gdy chorują. Są sierotami i nikt nie wie, gdzie śpią i mieszkają. Padri, popatrz na ich wzdęte brzuchy. To robaki, które znowu dają znać o sobie. Zaraz się nimi zajmujemy. Dziękujemy za posługę sakra-

160

mentalną - dodała nieco cichszym głosem, podając jednocześnie dłoń na pożegnanie.

Jeszcze raz spojrzałem na siedzące dzieci, których wydęte brzuchy zdawały się rozsadać ich brudne i poszarpane ubrania i westchnąwszy głęboko, ruszyłem do samochodu.

Po powrocie do parafii udałem się do jadalni, skąd dochodziły odgłosy rozmów moich współbraci spożywających obiad. Dołączyłem do nich, jednak przełknięcie każdej łyżki zupy przychodziło mi z ogromnym trudem, bo myślałem o spotkanych dzieciach, i o tysiącach innych, umierających w tym kraju z głodu i chorób.

Niestety tragedia narodu rwandyjskiego z 1994 roku, kiedy to w bratobójczych walkach plemiennych zginęło ponad milion osób, miała swoją dalszą niekończącą się historię.

Osieroconych rwandyjskich dzieci było tak wiele, że trudno było się ich doliczyć. Szacowano że jest ich około 200-300 tysięcy. To one, niewinne dzieci, musiały ponosić tragiczne konsekwencje zbrodni ludobójstwa, na skutek czego pozbawione zostały rodziców, dachu nad głową i nadziei na lepszą przyszłość. Z ogromnymi ranami w psychice powstałymi na skutek



zamordowania bliskich, niejednokrotnie na ich oczach, zniszczenia ich domów i palenia całych wiosek, musiały iść w dalsze życie i walczyć o własne przetrwanie.

Wiele z tych sierot spotkałem osobiście w pierwszych miesiącach pobytu na Gikondo, następnie na terenie parafii Kinoni i Busogo, a potem w Masaka. Na terenie całej naszej parafii z przynależącymi do niej centralami misyjnymi, których było dziewięć, przebywało ponad 3000 sierot. Część z nich przygarnęli krewni, w ten sposób znalazły dach nad głową. Inne zostały przyjęte przez sąsiadów czy ocalałe rodziny, ale za mały kąt do spania i za kawałek chleba musiały ciężko pracować na roli. Znaczna część sierot skazana była tylko na siebie, żyły samotnie w opuszczonych, zniszczonych w czasie wojny domach, w skle-

161  
conych własnymi rękoma szałasach czy chroniąc się na noc wśród bazarowych straganów. Były i takie, które za niewielkie wynagrodzenie wypasały bydło. Kiedy jednak zbliżała się noc, a one nie miały dokąd powrócić, spędzały noc po gołym niebem, gdzieś na pastwisku razem z krowami, przytulając się do nich jak do mamy, korzystając z ciepła ich ciał. Każdego dnia dzieci można było spotkać dosłownie wszędzie. Rankiem, wyjeżdżając z posługą duszpasterską do którejś z naszych central misyjnych, mijaliśmy je na drogach. Starsze, z dużymi motykami wyruszały do pracy w polu. Młodsze, z różnej wielkości bidonami niesionymi na głowie lub w rękach, rozpoczynały długi, kilkukilometrowy marsz po życiodajną wodę. W porze suchej często raniły swoje bose stopy o ostre drobne kamienie. W porze deszczowej natomiast ślizgały się i grzęzły w błotnistej mazi. Jeszcze inne wyruszały na tereny zalesione, aby zbierać kilka wiązek suchych gałęzi, by wieczorem móc rozpalić tradycyjne palenisko i być może przy odrobinie szczęścia upiec w nim kilka zarobionych całodniową pracą ziemniaków lub ugotować garść fasoli. Czasami na drodze trzeba było zatrzymać się i kilka razy, aby przepuścić stada krów pędzone przez małych wychudzonych chłopców - pasterzy.

Najczęściej teraz spotykałem się z dziećmi w miejscach, do których jeździłem po wodę. Ujęcie wody - był to zazwyczaj jeden kran umieszczony w betonowej ścianie, zasilany z wodociągu publicznego. Niezależnie od pory dnia, kiedy podjeżdżałem naszą toyotą wyładowaną po brzegi 20-litrowymi bidonami, wokół kręciła się spora gromada dzieci. Część z nich stojąc w kolejce do kranu, prowadziła ożywione rozmowy. Inne, zmęczone przebytą kilkukilometrową drogą, odpoczywały na uboczu. Wygląd większości z nich budził we mnie głębokie współczucie. Ogromnie zaniedbane, w brudnych i porwanych ubraniach, boso i nierzadko przeżuujące kawałki odgryzanej czciny cukrowej, to był codzienny widok. Polubiłem dzieci takimi, jakimi były.

162

Więcej, od nich uczyłem się, że nawet cierpienie i skrajna bieda nie musi pozbawiać człowieka uśmiechu i radosnego spojrzenia, które mogą być najwspanialszym darem dla drugiego. Potrafiły zaskakiwać swoją dojrzałością, wrażliwością i miłością. Od kilkunastu już miesięcy dzieciaki rozpoznawały naszą to-yotę i natychmiast kilkoro z nich podbiegało, aby pomóc przy rozładunku bidonów. Pozostałe, stojące w kolejce, mało tego, że ustępowały mi pierwszeństwa przy kranie, to jeszcze pomagały przy ich napełnieniu i załadunku na samochód. Takie właśnie zachowanie dzieci, przychodzących po wodę w miejscu charakterystycznego zakrętu z drogi asfaltowej z Kigali do Masaka stało się dla mnie codziennością. Ale i w innych miejscach dzieci potrafiły mnie zaskoczyć swoją dobrocią. Był początek roku szkolnego 1998. W całej Masaka brakowało wody. Pojechałem więc do Kabuga, gdzie tuż obok naszej świątyni mieściła się szkoła podstawowa. Wjechałem na podwórze, a tam za gałganową piłką biegało kilkunastu chłopców. Kiedy rozpoznali parafialny samochód, natychmiast przerwali grę. Wsiadając z samochodu, usłyszałem jeden wielki okrzyk: - Pa-dri yaje kuvoma! (padri przyjechał po wodę!) - Tugiye gufasha! (trzeba mu pomóc!). W chwilę potem okazało się, że i tutaj ciśnienie w kranie było bardzo małe.

Woda z kranu sączyła się leniwym strumieniem. Wówczas kilku innych chłopców, którzy kręcili się wokół samochodu stwierdziło, że pojazd jest brudny i należy go umyć. W kilka chwil potem dwóch z nich przyniosło bidony z wodą. Wokół samochodu nagle się zakotłowało. Woda poszła w ruch. Dzieciaki gołymi dłońmi zaczęły rozmazywać zaschłe plamy zasuszonej ziemi. Zanim wszystkie plastikowe pojemniki zostały napełnione wodą, samochód został dokładnie umyty. Byłem zdumiony zaradnością dzieci.

W kilka dni później, kiedy znowu powróciłem w poszukiwaniu wody, przywiozłem im jedną z ostatnich piłek, które otrzymałem w prezencie od mojego proboszcza księdza Andrzeja Le-

163  
śnego z parafii Choczni. Trudno mi wyrazić ich radość. Być może dla wielu z tych chłopców, którzy mi pomogli, była to pierwsza prawdziwa piłka nożna, którą mogli kopać. Kolejny niedzielny poranek przywitał nas ulewnym deszczem. Od miesiąca mieliśmy wodę w kranie pochodzącą z naszych cystern, które stopniowo napełniały się deszczówką. Niekiedy opady były tak intensywne, że spływająca z dachu woda nie mieściła się w rynnach odprowadzających ją do naszych zbiorników i z bulgotem przelewała się na zewnątrz, chlapiąc i pryskając na okna, drzwi i ściany naszych mieszkań.

Zamknąłem drzwi pokoju, zastanawiając się, czy mam w walizce liturgicznej wszystko, co będzie mi potrzebne do odprawienia Mszy świętej, po czym dużymi susami, w strugach deszczu, pobiegłem do samochodu. Uruchamiając silniki, myślałem już o ewentualnych trudnościach, z którymi będę musiał uporać się w czasie jazdy. Otuchą napawała mnie świadomość, że ten samochód, chociaż mały i niezbyt wygodny, posiadał niezwykle skuteczny i przydatny przy takiej pogodzie napęd na cztery koła.

Miałem odprawić dwie Msze św. w jednej z bliżej położonych central naszej parafii, w Muyumbu. Trzeba było przejechać około 12 kilometrów po wąskiej i krętej drodze o gliniastej nawierzchni. Po przekroczeniu progu bramy wyjazdowej, rozpoczął się stromy zjazd w kierunku Kabuga. Zjeżdżając powoli drogą, która przypominała rwący potok, manewrowałem kierownicą tak, by nie wpaść na któreś z drzew z plantacji kawy, które rosły tak blisko drogi, że ich gałęzie raz po raz muskały lusterka i szyby samochodu. Jednak najgorszy odcinek, i najtrudniejszy do pokonania, rozpoczynał się dopiero po zjechaniu z kawałka drogi asfaltowej, na której przez chwilę się znalazłem. Była to droga najczęściej uczęszczana przez misjonarzy pracujących w Masaka, gdyż prowadziła do większości central, a więc: Muyumbu, Nyakagarama, Murehe, Karengi i najdalej oddalonej Kangamba.

164

Jazda tą drogą wymagała nie lada umiejętności. Dotyczyło to szczególnie pory deszczowej, kiedy ogromne dziury, koleiny i zagłębienia zamieniały się w ogromne rozlewiska wodne. Czasami były tak głębokie, że samochód zanurzał się po karoserię lub też wjeżdżał i zawieszał się na jakiejś muldzie czy koleinie zalanej wodą. Większa część nawierzchni drogi zamieniała się w grząską i śliską maź o kilkucentymetrowej grubości, bardzo trudną do przebycia bez napędu na cztery koła. Niestety, czasami i ten wytwór cywilizacji był bezsilny wobec potęgi natury w fascynującym i niepowtarzalnym klimacie afrykańskim. Do tej pory kilkakrotnie musiałem z pokorą uznać jej wyższość i grzęznąc na drodze, zmuszony byłem prosić o pomoc miejscowych mieszkańców. Tym razem, bez większych problemów, szczęśliwie dotarłem do niewielkiego kościoła w Muyumbu.

W chwili rozpoczęcia pierwszej Mszy świętej o blaszany dach świątyni uderzały ostatnie krople zanikającego deszczu. To robiło ogromne wrażenie, kiedy po dwugodzinnej ulewie natychmiast pojawiała się ostre słońce, któremu często towarzyszyła kolorowa tęcza.

Po zakończeniu Eucharystii, jak zwykle usiadłem na krześle, przy którym ustawiła się spora kolejka do spowiedzi. Po kilkunastu minutach, kiedy udzielałem absencji ostatniemu penitentowi, kościół wypełnił się śpiewem miejscowego chóru dziecięcego. Był to znak do rozpoczęcia drugiej Mszy św. Po założeniu ornatu ruszyłem do ołtarza. W kościele zrobiło się

już bardzo ciepło. Pałące słońce coraz bardziej nagrzewało blaszany dach świątyni, znacznie podnosząc temperaturę w jej wnętrzu. Zrobiło się bardzo gorąco i duszno.

Kiedy uniosłem białą Hostię, wypowiadając jednocześnie słowa: oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata... - usłyszałem głuchy odgłos uderzenia o ziemię. Po prawej stronie ołtarza powstało zamieszanie. W chwilę potem zauważyłem kilkunastoletniego chłopca podnoszonego przez dwie kobiety, które wypro-

165

wadziły go na zewnątrz. Przez chwilę ogarnął mnie dziwny niepokój. Chłopiec wydawał mi się dziwnie znajomy. Staralem się dokończyć Mszę świętą z należyтым skupieniem i namaszczeniem, ale nie przychodziło mi to łatwo. Ukradkiem spoglądałem w kierunku drzwi wejściowych, mając nadzieję, że lada moment pojawi się w nich chłopiec, który zaśląbł. Niestety, on się już nie pojawił. Po załatwieniu kilku spraw kancelaryjnych, natychmiast ruszyłem przed kościół, aby dowiedzieć się, co się dzieje z chłopcem. Odetchnąłem, gdy zauważyłem go siedzącego na stopniach świątyni. Podeszedłem do niego i usiadłszy obok, położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

Chłopiec nie zareagował, nadal trzymając pochyloną głowę w dłoniach, które zakrywały część jego wychudzonej twarzy. Zauważyłem, że chłopiec ma ogromną bliznę ciągnącą się od czoła aż po tył głowy. W tym zagłębieniu można by z łatwością ukryć cały palec. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że to właśnie ten chłopiec, na którego wiele razy spoglądałem zaintrygowany ową blizną, świadcząca o przeżyciu jakiejś osobistej tragedii.

- Czy coś cię boli? Odpowiedz, proszę. Chcę ci pomóc - dodałem, lekko poklepując go po ramieniu.

Chłopiec powoli podniósł głowę i zmęczonymi oczyma spojrzął na mnie.

- Jak masz na imię? - zapytałem.

- Juvenal - odpowiedział po chwili.

- Co się stało w kościele? Jesteś chory?

- Nie, to nic poważnego. Zrobiło mi się słabo i kiedy świat nagle zawirował wokół mnie, upadłem. Ojczy, to zaraz minie - dodał.

Nie przekonał mnie. Wewnętrznie odczuwałem, że chłopiec ma poważne problemy. Chciałem mu pomóc.

- Juvenal, czy jadłeś coś dzisiaj? Chłopiec przecząco pokręcił głową, mówiąc:

166

- Nie, ojczy.

Przypomniałem sobie o kanapce z serem, którą miałem zjeść w przerwie pomiędzy pierwszą a drugą mszą świętą, jednak duża liczba penitentów nie pozwoliła na to.

- Zostań tutaj. Zaraz wracam - powiedziałem, ruszając w stronę samochodu. W chwilę potem wręczyłem chłopcu kanapkę i butelkę z wodą.

- Zjedz, proszę, abys miał siłę powrócić do domu.

- Padri, nie mam domu... - powiedział smutnym głosem, rozwijając kanapkę.

- A rodzina, rodzice? - zapytałem odruchowo. Chłopcem wstrząsnęło. Przerwał rozpakowywanie kanapki.

Ponownie nisko opuszczając głowę, żałośnie wyszeptał:

- Nie mam. Wszyscy zginęli.

- Juvenal, wiem, że to nic nie zmieni, ale jeśli możesz, opowiedz mi o tym. Na pewno będzie ci lżej.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Tylko w konarach rosnącego obok potężnego drzewa, jak na ironię, koncertowało kilka ptasich rodzin, prześcigając się w radosnym szczebiocie. Wiem, że chłopiec musiał w tej chwili bardzo cierpieć, ale powoli i nieśmiało zaczął opowiadać:

- Miałem kiedyś mamę, tatę i trójkę rodzeństwa. Mieszkaliśmy tam - wskazał kierunek - niedaleko stąd, jakieś 2 km drogi. W kwietniu 94 roku ktoś nas ostrzegł, że wszyscy Tutsi muszą opuścić Muyumbu. Opowiadał straszne rzeczy, że w wielu wioskach zabijano wszystkich Tutsi. Część rodzin zaraz uciekła, inni zwlekali. Tata też zwlekał, przecież trzeba było porzucić cały dobytek. Tego strasznego dnia, gdy poszedłem po wodę, usłyszałem pierwsze wrzaski i rozpaczliwe jęki dobiegające z różnych stron wioski. Zacząłem się panicznie bać. Porzuciłem bidon z wodą i szybko pobiegłem w kierunku domu. Wokół rozpętało się prawdziwe piekło. Wszyscy uciekali w wielkim popłochu, potykając się o konających. Zewsząd słyszałem jęki, płacz,

167

krzyk, głuchoe odgłosy ciosów zadawanych motyką i świst raa-czet. Wszędzie lała się krew. Wreszcie cudem udało mi się dotrzeć na nasze podwórko. Niestety, była już tam grupa ludzi uzbrojona w jakieś pałki i maczety. Kilku z nich wyprowadzało z domu rodziców i rodzeństwo. Przyspieszyłem kroku, aby ich dogonić. Biegając, prosiłem Boga, by oszczędził mi widoku mordowania najbliższych. Kiedy znalazłem się już tuż przy nich, przewróciłem się, bo ktoś podstawił mi nogę. Upadłem na ziemię tuż przed stopami rodziców. Podnosząc się, kątem oka spojrzałem na nich ostatni raz. W tym momencie nad moją głową usłyszałem świst maczety. Odruchowo przykurczyłem nogi w kolanach. Przez moment poczułem ostre pieczenie w okolicach czaszki i ciemność przed oczami. Znowu upadłem na ziemię...

Chłopiec przerwał opowiadanie, kryjąc twarz w dłoniach. Objąłem go bardzo mocno. Byłem przerażony jego opowieścią. Po chwili Juvenal odezwał się znowu.

-Tego samego dnia wieczorem odzyskałem świadomość dzięki psu, który lizał moją ranę na głowie. Pojękując z bólu, próbowałem wydostać się spod sterty ciał moich bliskich, ale byłem zbyt słaby na skutek utraty krwi. Wówczas usłyszałem nieopodal odgłosy przyciszonej rozmowy. Słabnącym głosem zacząłem wołać o pomoc. Kilka minut później jedna z rodzin Hutu, która powróciła, by zobaczyć, co stało się z mieszkańcami z plemienia Tutsi, wyciągnęła mnie spod sterty ciał zamordowanych rodziców i rodzeństwa. Narażając własne życie zaopiekowali się mną, powoli przywracając do życia...

Chłopiec zamilkł. „To straszne” - pomyślałem, spoglądając na sierotę. Ogarnęło mnie przejmujące uczucie żalu i współczucia. Wstając, jeszcze raz spojrzałem na bliźnię na głowie chłopca i wróciłem do samochodu. Wyjąłem z saszetki pięćsetfrankowy banknot i dyskretnie wcisnąłem mu go do kieszeni.

Nadszedł czas pożegnania. Musiałem wracać do domu, aby moi współbracia się nie martwili. Poprosiłem chłopca, aby jak

168

najprędzej przyszedł do biura parafialnego w Masaka. Wiedziałem, że trzeba mu będzie jakoś pomóc. Pomyślałem o ruchu Adopcja Serca. W drodze powrotnej, z sercem przepelnionym uczuciem żalu, myślałem o jakże okrutnie doświadczonym przez los spotkanym chłopcu. A przecież w tym kraju podobnych jemu dzieci były tysiące.

Niestety, mijały dni i tygodnie, a chłopak nie pokazał się w Masaka. Jak się później dowiedziałem od miejscowych pasterzy, wyruszył on w poszukiwaniu pracy do Kigali i od tamtej pory ślad po nim zaginął.

Ogromna bieda zarówno dzieci, jak i dorosłych mieszkańców naszej parafii każdego dnia na nowo stawiała się największym wyzwaniem do walki z jej skutkami. Podejmowaliśmy ją odważnie, ale potrzeby najbiedniejszych wciąż przewyższały nasze możliwości i środki, którymi dysponowaliśmy. Nasz proboszcz, ks. Stanisław Kantor, niestrudzenie zabiegał o pomoc materialną, przygotowując wciąż nowe projekty, a następnie po zatwierdzeniu ich przez Zarząd Regii św. Rodziny i za jej pośrednictwem, wysyłał je do różnych krajów europejskich. Część z nich trafiała także do Pallotyńskiego Sekretariatu Misyjnego Prowincji Chrystusa Króla w Warszawie. Dzięki ogromnemu osobistemu zaangażowaniu sekretarza do

spraw misji ks. Stanisława Kuracińskiego, który dwoił się i troił, pukając do drzwi różnych organizacji i instytucji charytatywnych, nie tylko w Polsce, ale i za granicą, wiele z tych projektów mogło być zrealizowanych. I tak, między innymi, dzięki pomocy finansowej płynącej z Polski za staraniem Sekretariatu Misyjnego, mogliśmy systematycznie zapełnić parafialny magazyn „Caritasu” żywnością, niezbędnymi narzędziami rolniczymi, takimi jak motyka czy maczeta, oraz przedmiotami codziennego użytku, jak blaszane naczynia do gotowania.

Każdy wtorek był dniem udzielania pomocy doraźnej najbiedniejszym i najbardziej potrzebującym mieszkańcom całej parafii. Tych, którzy szukali pomocy, przewijały się setki. W skali mie-

169

siąca były to tony rozdanej żywności i wiele sztuk narzędzi rolniczych, i innych rzeczy niezbędnych w życiu codziennym.

Wielu parafian, którzy podjęli się reperacji czy odbudowy zniszczonych w czasie wojny domów otrzymało naszą pomoc w postaci okien, drzwi i blachy do pokrycia dachów. Był to jeden z projektów zrealizowanych przy pomocy „Caritasu” diecezjalnego w Kigali, oczywiście dzięki zapobiegliwości i usilnym staraniom naszego proboszcza, ks. S. Kantora. Innym projektem, który okazał się bardzo pomocnym w sprawniejszym funkcjonowaniu parafii, również w zakresie pracy charytatywnej, było wyposażenie w rowery około dwudziestu katechetów i szefów poszczególnych central misyjnych. To pozwoliło im na łatwiejszy i częstszy kontakt z proboszczem i radą parafialną w Masaka. Jeszcze inne formy działalności naszego „Caritasu”, to pomoc niesiona najbiedniejszym rodzinom wielodzietnym. Blisko 200 takich rodzin otrzymało kozy. Rodziny te były zobowiązane do przekazania pierwszej młodej kózki, przychodzącej na świat z otrzymanej samicy, innej biednej rodzinie. Wówczas dopiero koza, którą otrzymali, stawała się ich własnością i mogli uczynić z nią to, co chcieli.

Naszą opieką objęliśmy kilka szkół podstawowych, pomagając w reperacji dachów, drzwi i prostych uczniowskich ławek. Za przykład może posłużyć szkoła podstawowa w Kabuga. Pamiętaliśmy także o więźniach przetrzymywanych w gminie Kanom-be. Raz w tygodniu grupa charyzmatyczna działająca przy naszej parafii w Masaka przyrządzała posiłek na gorąco z kilkudziesięciu kilogramów fasoli i ryżu, a następnie zносиła go do więzienia przejściowego w Kanombe. Wielu uwięzionych tam ludzi korzystało z tej pomocy, okazując ogromną wdzięczność.

Dzięki pomocy Pallotyńskiego Sekretariatu Misyjnego otrzymywaliśmy dziesiątki kartonów z odzieżą, kocami i środkami czystości, które systematycznie rozdzielaliśmy najbiedniejszym. Większość kościołów w naszych centralach dojazdowych wypo-

170

sażona została w alby, komże i stroje ministranckie oraz paramenty liturgiczne, takie jak: kielichy, puszki czy pateny; a wszystko to również dzięki Sekretariatowi Misyjnemu.

Długofalową pomocą objęliśmy część młodzieży, która mogła rozpocząć naukę w szkołach średnich na terenie całej Rwandy. Były to sieroty lub półsieroty, których rodzice zostali zamordowani w czasie masakr ludności cywilnej w 1994 roku. Nasza pomoc polegała na opłaceniu chesnego. Takiej młodzieży było ponad setkę, chociaż liczba chętnych do podjęcia nauki była kilkakrotnie większa. Na ten cel środki finansowe parafia otrzymywała z Niemiec, dzięki ogromnemu zaangażowaniu ze strony państwa Mohr, którzy wiele razy przybywali do Rwandy. Utrzymywali oni stały i bardzo serdeczny kontakt z ks. Stanisławem Filipkiem - przełożonym Regii świętej Rodziny. Dzięki ich pomocy ponad setka młodych chłopców i dziewcząt nie będzie musiała spędzić życia z motyką w ręku, często głodując bez środków do życia. Przed nimi na nowo zabłyśło światło nadziei.

Najpiękniejszą formą pracy charytatywnej w parafii w Masaka jest Adopcja Serca, w którą od samego początku najbardziej zaangażował się ks. Stanisław Kantor. Polega ona na otoczeniu stałą i długofalową opieką konkretnego dziecka - sieroty przez rodzinę adopcyjną w Polsce. Opieka nad sierotą polega generalnie na wsparciu materialnym i duchowym. Każdego miesiąca rodzina adopcyjna przekazuje na utrzymanie rwandyjskiej sieroty 15 dolarów USA. Suma ta pozwalała na zakup żywności i wykształcenie dziecka w zakresie szkoły podstawowej. Pomysłodawcą idei Adopcji Serca jest pan Wojciech Zięba, który odwiedził Rwandę w 1996 roku i miał okazję naocznie przekonać się o tragicznej sytuacji, w jakiej znalazły się tysiące sierot rwandyjskich. W gdańskim ośrodku ruchu Maitri, którym kierował pan Wojciech, po jego powrocie z Afryki narodziła się nowa forma pomocy na rzecz ofiar wojny domowej w Rwandzie i Republice Demokratycznej Konga - Adopcja Serca. Dzięki zacieśnieniu

171

współpracy między gdańskim ośrodkiem Maitri a Pallotyńskim Sekretariatem Misyjnym w Warszawie, Adopcja Serca zaczęła się pięknie rozwijać, przynosząc błogosławione owoce, tu na miejscu w Rwandzie, w postaci setek uratowanych rwandyjskich sierot.

W naszej parafii liczba sierot, które znalazły już swoje rodziny adopcyjne w Polsce, sięgała prawie dwustu i wciąż rosła. Ksiądz proboszcz stworzył kilkusobową ekipę ludzi świeckich, którzy pomagali mu w przygotowaniu kolejnych list z danymi personalnymi nowych sierot, przedstawianych do Adopcji Serca. Współpracował z wszystkimi szefami odpowiedzialnymi za pracę „Caritasu” w poszczególnych centralach dojazdowych całej parafii. To oni byli odpowiedzialni za udzielanie pomocy biednym na terenie konkretnej centrali. Oni też, z grupą swoich współpracowników, mieli zatroszczyć się o dzieci z najbiedniejszych rodzin i o sieroty. W skrajnych przypadkach informowali księdza Kantora o konieczności szukania pomocy dla niektórych z nich poprzez Adopcję Serca.

Owego dnia od rana na placu przykościelnym i przed budynkiem, w którym mieściły się biura parafialne, gromadziło się coraz więcej ludzi. Tak jak w każdy wtorek, przychodzili oni do ks. proboszcza z różnymi sprawami i potrzebami, gdyż był to wyznaczony przez niego dzień na załatwianie indywidualnych spraw ze wszystkich przynależących do naszej parafii central.

Zdecydowaną większość przybyłych stanowili biedni, szukający pomocy materialnej.

Po odprawieniu porannej Mszy świętej wyszedłem przed kościół, przed którym zaparkowany był samochód sióstr pallotynek. W chwilę potem, po przekazaniu im kilku listów przywiezionych wczoraj z Kigali, ruszyłem w stronę bramy wjazdowej na wewnętrzne podwórze parafii. Przechodząc tamtędy miałem okazję przyjrzeć się bliżej dzisiejszym interesantom. Większość z nich wyglądała na bardzo biednych i chorych. Wśród nich by-

172

ły osoby kalekie. Rozpoznałem też twarze kilku stałych wtorkowych bywalców, przychodzących prosić o żywność. Była również grupa dzieci, którym towarzyszyły nędznie ubrane starsze kobiety. Na myśl przychodziły mi sceny z Ewangelii, gdy ludzie garnęli się do Jezusa z nadzieją, że ich uzdrowi i nakarmi.

Po śniadaniu miałem pojechać do Kigali, by przywieźć kolejną partię amabati - czyli falistej blachy, służącej do pokrycia dachu domów. W najbliższych dniach miały ją otrzymać najbiedniejsze rodziny, które dzięki pomocy sąsiadów wybudowały surowe ściany domów z glinianych pustaków. Okna, drzwi i pokrycie dachu mieli otrzymać w ramach pomocy charytatywnej naszej parafii i „Caritasu” diecezjalnego w Kigali. Kiedy kończyłem przygotowanie do wyjazdu, zaopatrując się w odpowiednie dokumenty, za oknami pokoju usłyszałem głos proboszcza:

- Romek, możesz przyjść na chwilę do biura?

W chwilę potem znalazłem się przy boku ks. proboszcza, który rozmawiał ze znanym mi dobrze szefem „Caritasu” naszej centrali misyjnej w Nyakagarama. Obok niego stało dwoje

wychudzonych dzieci i dwie starsze kobiety, które spotkałem wcześniej, wychodząc z kościoła.

- Dobrze, że już jesteś. Mam tutaj dwie sieroty do Adopcji Serca. Zajmij się nimi. Zrób, co potrzeba, aby ich karta informacyjna była przygotowana do wciągnięcia na ostatnią listę sierot. Jak skończysz, to zwołaj mnie, bo będę musiał zrobić im zdjęcie.

- Oczywiście - odpowiedziałem, zabierając ze sobą dzieciaki i towarzyszące im kobiety. Tak jak to zazwyczaj robił ks. Staszek, najpierw zaprowadziłem je do pomieszczenia, w którym przechowywaliśmy całą dotychczasową dokumentację wszystkich adoptowanych dzieci. Tutaj pracował Jan-Vianey, młody Rwandyjczyk, prowadzący administrację Adopcji Serca. Po przywitaniu poprosiłem go, by przygotował dwie karty informacyjne dla oto tych nowych kan-

173

dydatek do adopcji. Były to dziewczynki w wieku siedmiu i dziewięciu lat. Okazało się, że starsza z pań, które im towarzyszyły, była babcią młodszego dziecka, a druga - najbliższą sąsiadką wymordowanej rodziny starszej dziewczynki.

- No, to do pracy - zwróciłem się do Jana, wskazując na puste jeszcze rubryki karty informacyjnej dziecka.

Karta taka zawierała następujące informacje dotyczące sieroty: imię i nazwisko dziecka, jego wiek, datę i okoliczności śmierci rodziców, liczbę rodzeństwa i dane personalne ewentualnych żyjących krewnych, opis warunków materialnych i miejsca przebywania.

- O wszystko możesz zapytać te kobiety - powiedziałem, czyniąc lekki ukłon w stronę dwóch nieco stremowanych staruszek.

Spojrzałem na dziewczynki, były w starych pobrudzonych sukienkach. „Muszę im znaleźć coś lepszego, bo jakże by robić im zdjęcie w takich sfatygowanych strojach. Przyszli rodzice adopcyjni mogliby się ich przestraszyć” - pomyślałem.

Udałem się do magazynu z rzeczami dla biednych i po kilku minutach poszukiwań w jednym z kartonów znalazłem kilka ładnych sukienek. „Któraś z nich powinna pasować” - pomyślałem. Kiedy powróciłem do biura, Jan kończył już wypełniać drugą ankietę. Po chwili usłyszałem z jego ust: - Gotowe. Dziękując, zabrałem ankietę i wyszliśmy na zewnątrz. Teraz czekała nas operacja mierzenia dziewczynek. Trzeba było to zrobić, aby uszyć dziewczynkom szkolne mundurki. W przypadku dziewczynek była to jednolita sukienka koloru niebieskiego, chłopcy natomiast otrzymywali dwuczęściowy mundurek składający się z krótkich spodni i koszuli z krótkim rękawem koloru jasnobrązowego. Wszystkie dzieci zakwalifikowane do Adopcji Serca otrzymywały takie jednolite stroje, które szyte były tutaj na miejscu w Masaka przez nasze dwie szwaczki.

Zaprowadziłem sieroty do szwalni. Mierzenie poszło sprawnie, po czym jedna z pań zanotowała nazwiska i miejsce pobytu

174

obu dziewczynek. Teraz pozostało już tylko zrobienie kolorowego zdjęcia, które wraz z kartą informacyjną będzie przesłane przyszłym rodzicom adopcyjnym. Ale przedtem chciałem, aby dziewczynki założyły nowe sukienki. Po kilku minutach obie, już przebrane, stanęły w drzwiach. Wyglądały ślicznie. Podeszedłem do dzieci i uśmiechając się do nich, zakomunikowałem, że te sukienki są już ich własnością i mogą je sobie zatrzymać. Jeszcze tylko zdjęcie i dokumentacja dwóch kolejnych sierot będzie gotowa. Zaprowadziłem dziewczynki na skraj ogrodu, gdzie rosło dużo kwiatów.

- Księżę proboszczu, można już robić zdjęcia. Dziewczynki czekają tam, gdzie zawsze. A to są ich karty informacyjne - powiedziałem, kładąc je przed księdzem Kantorem.

Dochodziła dziesiąta. Mój wyjazd do Kigali nieco się opóźnił, ale wcale tego nie żałowałem. Za każdym razem, kiedy widziałem ks. Staszka idącego z aparatem fotograficznym, by zrobić zdjęcie kolejnemu dziecku, cieszyłem się ogromnie, bo wiedziałem, że kolejny raz życie

małej rwandyjskiej sieroty zostało uratowane. Warto było się urodzić, warto było przyjąć święcenia kapłańskie, warto było przyjechać do Rwandy i podjąć trud pracy misyjnej, aby pomóc chociażby jednej sierocie w znalezieniu rodziny zastępczej poprzez Adopcję Serca! I gdyby za moment przyszło pożegnać się z życiem, odchodziłbym z tego świata z poczuciem wypełnienia mojej kapłańskiej misji i dobrze spełnionego obowiązku.

Kolejne miesiące posługi duszpasterskiej i charytatywnej mijały bardzo szybko. Przed wyjazdem na misje, nigdy bym nie pomyślał, że aż tak ważne jest świadectwo własnego życia, okazywane poprzez solidarność i trwanie pośród najbiedniejszych. Nawet najbardziej płomienna homilia nie była w stanie tak przemówić do miejscowej ludności, jak konkretny czyn miłości względem biednego, zastraszonego, pogrążonego w cierpieniu i beznadziejności Rwandyjczyka.

175

Tutaj w Rwandzie uświadomiłem sobie, że duszpasterstwo opierające się na posłudze sakramentalnej musi iść w parze z posługą charytatywną, gdyż wówczas nasze przepowiadanie i głoszenie Dobrej Nowiny o zbawieniu nabiera innego, głębszego wymiaru w oczach ludzi, do których zostaliśmy posłani. Nie można pochylać się nad ich biedą duchową i moralną bez jednoczesnego pochylania się nad nędzą materialną. Dlatego też tak bardzo podziwiałem ks. Stanisława Kantora, który umiał doskonale połączyć te dwa aspekty posługi misyjnej, uwzględniając je w każdym, nawet krótkofalowym planie duszpasterskim naszej wspólnoty w Masaka. Jednak jak trudne to było zadanie, przekonałem się osobiście wtedy, gdy przyszło mi przejąć obowiązki kierowania pracą duszpasterską i charytatywną w czasie jego pięciomiesięcznego wyjazdu do Ziemi Świętej.

Rozpocząłem od przygotowania planu pracy duszpasterskiej na zbliżający się wielkimi krokami okres Wielkiego Postu 1999 roku. By zdążyć na czas przygotować całą parafię na przeżywanie świąt Zmartwychwstania Pańskiego, byłem zmuszony poprosić współbraci ze wspólnoty na Gikondo o pomoc w udzielaniu sakramentu pokuty w kilku większych centralach. W planie umieściłem wizyty u chorych, połączone z posługą sakramentalną w poszczególnych centralach, i spowiedź uczniów w kilku największych szkołach podstawowych w naszej parafii. Nie mogłem zapomnieć o dwustu sierotach z Adopcji Serca, które rozsiane były po wszystkich centralach dojazdowych. Ustaliłem, że będą one odbierały swoje miesięczne racje żywności, środki czystości czy pomoce szkolne przy okazji spowiedzi wiernych, w ściśle określonych terminach dla poszczególnych central, o których dowiedzą się po otrzymaniu szczegółowego harmonogramu pracy duszpasterskiej na okres Wielkiego Postu. Wówczas dzieci same lub z opiekunami zgłoszą się po odbiór żywności.

Dochodziła dwunasta w nocy, kiedy zamknąłem brewiarz

1 gasząc światło, położyłem się spać. Za kilka minut miał się roz-

176

począć ostatni poniedziałek przed Wielkim Postem. Miał być on dla mnie bardzo pracowity, gdyż zaplanowałem duże zakupy artykułów przeznaczonych dla sierot z Adopcji Serca.

Chciałem, aby cała żywność i pomoce szkolne, które planowałem nabyć, znalazły się w magazynie jeszcze przed Środą Popielcową, tak by rozpoczynając realizację harmonogramu pracy wielkopostnej, móc jednocześnie rozpocząć dystrybucję zakupionych rzeczy.

Powanny śpiew ptaków i przebijające się nieśmiało pierwsze promienie światła wdzierały się do pokoju. Otwierając oczy, moją pierwszą myśl skierowałem ku Bogu, dziękując mu za ten nowy rozpoczynający się dzień, który mi ofiarował. „Obym tę kolejną, pustą jeszcze, stronę księgi mojego życia mógł zapisać zgłoskami miłości ku Tobie i moim bliźnim, Panie” - westchnąłem. Z oddali dobiegł przeciągły ryk krowy. „Pora wstawać” - pomyślałem, bo cały pokój wypełnił się już światłem poniedziałkowego poranka. Po porannej Mszy świętej, którą odprawiłem w kaplicy sióstr pallotynek, wyruszyłem do Kigali



W centrum zakupiłem 10 kartonów zeszytów i 10 paczek długopisów. „Jeszcze tylko kupię szare mydło i mogę wracać do Masaka”. Ale to nie koniec dzisiejszych zakupów. Tydzień temu zamówiłem w Kabuga 4 tony żywności. Czekala mnie ciężka praca przy załadunku worków z sorgo i fasolą. Przebrałem się i ruszyłem do samochodu. Po drodze zajrzałem do kuchni, gdzie nasz młody kucharz Oskar doprawiał bulgoczącą na ogniu zupę.

- Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym!

Wsiadając do samochodu, spojrzałem na błękitne niebo, po którym majestatycznie żeglowało kilka wielkich pierzastych chmur o śmiesznych kształtach. Pogoda do przewożenia żywności - idealna. „Panie, spraw, by taka pogoda utrzymała się do końca dnia” - westchnąłem, uruchamiając silnik. Czekalo mnie kilka kursów z Kabuga do Masaka i z powrotem.

177

Zjeżdżając w stronę Kabuga, zabrałem po drodze kilkoro dzieci i kobiet niosących jakieś zawiniątka. Mimo że dochodziło południe i było już bardzo gorąco, na targowisku uwijało się bardzo dużo ludzi. Nic dziwnego, był to największy bazar w okolicy, na którym zaopatrywali się nie tylko okoliczni mieszkańcy, ale nawet i niektórzy handlarze z Kigali.

Mój sprzedawca czekał już przed magazynem. Był to szczupły, wysoki starzec w ogromnym kapeluszu na głowie.

- Muraho padri! - zawołał, zdejmując jedną ręką kapelusz z głowy.

- Muraho - odpowiedziałem, ściskając jego wyciągniętą na powitanie dłoń.

- Padri, twateguye byose (ojcze, przygotowaliśmy wszystko, co zamówiłeś) - powiedział, wskazując na wnętrze budynku, gdzie stało mnóstwo worków.

„Czeka mnie niezła zaprawa” - pomyślałem, otwierając tylną klapę samochodu. Natychmiast wokół pojawiła się gromadka dzieciaków, które pozdrawiając mnie serdecznie, oferowały swoją pomoc. Czym innym jednak było dźwiganie reklamówek z towarem, a czym innym 50-kilogramowych worków. Są za ciężkie. Zamiast noszenia worków zaproponowałem więc dzieciom pilnowanie samochodu, co przyjęły z ogromną radością.

Spluwając w dłonie, ruszyłem po pierwszy worek rozpoczynając od załadunku fasoli. Po kilku minutach na skrzyni samochodu wylądowało już kilka worków. Nie było to zbyt trudne. Najwięcej kłopotu sprawiało mi zarzucenie worka na plecy, ale wszystkie dzieciaki ogromnie mnie dopingowały i kiedy pojawiałem się przy samochodzie i zrzucałem kolejny worek, nagradzały mnie gromkimi oklaskami. Zrobiło się bardzo gorąco. Moja koszulka była już zupełnie mokra. Pot wypływał mi spod czapki i zalewając oczy, dotkliwie szczypał. Z nieba lał się żar południowego afrykańskiego słońca. Powoli kończyłem załadunek pierwszych szesnastu worków, które wydawały się być coraz

178

cięższe. W końcu z wielką ulgą zasiadłem za kierownicą, powoli ruszając załadowanym po brzezi samochodem. Przyłożyłem do wysuszonych ust butelkę z wodą, opróżniając ją w kilka sekund

Pierwszy transport żywności dotarł szczęśliwie do Masaka. Nie przebierając się, szybko jadłem obiad. Kucharz powiedział mi, że ks. Antoine jest zajęty, a brat Jan-Vianey nie powróci: jeszcze ze szkoły, w której nauczał. Zjadłem szybko i pobiegłem do samochodu. Ku mojej radości, był już gotowy do kolejnego kursu. Zabrałem więc ze sobą ogrodnika i ruszyliśmy w drogę. Na miejscu w Kabuga jego pomoc okazała się zbawienna. Zała dunek przebiegał znacznie szybciej i sprawniej. Kiedy podczas trzeciego kursu składaliśmy na samochodzie ostatnie worki z fa solą, ucieszyłem się niezmiernie, bo miałem nadzieję, że sorgo (nie będzie tak dotkliwie uwierać w kark i plecy jak fasola).

Okazało się jednak, że fasola nie była wcale taka uciążliwa, bo choć worki ugniatały dotkliwie jak gdyby były wypełnione drób nymi morskimi kamieniami, nie przeszkadzało to jednak w normalnym oddychaniu. Kiedy dobraliśmy się do worków z dobrzy wysuszonymi

ziarnami sorgo, wokół zaczęły się unosić tuman; pyłu, który wciskając się do oczu, gardła i nosa, podrażniał je do tkliwie. Po przeniesieniu kilku worków na samochód, który ca; tonął w tumanach kurzu, na zmianę z kucharzem zaczęliśmy gło śno kichać. Wywołało to burzę śmiechu wśród dzieci. Pomimi łaskotania w nosie i drapania w gardle, z uporem kontynuowali śmy załadunek kolejnych worków sorgo. Na szczęście w maga zynie robiło się coraz bardziej pusto, co oznaczało bliski konie pracy.

Pozostał nam jeszcze ostatni, piąty już kurs. W drodze z nic pokojem spoglądałem na słońce, które teraz bardzo szybko zde wało się spadać z firmamentu nieba. Dojeżdżając do Kabug; spojrzalem na zakurzoną tarczę zegarka. Dochodziła godzin osiemnasta. Po uregulowaniu należności za całą zakupioną żyw ność, przystąpiliśmy do załadowania ostatniej partii.

n

Byłem już potwornie zmęczony, podobnie jak i ogrodnik, który również dzielnie pomagał. Raz po raz ocierałem twarz rękawem koszulki, która zamieniła się w szarą od brudu i lepka od potu szmatę. Coraz bardziej bolały pocięte plecy. Wszystko swędziało od potu pomieszanego z kurzem. Kiedy ręce zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, a każdy metr pomiędzy magazynem a samochodem przemierzany z kolejnym workiem wydawał się być kilometrem, myślałem, że nie dam już więcej rady. „Panie, dopomóż” - westchnąłem w głębi serca. Obciążony jednym z ostatnich worków, chwiejnym krokiem zbliżałem się do samochodu. Kiedy poczułem, że zaczyna mi się wyślizgiwać z dłoni i powoli zjeżdżać po plecach, zacisnąłem zęby. Nagle na myśl przyszły mi nasze sieroty z Adopcji Serca, które już za kilka dni będą mogły najeść się do syta, przyrządzając fasolę na gorąco lub pijąc bulion ze zmielonego ziarna sorgo. „Panie, dodaj sił” -jęknąłem, wrzucając worek na samochód. Za oknami słychać było bardzo delikatne cykanie świerszczy. Kończyłem ten pracowity dzień modlitwą brewiarzową. Ręce drżały mi jeszcze ze zmęczenia do tego stopnia, że z trudem odczytywałem kolejne wersety modlitwy. Po jej zakończeniu, z sercem wypełnionym ogromną radością i pokojem zarazem położyłem się na nocny odpoczynek. Leżąc w łóżku, miałem wrażenie, jak gdyby ciężki walec przejechał po wszystkich moich kościach, zadając dotkliwy ból. Powoli zamknąłem powieki.

Dobiegał końca okres Wielkiego Postu. Dzięki pomocy współbraci z Gikondo, szczególnie ks. Tadeusza Małachwiejczy-ka i ks. Józefa Barana, przygotowanie wiernych z poszczególnych central do świąt Wielkiej Nocy przebiegało zgodnie z wyznaczonym harmonogramem duszpasterskim. Przy okazji posługi sakramentalnej poznawałem kolejne sieroty z Adopcji Serca, które przychodziły po odbiór żywności, mydła i zeszytów. Często towarzyszyli im opiekunowie, którzy pomagali, zwłaszcza

180

najmniejszym dzieciom, w dźwiganiu otrzymanej żywności i pozostałych rzeczy. Poza radością związaną ze sprawowania sakramentów, były to dla mnie najpiękniejsze chwile; ze łzami w oczach spoglądałem na ocalone sieroty, stojące grzecznie w kolejce po odbiór żywności. Z nieukrywaną radością i błyskiem w oczach spoglądały na worki z fasolą i sorgo oraz na porozkładane przybory szkolne i mydło. Jakie szczęście emanowało z tych dzieci, które odchodziły już od nas i siadały w salce obok, by napisać list do swoich adopcyjnych rodziców z Polski, dziękując za otrzymaną pomoc. Pisząc samodzielnie lub z pomocą opiekuna, znowu mogły przelać na papier te jakże drogie każdemu dziecku słowa: kochana mamo, tato, kochani rodzice. Tak rozpoczynały się wszystkie listy pisane przez rwandyjskie sieroty: Ku mubyeyi wanjye nkunda cyane (Do mojego bardzo kochanego rodzica).

Zastanawiałem się, co odczuwały wówczas w swoim sercu.

Na myśl przychodziły słowa Jezusa: ...cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili... Gdyby te wszystkie wspaniałe osoby, które podjęły trud adopcji, ratując dzieciom życie i niosąc im nadzieję, mogły teraz zobaczyć, jak promienieją radością i wdzięcznością, sądzę, że byłaby to dla nich najwspanialsza nagroda za okazaną im pomoc i

miłość. Jestem wdzięczny Bogu, że mogłem mieć i swój mały udział w tym jakże pięknym dziele niesienia pomocy rwandyjskim sierotom poprzez Adopcję Serca.

181

mi-

## EPILOG

Do momentu opuszczenia Rwandy w styczniu 2001 roku, w mojej pracy misyjnej wydarzyło się wiele rzeczy. W miarę upływu czasu wymieniali się współbracia, z którymi pracowałem. Miałem radość współpracowania w Masaka z moim kolegą kursowym, ks. Krzysztofem Minerem, jak i również z ks. Bogusławem Cabałą oraz kolejnym proboszczem, ks.

Theodorem Bahisha, pallotynem pochodzenia zairskiego. Wspólnie podejmowaliśmy wiele dzieł duchowych, które miały pomóc w pogłębieniu wiary wiernych naszej parafii. Liczba parafian systematycznie wzrastała, dzięki szeroko zakrojonej posłudze duszpasterskiej i sakramentalnej. Kontynuowaliśmy dzieła charytatywne. Niektóre z nich, jak np. Adopcja Serca, nadal pięknie się rozwijają.

Bezinteresowne i całkowite poświęcenie się pracy misyjnej kosztuje. Nieraz trzeba za nią płacić najwyższą cenę - utratę zdrowia. W listopadzie 1999 roku, tnąc na maszynie elektrycznej drewna na opał do kuchni, uległem wypadkowi. Cztery dni po przyszcyciu połowy kciuka prawej dłoni, na skutek silnej infekcji, która groziła amputacją całego palca, byłem zmuszony szukać pomocy w Europie. Po czteromiesięcznym leczeniu szpitalnym w Warszawie, zakończonym operacją plastyczną, kciuk został uratowany. Z krótszym i na zawsze usztywnionym już palcem, powróciłem do Rwandy. Z zapałem zabrałem się do pracy, jednak po kilku ciężkich malariach i przebyciu duru brzuszego, by nie być dodatkowym ciężarem dla współbraci, podjąłem decyzję o powrocie do Polski, motywując ją złym stanem zdrowia i chęcią podjęcia podyplomowych studiów teologicznych.

183

Nowy Rok 2001, który rozpoczynał trzecie tysiąclecie, przywitałem z kilkoma współbraćmi w kaplicy domowej na Gikondo. Mając w perspektywie najbliższych dni powrót do Polski, klęczałem przed Najświętszym Sakramentem i dziękowałem Bogu za ten czas posługi kapłańskiej w tym jakże pięknym, a zarazem tak okrutnie naznaczonym cierpieniem kraju. Prosiłem Go jednocześnie, aby nie pozwolił mi nigdy zapomnieć o Rwandzie, o jej mieszkańcach, szczególnie o tych najmniejszych i najbardziej pogrążonych w biedzie, oraz o moich współbraciach, z którymi Rwanda połączyła mnie na zawsze. „Jezu Chryste, Ty, który tak bardzo kochałeś dzieci, czy pozwolisz mi jeszcze tutaj powrócić?”

Kilka dni później, przechodząc na lotnisku w Kigali odprawę paszportową, usłyszałem głuchy odgłos stawianego stempla w moim paszporcie. Oto został zamknięty ważny odcinek historii mojej pracy misyjnej w Rwandzie. Czy na zawsze?...

## ORĘDZIE JANA PAWŁA II

Najdrożsi Bracia i Siostry! , >???

1. Wymowny obrzęd posypania popiołem rozpoczyna święty czas Wielkiego Postu, podczas którego liturgia ponownie wzywa wierzących do gruntownego nawrócenia i zaufania Bożemu miłosierdziu.

Temat wybrany w tym roku - A kto by jedno takie dziecko przyjął w imię moje, Mnie przyjmuje (Mt 18, 5) ~ skłania do refleksji nad sytuacją dzieci, które również dziś Jezus przywołuje do siebie i ukazuje jako przykład tym, którzy chcą stać się Jego uczniami. Słowa Jezusa każą zastanowić się, w jaki sposób traktowane są dzieci w naszych rodzinach, w społeczeństwie i w Kościele. Są także bodźcem do odkrywania prostoty i ufności, jakimi powinien odznaczać się wierzący, naśladując Syna Bożego, który dzielił swój los z małuczki i ubogimi. To miała na myśli święta Klara z Asyżu, gdy mawiała, że On „położony w żłobie, ubogi żył na ziemi i nagi pozostał na krzyżu” {Testament, Źródła Franciszkańskie nr 2841}.

Jezus kochał dzieci i patrzył na nie z upodobaniem, cenił bowiem ich prostotę i radość życia, ich spontaniczność i pełną zachwyty wiarę (por. Anioł Pański, 18.12.1994). Dlatego chce, aby wspólnota otwierała przed nimi ramiona i serce jak przed Nim samym: A kto by jedno takie dziecko przyjął w imię moje, Mnie przyjmuje (Mt 18, 5). Obok dzieci Pan Jezus wymienia „braci najmniejszych”, czyli biednych, potrzebujących, głodnych i spragnionych, cudzoziemców, nagich, chorych, uwięzionych. Jeżeli ktoś przyjmuje ich i kocha bądź

185  
traktuje ich z obojętnością i odrzuca, to tak samo postępuje wobec Jezusa, gdyż On jest w nich szczególnie obecny.

2. Ewangelia opowiada o dzieciństwie Jezusa w ubogim domu w Nazarecie, gdzie poddany swoim rodzicom czynił postępy w mądrości, w latach i w lasce u Boga i u ludzi (Łk 2, 51). Stając się dzieckiem, zechciał mieć udział w doświadczeniu ludzkim. Ogołocił samego siebie - pisze apostoł Paweł - przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi. A w zewnętrznej postaci uznany za człowieka, uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci i to śmierci krzyżowej (Flp 2, 7-8). Kiedy jako dwunastoletni chłopiec pozostał w świątyni jerozolimskiej, szukającym Go strapionym rodzicom powiedział: Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca? (Łk 2,49). Prawdziwie całe Jego istnienie było nacechowane ufnym i synowskim poddaniem Ojcu niebieskiemu. Moim pokarmem - mówił On - jest wypełnić wołę Tego, który Mnie posłał, i wykonać Jego dzieło (J 4, 34).

W latach swego życia publicznego powtarzał wiele razy, że tylko ci, którzy potrafią stać się jak dzieci, wejdą do Królestwa Niebieskiego (por. Mt 18, 3; Mk 10, 15; Łk 18, 17; J 3, 3). W Jego nauczaniu dziecko stanowi wymowny obraz ucznia, wezwanego, by z dziecięcą uległością szedł za Boskim Mistrzem: Kto się więc uniży jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim (Mt 18, 4).

„Stawanie się” maluczkimi i „przyjmowanie” maluczkich: to dwa wymiary tego samego nauczania, które Pan również w naszych czasach kieruje do swoich uczniów. Tylko ten, kto czyni siebie „maluczkiem” potrafi przyjąć z miłością „najmniejszych” braci.

3. Liczni wierzący próbują wiernie podążać za tym nauczaniem Pana. Chciałbym tutaj wspomnieć o rodzicach, którzy bez wahania

186  
biorą na siebie odpowiedzialność za rodzinę wielodzietną; o matkach i ojcach, którzy nie uznają za najważniejsze poszukiwania sukcesu zawodowego i kariery, lecz troszczą się o przekazanie dzieciom tych wartości ludzkich i religijnych, które nadają prawdziwy sens istnieniu.

Z pełnym wdzięczności podziwem myślę o tych, którzy podejmują się wychowania dzieci przeżywających trudności i starają się ulżyć im i ich krewnym w cierpieniach spowodowanych przez wojny i przemoc, przez brak jedzenia i wody, przez wymuszoną emigrację i tyle innych form niesprawiedliwości istniejących na świecie.

Obok takiej wielkoduszności trzeba jednak dostrzec również egoizm tych, którzy nie „przyjmują” dzieci. Nie brak nieletnich głęboko zranionych przez przemoc dorosłych: nadużycia seksualne, przymuszanie do prostytucji, wciąganie w sprzedaż i zażywanie narkotyków; dzieci zmuszane są do pracy lub rekrutowane do wojska, na całe życie pozostają urazy niewinnym z rodzin rozbitych; nie oszczędza maluczkich haniebnym handel organami i ludźmi. A co powiedzieć o tragedii AIDS i jego dewastujących następstwach w Afryce? Mówi się, że plaga ta obejmuje miliony ludzi, z których wielu to zarażeni od urodzenia. Ludzkość nie może zamykać oczu na tak zatrzważający dramat!

4. Cóż złego uczyniły te dzieci, że zasłużyły na takie cierpienia? Z ludzkiego punktu widzenia niełatwo, a może nawet nie sposób odpowiedzieć na to niepokojące pytanie. Tylko wiara pomaga nam wnikać w tak głęboką otchłań cierpienia. Stając się posłusznym aż do śmierci i

to śmierci krzyżowej (Flp 2, 8), Jezu przyjął na siebie ludzkie cierpienie i oświecił je jaśniejącym światłem zmartwychwstania. Swoją śmiercią na zawsze zwyciężył śmierć.

187

Podczas Wielkiego Postu przygotowujemy się do ponownego przeżywania Tajemnicy Paschalnej, która oświeca nadzieją całe nasze istnienie, nawet jego najbardziej złożone i bolesne wymiary. Wielki Tydzień, poprzez wymowne obrzędy Triduum Paschalnego, na nowo przybliży nam tę tajemnicę zbawienia.

Drodzy Bracia i Siostry, z ufnością rozpocznijmy wielkopostną drogę, ożywiani wzmożoną modlitwą, pokutą i wrażliwością na potrzebujących. Wielki Post niech będzie szczególnie sposobną okazją, aby poświęcić więcej troski dzieciom w środowisku rodzinnym i społecznym: one są przyszłością ludzkości.

5. Z charakterystyczną dla dzieci prostotą w modlitwie Ojcze nasz zwracamy się do Boga, nazywając Go tak, jak nas nauczył Jezus: Abba, Ojcze.

Ojcze nasz! Powtarzajmy często tę modlitwę podczas Wielkiego Postu, powtarzajmy ją z wewnętrznym uniesieniem. Przyzywając Boga, „Ojca naszego”, uświadomimy sobie, że jesteśmy Jego dziećmi i wspólnie pocujemy się braćmi. W ten sposób będzie nam łatwiej otworzyć serce dla maluczkich zgodnie z wezwaniem Pana Jezusa: A kto by jedno takie dziecko przyjął w imię moje, Mnie przyjmuje (Mt 18,5).

Z tą zachętą, za wstawiennictwem Maryi, Matki Wcielonego Słowa Bożego i Matki całej ludzkości, proszę Boga o błogosławieństwo dla każdego i każdej z Was.

Orędzie na Wielki Post 2004

188

APELE JANA PAWŁA II

„Błagam wszystkich mieszkańców Rwandy, a także rządzących państwami, które mogą przyjąć im z pomocą: niech uczynią nit zwłocznie wszystko, co tylko możliwe, by w tym kraju, tak boleśnie doświadczonym, otworzyły się drogi pojednania i odbudów

W imię miłości Chrystusa wzywam wiernych Kościoła katolickiego na całym świecie, by modlili się nieustannie o pokój na ziemi afrykańskiej oraz by okazali najdalej idącą solidarność wobec zagrożonym w otchłani cierpienia”.

Z przesłania do Kościoła i narodu rwandyjskiego

Rzym, 1994 r.

„(...) w duchowej łączności z biskupami Rwandy, którzy nie mogą być dzisiaj z nami, czuję się zobowiązany do apelów

O powstrzymanie rąk zabójców. (...) Powstrzymajcie tę przemoję! Powstrzymajcie tę tragedię!

Powstrzymajcie te bratobójcze m;

sakry!”

Z homilii papieskiej, Synod Biskupów dla Afryki

Rzym, 1994 r.

„Patrząc na nowo narodzonego Odkupiciela, możemy w Nim rozpoznać rysy każdego małego istnienia ludzkiego, jakie przychodzą na świat, każdej rasy i narodowości: maleńkiego

Palestyńczyka

I Izraelczyka; niemowlęcia z Ameryki i z Afganistanu; dziecka Hi tu i dziecka Tutsi...

Ratujmy dzieci, aby uratować nadzieję ludzkości! O to prosi nas z mocą Dziecię narodzone w Betlejem”.

Z orędzia na Boże Narodzenie 2004

U

Proponujemy konkretne, dostępne dla każdego, formy pomocy misyjnej:

## © PATRONAT MISYJNY

Możesz pomóc misjonarzom, biorąc jednego z nich w duchową opiekę. Patronat polega na codziennej modlitwie w intencji wybranego misjonarza. Może to być modlitwa z misyjnego obrazka z nazwiskiem misjonarza, różaniec lub każda inna, również ułożona własnymi słowami.

## WIECZERNIKI MISYJNE

Podczas wakacji organizujemy 9-dniowe wyjazdy dla dzieci i młodzieży, katechetów, „weteranów” wieczernikowych, studentów.

## •• 4\* PIELGRZYMKI

eMka prowadzi dwie grupy misyjne (Niebieska i Zielona) w Pieszej Pielgrzymce z Suwałk do Ostrej Bramy w Wilnie (15-25 lipca) oraz grupę Czerwono-Żółto-Zieloną w Pieszej Pielgrzymce z Warszawy na Jasną Górę (6-15 sierpnia).

## hi ZBIERANIE ZNACZKÓW

Ostemplowane znaczki wytnij z koperty lub kartki pół centymetra dookoła znaczka. Przyślij je do nas, my sprzedamy je jako tzw. makulaturę filatelistyczną. Pieniądze uzyskane za nie są przeznaczone dla sierot.

## DZIEŃ DZIECKA

Dwa razy w ciągu roku odprawiamy Mszę św. za naszych Współpracowników oraz w intencjach przez nich podanych: ( stycznia (Misyjny Dzień Dziecka) i 1 czerwca (Światowy Dzień Dziecka). Dobrowolna ofiara, którą złożysz z tej okazji, jest przeznaczona na konkretne projekty pomocy dla dzieci na mi sjach.

## ó KATECHEZY MISYJNE

Zaprosz na swoje katechezy eksperta z „eMki”. Przyjedzie siostr; albo ksiądz. Spróbuje zachęcić uczniów do większej odpowie działalności za misyjną działalność Kościoła.

## PALLOTYŃSKI SEKRETARIAT MISYJNY „eMka”

ul. Skaryszewska 12, skr. 255, 03-802 Warszawa

tel. 0(prefix)22 781 60 68, fax 0/prefix/22 781 67 59

e-mail: emka@pallotyni.pl www. pallotyni.warszawa.misje.pl

Nr konta bankowego; 3012401040 im OWO 0139 1388

## POMOC DZIECIOM RWANDY

Wojna w Rwandzie w latach 1994-1996 pozbawiła życia ponad dwa miliony ludzi. Najbardziej ucierpiały niewinne, osierocone, okaleczone na ciele i duchu dzieci. W wyniku działań wojennych utraciły nie tylko dach nad głową, ale przede wszystkim rodziców, rodzeństwo...

Do sierot wojennych dołączają dzieci, których najbliżsi giną w wyniku trwających ciągle konfliktów plemiennych. Po dzień dzisiejszy tysiące dzieci żyje w opłakanych warunkach.

Przed wszystkim są głodne. Często zbierają resztki pożywienia pozostające na placach targowych, by posilić się wieczorem i zapewnić posiłek swoim najbliższym. Nie mają odzieży, brakuje im pieniędzy na opłacenie szkoły.

Przyszłość dzieci Rwandy jest bardzo smutna. Zranione wewnętrznie ciągle się boją... Ciągłe ocierają się o śmierć. Przywróćmy im nadzieję na lepsze jutro.

Dzieciom Rwandy możesz pomóc, dokonując dobrowolnych wpłat na konto:

t

PKO BP S.A. IV o/Warszawa 80 1020 1042 0000 8102 0009 9101

Pallotyński Sekretariat Misyjny ul. Skaryszewska 12

skr. poczt. 255 03-802 Warszawa

koncertowało kilka ptasich rodzin, prześcigając się w radosnym szczebiocie. Wiem, że chłopiec musiał w tej chwili bardzo cierpieć, ale powoli i nieśmiało zaczął opowiadać: - Miałem kiedyś mamę, tatę i trójkę rodzeństwa. Mieszkaliśmy tam - wskazał kierunek - niedaleko stąd, jakieś 2 km drogi. W kwietniu 94 roku ktoś nas ostrzegł, że wszyscy Tutsi

muszą opuścić Muyumbu. Opowiadał straszne rzeczy, że w wielu wioskach zabijano wszystkich Tutsi. Część rodzin zaraz uciekła, inni zwlekali. Tata też zwlekał, przecież trzeba było porzucić cały dobytek. Tego strasznego dnia, gdy poszedłem po wodę, usłyszałem pierwsze wrzaski i rozpaczliwe jęki dobiegające z różnych stron wioski. Zacząłem się panicznie bać. Porzuciłem bidon z wodą i szybko pobiegłem w kierunku domu. Wokół rozpętało się prawdziwe piekło. Wszyscy uciekali w wielkim popłochu, potykając się o konających. Zewsząd słyszałem jęki, płacz, krzyk, głuchoe odgłosy ciosów zadawanych motyką i świst maczet. Wszędzie lała się krew.